

GeorgeAnn Jansson

Dzień spełnionych
marzeń

1

*Moje życie różni się
od życia, którego pragnąłem...*

Mniejsza o zdolność i szansę przeżycia. Jedna i druga była teraz znikoma. Rana od postrzału na ramieniu bolała przy każdym ruchu, ale zacisnął zęby. Poczł ciepłó spływającej znowu krwi, lecz tylko potrząsnął ręką i spróbował skierować łódź ku brzegowi. Woda pluskała cicho wśród wysokich traw. Nisko nad ziemią ścieliła się mgła - tak samo jak podczas tamtych nocy sprzed lat, w obcym kraju. Nieco wyżej, ze szczytu słabo zalesionego pagórka wabiły go oświetlone okna ciepłej i przytulnej chaty. Zapach dymu z palonego drewna wzbudził tęsknotę za domem. Omal nie parsknął śmiechem. Przecież nie miał domu ani bezpiecznej przystani, ale mógł je sobie teraz stworzyć.

Z wysokich trzcín i traw wyskoczył na brzeg, wyciągnął łódź, ukrył ją za drzewem i zamaskował kawałkami darni wyrwanej z wilgotnego podłóża. Oczekiwanie dodało mu sił; wstał pospiesznie i rozejrzał się dookoła. Marzył, by wysuszyć ubranie, ogrzać się i zaspokoić głód. Dwa dni bez jedzenia i odpoczynku mogą doprowadzić na skraj szaleństwa najbardziej zrównoważonego człowieka. Tego ranka o świcie zaczął wątpić, czy jest przy zdrowych zmysłach.

Cicho wbiegł po szerokich schodach z drewna sekwoi znajdujących się na tyłach domu. Posterunki strażników i stałe patrole na nic się nie zdały, bo i tak zdecydował się przepłynąć jezioro. Forsa sprawia, że niektórzy czują się nietykalni.

Śmieszne! Zachichotał, dotykając pistoletu kaliber 38 schowanego w podartej kieszeni. Jedyne to daje człowiekowi poczucie bezpieczeństwa. I czyni go niebezpiecznym dla innych.

Dobrze znał teren. Miał pamięć do szczegółów. Z pobliskiej, częściowo ukrytej jaskini obserwował gości weselnych. Krwawił, cierpiał, tracił siły i był wściekły, ale przyglądał się im uważnie. Aż ślinka mu ciekła, gdy jedli i pili. Słyszał ich śmiech i patrzył, jak tańczą na werandzie, z dala od niego. Parę godzin spędził w łódce na jeziorze i po kilkugodzinnym rekonesansie wybrał ten dom stojący na uboczu, daleko od innych zabudowań. W porę dostrzegł ponton płynący w tamtą stronę z miejscowego klubu, wiozący grupę weselnych gości. Musiał poczekać jeszcze dzień, ale był niemal pewny, że znajdzie dość jedzenia i picia. W przeszłości dorabiał jako strażnik i wiedział, że mało kto przebywa tu w dni powszednie. A może jakiś gość został dłużej? Lepiej mieć nadzieję, że wszyscy wyjechali. Zresztą taki maruder się przyda... Jęknął, bo potknął się i uraził kolano. Zaciśnął dłoń na pistolecie, wyciągnął z kieszeni nóż podobny do sztyletu, pokonał ostatni stopień i wszedł na werandę.

Uśmiechnął się jak psychopatyczny morderca na chwilę przed zabójstwem. Szedł wolno i ostrożnie po zboczu pagórka. Żadnego pośpiechu. W pewnym sensie było mu przykro, że taki czeka ją los, z drugiej strony jednak odczuwał zadowolenie. Z pozoru miła i przyjacielska, patrzyła na niego z góry niczym jakaś bogata księżniczka; nie obchodziło jej, z kim ma do czynienia, jakim jest człowiekiem; znacznie ważniejszą sprawą był wybór pantofli, które włoży rano. Jeszcze parę kroków, jeszcze kilka minut i stał dotknie jej szyi - długiej, smukłej, białej jak mleko. Przetnie delikatną skórę oraz tętnicę i spłynie jasną krwią. Piękna i niedostępna dziewczyna wysunie się z jego ramion i jak szmaciana lalka opadnie na ziemię szybko i bezgłośnie. Nikogo już nie dotknie. On będzie ostatnim mężczyzną, któ-

ry trzymał ją w ramionach. Jego palce ostatnie musną gładką, białą skórę, gdy przylgnie do niej całym ciałem. Nikt więcej nie dowie się, w jaki sposób kobieta taka jak ona działa na mężczyznę. Raz jeszcze spojrz w cudowne piwne oczy, nim zamkną się na zawsze.

Mackensie Elliott zatrzasnęła książkę i rzuciła ją na podłogę. W ogromnym kominku powoli dogasał ogień. Wstała, dorzuciła suche polano i przesunęła je pogrzebaczem. Sypnęły się iskry, a pęd powietrza porwał je i uniośł w czelusć komina.

Chyba była szalona, gdy zgodziła się na propozycję siostry, by przed powrotem do Nowego Jorku zostać tu na zasłużony odpoczynek. Została sama, a za całe towarzystwo miała mrozącą krew w żyłach powieść. Litości!

Dostała gęziej skórki na ramionach. Roztarła je mocno. Dom tonął w ciemnościach, tylko w kuchni paliło się światło. Jeśli dobrze zapamiętała, w każdym pokoju były drzwi prowadzące na werandę. Szczerze żałowała, że wcześniej nie obeszła wszystkich pomieszczeń, żeby sprawdzić zamki. Szkoda, że wzięła się do czytania tego powieściidla. Bujna wyobraźnia płatała jej figle.

Na zewnątrz zerwał się lekki wiatr, chłodne i wilgotne powietrze trochę ją otrzeźwiło. Tylko idiotka może spaść w popłoch, dlatego że w samotności czyta horror, a w okolicy nie ma żadnych sąsiadów. Niestety, nie udało jej się nad sobą zapanować. Szła teraz z pokoju do pokoju i zapalała światło, a potem zaciągała zasłony i sprawdzała zamki. Stary dom skrzypiał i trzeszczał. Główna belka stropowa wykonana ze stali dźwięczała cichutko w trakcie tej wędrówki. Dało się też słyszeć metaliczne postukiwanie. Ciekawe, że przedtem nie zwróciła na nie uwagi.

Ruszyła w głąb korytarza i zajrzała do największej sypialni. Aż podskoczyła na widok swego odbicia. Pokazała język bladej ze strachu twarzy w ogromnym lustrze i we-

szła do środka. Skierowała się do garderoby, żeby schować do plastikowego pokrowca suknię druhny. Ledwie otworzyła drzwi, uskoczyła w bok, gdy zapasowa poduszka i koc upadły jej pod nogi jak ogromny strach na wróble. Wystraszona skarciła się natychmiast, wsunęła pościel na półkę i powiesiła sukienkę na wieszadle. Zatrzasnęła za sobą drzwi i przekreśliła klucz. Garderoby wywoływały u niej złe wspomnienia; bała się ich od dziecka. Wiedziała, że było to pozbawione sensu, ale odruchowo podeszła do nocnego stolika i włączyła lampkę.

Sosnowe drewno paliło się w kominku z sykiem i trzaskiem. Gdy strzeliło iskrami, Mackensie, znowu się wzdrgnęła. Mimo obaw zgasiła światło i przez salon poszła do kuchni. Wyjęła z kredensu masło orzechowe, galaretkę i ostatni bochenek chleba. Wszystko w porządku. Mała przekąska dobrze mi zrobi, myślała, krojąc grube pajdy.

Na papierowym talerzu położyła kanapki i chrupki, usiadła w fotelu z nogą przewieszoną przez oparcie i zaczęła naciskać guziki pilota od telewizora. Obraz był nieostry, dźwięk fatalny, ale od razu poczuła się lepiej, bo zyskała widomy dowód na to, że to rok dwutysięczny w Karolinie Północnej, nad jeziorem Tillery, a nie początek dziewiętnastego wieku na szkockich wrzosowiskach. Z drugiej strony jednak, gdy zaciągając zasłony wyglądała przez okna, wcale nie była tego pewna. Nad jeziorem unosiła się gęsta mgła. Ciekawe, czy telefon nie zamilknie, gdy trzeba będzie zadzwonić.

Blask reflektorów jadącego drogą auta przemknął po ścianach. Od razu poczuła się raźniej. Patrol straży leśnej co godzinę okrążał swój rewir. Omal nie wybuchnęła śmiechem. Nadal jednak czuła się niepewnie, bo ciągle miała wrażenie, jakby była obserwowana.

Oparła bosą stopę na ceglany murowaniu kominka i zaczęła się kołysać w bujanym fotelu. Smaczna kanapka, monotonny głos prezentera czytającego wiadomości i ciepło bijące z paleniska sprawiły, że przymknęła oczy. Wspomi-

nała wczorajszy dzień. To był piękny ślub, chociaż przepływające obok szybkie łodzie chwilami wszystko zagłuszały.

Połowa października... Na drzewach pozostało trochę liści, przez które sączyły się promienie jesiennego słońca rozświetlające przyjemny cień, w którym schroniła się panna młoda oraz jej świeżo poślubiony mąż. Bładoróżowe i seledynowe kreacje druzhen pięknie się komponowały z barwami natury. Mackensie czuła się w swojej sukni śliczna i urocza jak panienka z południa. Dawniej się jej to nie zdarzało. W Nowym Jorku, gdzie nosiła zwykle drogie kostiumy i garnitury, musiała uchodzić za osobę rzeczową i kompetentną. Jako asystentka dyrektora znakomicie prosperującej firmy dobrze zarabiała, ale odnosiła wrażenie, że współpracownicy za dużo od niej wymagają i posługują się nią do własnych celów. Zanosilo się w jej życiu na dużą zmianę, ale nie zdecydowała jeszcze, na czym będzie ona polegała.

Skończyła kanpkę i rzuciła do ognia papierowy talerz. Obserwowała, jak płomienie zmieniają kolor z pomarańczowego na niebieski - i znów stają się pomarańczowe. Biały krążek zwinął się i zniknął. Wzrok Mackensie padł znowu na książkę. Podniosła ją i przyjrzała się sylwetkom na okładce. Ciemna postać niedźwiedziowatego mężczyzny z nożem w garści pochylona nad kobietą o bujnych kształtach; na drugim planie księżyc w pełni oraz spływająca w dół kropla szkarłatnej krwi.

Mackensie wstała i przesunęła fotel na drugą stronę kominka tak, żeby siedzieć plecami do drzwi prowadzących na werandę. Pokiwała głową nad własną głupotą i otworzyła książkę tam, gdzie przerwała lekturę. Obejrzała samotnie „Milczenie owiec”, więc powinna dokończyć tę powieść.

Niespodziewanie stanęli twarzą w twarz. Ślina spływała mu z kącika ust na posiwiałą brodę. Krzyk uwiązł jej w krtań, serce podeszło do gardła, a krew zakrzepła w żyłach. Powiedziała, że po nią przyjdzie. Nagle przypomniała sobie je-

go słowa. Teraz było za późno. Wzdrygnęła się, niezdolna zrobić kroku. Poczuta znajomą woń, gdy ramieniem objął ją w pól i mocno przycisnął, a następnie odwrócił tak, by chwycić za szyję. Zerknął na obnażone częściowo piersi, które gwałtownie wznosiły się i opadały. Przycisnął do barku jej głowę i wciągnął w nozdrza kwiatowy zapach włośców. Kopała, wiała się i machała wzniesionymi ramionami, próbując go uderzyć. Uśmiechnął się chłodno i pożądliwie. Miotła się w potężnym uścisku, wzbudzając w nim szatańską żądzę. Miał ochotę rzucić tę piękność na podłogę i od razu posiąść, ale z całej duszy pragnął zobaczyć jej krew, zanurzyć w niej palce. Gdy udało jej się wreszcie zaczerpnąć tchu, a potem otworzyć usta do krzyku i wydać słaby pisk, wolno opuścił nóż...

Z sypialni położonej w głębi korytarza dobiegł dzwonek telefonu. Natarczywy sygnał omal nie przyprawił Mackensie o atak serca. Gardło miała ściśnięte. Zdegustowana własnymi obawami położyła książkę na rogu stołu i pobiegła, żeby podnieść słuchawkę.

Obserwował ją przez wąską szparę między zasłonami, które zaciągnęła mu niedawno przed nosem. Prawdopodobnie mieszkała tu sama. Otrząsnął się, gdy chłodny powiew przeniknął mokre ubranie. Bolały go wszystkie kości, głowa mu pękała, a ramię paliło żywym ogniem. Gdy dziewczyna wybiegła, żeby odebrać telefon, zaczął działać. Pospiesznie wsunął ostry jak brzytwa czubek noża między drzwi i futrynę i wyłamał słaby zamek. Wśliznął się do środka, bezszelestnie zamknął drzwi i przylgnął plecami do ściany. Boże, jaki przyjemny zapach, pomyślał. Odetchnął głęboko, wciągając w płuca delikatną woń perfum. Przymknął oczy, chłonąc ją całym ciałem. Zapach palącego się drewna i whiskey... Nie zważał na odór krwi, potu i błotnistej wody z jeziora, którym cały przesiąkł. Z głową od-

rzuconą do tyłu i przymkniętymi powiekami czekał, wsłuchany w jej śmiech, cichy, gardłowy i miły dla ucha.

Mackensie siedziała na brzegu łóżka, przytrzymując słuchawkę ramieniem. Gdy usłyszała znajomy głos, od razu poczuła się lepiej. Siostra chichotała i Mac od razu się domyśliła, że Danny'emu, czyli poślubionemu niedawno mężowi, zebrało się w zatłoczonym holu lotniska na czułości. Roxanne cierpliwie tłumaczyła, że trzeba zejść do piwnicy i odkręcić kurki zbiorników z wodą. Następnego dnia strażnicy uruchomią przepompownię i wtedy będzie można wcisnąć guzik elektrycznej termy. Tak, tak, lot był przyjemny. Czekają tylko, aż ktoś ich zaprowadzi do przystani, skąd odpływa statek miłości. Mac zapewniła, że u niej wszystko w porządku; ma wszystkie numery telefonów, które zostawiła jej Roxanne.

Wracając do salonu Mackensie wmawiała sobie, że nie boi się zejść do płytkiej piwnicy. Zaraz podejździe do drzwi i najzwyczajniej w świecie... Co tak śmierdzi? Czy to stęchlizna, zwierzęca sierść, muł z jeziora? Prawdopodobnie odór dochodzi z rzadko wietrzonej piwnicy, uznała, kładąc dłoń na okrągłej klamce i przekręcając ją pospiesznie. Otworzyła szeroko drzwi i wymacała kontakt. Nikogo... Popatrzyła na drewniane schody ginące w mrocznej otchłani.

Przypomniała sobie, że na półpiętrze zwisa z sufitu kabel. Zeszła w ciemność, znalazła go po omacku i pociągnęła. Rozbłysła słaba żarówka dyndająca na długim przewodzie, a ruchliwe cienie przebiegły po ścianach. Szybko znalazła odpowiednią dźwignię i przesunęła ją bez trudu. Obejrzała się i zerknęła na przeszklone, okazałe drzwi prowadzące do ogrodu, po czym biegiem ruszyła ku schodom. Idiotyzm! Miała wrażenie, jakby ktoś za nią stał. Lada chwila wyciągną się ręce... Pociągnęła za kabel i zrobiło się ciemno. Przeskakując po dwa schodki, pędziła w górę, ku drzwiom prowadzącym do salonu. Zatrzasnęła je za sobą i przekręciła gałkę.

Oparła się plecami o gładkie drewno, z trudem łapiąc oddech.

Kto tu jest, dopytywał się wytrącony z równowagi umysł.
On!

Kto? Kto taki?

Morderca... szalony bohater powieści.

W tej samej chwili zerknęła na stół i leżącą na nim książkę, a następnie przetarła oczy, żeby odpędzić wizję podsuwaną przez natrętą wyobraźnię. Zmusiła się, by spojrzeć na postać, z której woda i krew ściekały na drewnianą podłogę.

Powietrze uwięzione w płucach z sykiem wydobywało się z ust. Krew zakrzepła jej w żyłach. Wodziła spojrzeniem od pistoletu w jednej ręce zjawy do długiego, wąskiego noża trzymanego w drugiej. To nie mogło działać się naprawdę!

- Kto jest w domu? - spytał intruz niskim, schrypniętym głosem. Z gardła Mac wydobył się długo powstrzymywany wrzask, który następnie przeszedł w jęk. Widmo spytało ponownie: - Jesteś sama? - Zdołała tylko skinać głową. - Nie przyszedłem, żeby ci zrobić krzywdę. - Patrząc spode łba, oderwał się od ściany i ruszył ku niej.

Uświadomiła sobie, że schowaną za plecami dłońią wciąż obejmuje gałkę u drzwi. Przekreśliła ją ostrożnie, pozwoli, żeby stłumić trzask zwolnionego zamka.

Sprawiała wrażenie, jakby lada chwila miała rzucić się do ucieczki, zemdleć albo wydrapać mu oczy. Wyglądała ślicznie, chociaż była śmiertelnie przerażona. Od razu zwróciły jego uwagę kasztanowate, dość długie, kędzierzawe włosy opadające na ramiona, pełny biust falujący szybko pod bawełnianą koszulką z reklamą Hard Rock Cafe. Brzuch miała płaski, biodra wąskie; z postrzępionych džinsowych szortów wystawały długie nogi o jasnej skórze i małych stopach. W chwili gdy obrzucił ją taksującym spojrzeniem, dostrzegł dziwny błysk w ciemnozielonych oczach; zorientował się, że zakładniczka właśnie otwiera drzwi i zaraz mu umknie.

Chociaż cały był obolały, rzucił się w jej stronę. Ręką trzymającą broń pchnął drzwi prowadzące do piwnicy, a drugą - tą z nożem - uniósł twarz dziewczyny. To bardzo ważne, żeby zmusić ją do posłuszeństwa. Ogarnęło go poczucie winy. Z bliska dostrzegł złote plamki na jej tęczaówkach i zrobiło mu się przykro, ale nie miał wyjścia. Od tego zależało ocalenie.

Mackensie widziała kątem oka ostrze noża. Włosy zjeżyły jej się na karku, a po plecach przebiegł zimny dreszcz. Czowała nieświeży oddech i z przerażeniem spoglądała w oczy barwy kobaltu. Ubranie napastnika ociekało wodą i dlatego jej rzeczy natychmiast zwilgotniały. Popatrzyła na kilkuniedniowy zarost. To nie widmo; natrętna myśl zapadła jej w serce tak głęboko, jak mogło w nim utkwąć metalowe ostrze.

- Powiedziałem, że nie zrobię ci krzywdy. - Obserwowała jego usta poruszające się kilka centymetrów od jej twarzy. Miał wymowę charakterystyczną dla mieszkańców południa. - Ale zrobię to, jeśli mnie zmusisz. Wszystko zależy od ciebie. Potrzebuję tylko - ciągnął z trudem, cedząc słowa - trochę jedzenia i dachu nad głową. No i kąpieli - dodał po chwili namysłu. Wyprostował się i schował pistolet do kieszeni.

Dobrze... Mąciło jej się w głowie. Wszystko da się zrobić. A potem ten drań weźmie ją siłą, podetnie gardło i wyjdzie stąd tanecznym krokiem, czyściutki i nasycony. Mocno zacisnęła zęby. Odchrząknęła, żeby nabrać odwagi.

- Jak się nazywasz? - wykrztusiła z trudem.

- Thomas Justice Murphy. Daj mi kawałek sznurka.

- Po co? - Wyprostowała się natychmiast. Miała przecież ponad metr sześćdziesiąt. Jeśli zajdzie potrzeba, będzie walczyć do upadłego.

- Muszę cię związać.

- Wykluczone! - sprzeciwiła się, mrugając powiekami i próbując odzyskać jasność myśli.

Zmrużył oczy, chwycił ją za ramię i odciągnął od drzwi

prowadzących do piwnicy. Przeniósł spojrzenie ze swojej dłoni na szczupły nadgarstek, który ścisnął z całej siły. Mackensie zwinęła dłoń w pięść, jakby zamierzała stawić opór, a mimo to nadal sprawiała wrażenie bezbronnej i łagodnej. Nie umiał sobie radzić z takimi kobietami, ale decyzja została podjęta, więc nie zważał na zdrowy rozsądek i zasady logiki. Są rzeczy, których nie da się uniknąć. Świat rzeczywisty na pewien czas przestał dla niego istnieć. Gdy uniosła ramię, próbując wyrwać je z uścisku, długie włosy musnęły jego dłoń. Otworzył drzwi do piwnicy i popchnął zakładniczkę w dół, puszczając ją przodem. Jego palce zostawiły czerwone kręgi na delikatnej skórze.

Wzięta się w garść i czekała, aż pociągnie ją w stronę warsztatu, na którym leżał zwinięty konopny sznur. Nie spodziewanie wyrwała się i pomknęła ku oszklonym drzwiom wychodzącym na patio. Była zdecydowana rozbić je własnym ciałem, jeśli nie będzie innego wyjścia. Niestety, Murphy był szybszy. Dostrzegła na jego twarzy grymas bólu, ale w mgnieniu oka znalazł się tuż za nią. Gdy chwycił ją za ramiona i obrócił w swoją stronę, usłyszała stuk noża upuszczonego na cementową podłogę. Mężczyzna potrząsnął nią jak szmacianą lalką i rzucił na kanapę obitą plastikiem, teraz stwardniałym pod wpływem piwnicznego chłodu. Przyciśnięta do poduszek poczuła ciężar męskiego ciała i drzemiacą w nim siłę; trwali w mocnym uścisku, jakby byli kochankami. Murphy odsunął się pierwszy, chociaż można by sądzić, że opamiętał się w ostatniej chwili. Szybko odzyskał zdrowy rozsądek. Gdy zdał sobie sprawę, że jej piersi przylegają do jego torsu, że zielone oczy są szeroko otwarte i pełne lęku, nagle znieruchomiał. Nie był draniem. Uchodził za przyzwoitego człowieka i miał swoje zasady... W tej samej chwili odezwała się woła przetrwania. Coś w nim pękło jak rozgrzana szklanka napełniona lodowatą wodą. Umyślnie zacisnął palce na jej gardle.

- Nie zrobisz mi krzywdy, jeśli mnie do tego nie zmusisz. -

Niespodziewanie poczuł, że siły go opuszczają. Był znużony. To cholerne zmęczenie... - Przystań się opierać - burknął.

Mac zauważyła ostrzegawczy błysk w jego oczach. Zdała sobie sprawę, że jest u kresu wytrzymałości, gotowy na wszystko. Pod jej dłonią mocno i rytmicznie biło jego serce. Czy to szalenie? A może człowiek doprowadzony do rozpacz? Jednego była pewna: stanowił dla niej śmiertelne zagrożenie.

Gdy podnosił ją z kanapy, niechcący kopnęła go w kolano okryte postrzępionym materiałem džinsów i zobaczyła krew na swojej stopie. Był mocno poraniony. Nie wyrwała się, gdy wiązał jej ręce, krzyżując je z przodu. Miała wrażenie, że to koszmarny sen, kiedy owinął sznurkiem swoją dłoń tak, że dzieliło ich niespełna półtora metra. Podniósł nóż i wsunął go do zabłoconej kieszeni. Nie protestowała, gdy popychając ją wszedł po schodach, zamknął drzwi, a następnie szybkim krokiem ruszył w stronę przylegającej do salonu kuchni.

Na stole i barze stały jeszcze misy i talerze z jedzeniem. Chwytał garść mikroskopijnych kanapek, wepchnął je do ust i od razu nabrał animuszu. Rzucił się w stronę kredensu, złapał butelkę wina, wyciągnął zębami korek, wypluł go i przechylił flaszkę.

Obserwowała go, kiedy łał w gardło resztkę lśniącego czerwonego burgunda. Wzrok miał dziki jak zaszczute zwierzę. Jego ruchy były oszczędne i pewne. Ciągnął ją za sobą jak parszywego kundla na smyczy. Z butelką whiskey w dłoni pomaszerował do salonu. Gdy wyłączył telewizor, ogarnęła ich głęboka cisza. Podeszedł do radia i wcisnął klawisz. Kenny Rogers śpiewał o nieszczęśliwej miłości. Z westchnieniem ulgi pchnął ją na bujany fotel, a sam usiadł na kanapie i pociągnął łyk z butelki. Gdy wreszcie przestał uciekać, oglądając się co chwila przez ramię, gdy ustąpił ciągły strach, że lada moment zostanie schwytany, nagle zwiotczały mu mięśnie. Położył butelkę na udach i, przewzycię-

żając senność, przyjrzał się uważnie zakładniczce. Obrzucił ją taksującym spojrzeniem i napotkał gniewny wzrok. Nie odwróciła głowy. Sznur ocierał delikatne nadgarstki, a złość brała górę nad obawami.

Powinien się przespać, ale najpierw musi wziąć kąpiel i opatrzyć rany. Zerknął na dziewczynę, która nadal patrzyła na niego ze złością wielkimi, zielonymi ślepiami. Cholera, było mu jej żal. W głowie miał zamęt. To zły znak. Musi zachować czujność, bo w przeciwnym razie dziewczyna znajdzie sposobność, by trzasnąć go w głowę, a wówczas rozwieje się ostatnia nadzieja na pomyślne załatwienie sprawy.

- Posiedzisz na kiblu, a ja wezmę długie, gorące prysznic. - Omal nie wybuchnął śmiechem na widok jej oburzonej miny. - Potem opatrzysz mi rany i pójdziemy spać. Przywiążę cię do łóżka i będę trzymać koniec liny, na wypadek gdybyś próbowała zwać, kiedy zasnę. Lepiej unikaj gwałtownych ruchów. - Z ciężkim sercem wypowiadała te groźby. Czuł się podle, więc odwrócił wzrok.

Mac przyglądała mu się badawczo, gdy błędził spojrzeniem po pokoju, studiując każdy drobiazg widoczny z miejsca, gdzie wygodnie siedział. Przypatrywała się rozdartym na poranionych kolanach džinsom wciąż mokrym po kąpiele w jeziorze. Rękaw koszuli był rozerwany w miejscu, gdzie trafił pocisk. Brakowało też guzików i rozchylone poły ukazywały muskularny tors porośnięty gęstymi włosami. Rana na skroni przestała krwawić. Bujna, potargana czupryna zasłaniała czoło. Siniak na szczęce przybrał fioletową barwę. Brud i szlam pokrywał zbiega od stóp do głów.

- Nie ma wody. - Mac wzdrygnęła się na dźwięk własnego głosu, a Murphy odwrócił głowę w jej stronę.

- Co?

- Zabrakło wody. Drużba zapomniał odkręcić kurek i uruchomić przepompownię. Za kuchnią jest zbiornik o pojemności sześciuset litrów. - Miała nadzieję, że następ-

na wiadomość skłoni mężczyznę do ucieczki. - Przyjadą jutro, żeby go napełnić.

- Kto?

- Fachowcy. Będą tu rano.

- Jezu Chryste! - Ukrył twarz w dłoniach. Mackensie poczuła, że ogarnia ją strach.

- Chętnie cię odwożę, dokąd tylko zechcesz. Może do motelu? Ja będę prowadziła, a ty się ukryjesz.

Gdy nie będziesz się tego spodziewać, powtarzała w duchu raz po raz, jakby to było magiczne zaklęcie, zacznę wrzeszczeć, zbiegną się ludzie i będziesz miał za swoje.

2

*Kolejne miasto, barmana głos,
Nowa nadzieja i nowy cios...*

Dopiero teraz dobrze jej się przyjrzał. Siedziała wyprostowana, jakby kij połknęła. Miała obrażoną minę, ręce spłótła na kolanach. Szorstki konopny sznurek sprawił, że stali się nierozłączni. W pewnym sensie była do niego mocno przywiązana. Na moment zrobiło mu się jej żal. Sobie również współczuł, ale szybko wziął się w garść. Wstał i pociągnął za sznurek, zmuszając ją, żeby się podniosła. Ruszyli w głąb długiego korytarza wykładanego boazerią. Zaglądał do każdego pomieszczenia; wybrał największą sypialnię z wielkim owalnym łóżkiem.

I co dalej? Gubiła się w domysłach. Co ją czeka? Wodziła spojrzeniem od niego do łóżka. Pchnął ją na posłanie, koniec powroza przeciągnął między ozdobami dębowego wezgłowia i owinał wokół dłoni. Usiadł na pościeli, zdjął buty, odsunął narzutę i położył się z drugiej strony.

- Lepiej kładź się i śpij. Nigdzie teraz nie pójdziesz - wymamrotał, ledwie otwierając usta.

Był wyczerpany; poznała to po jego głosie. Znieruchomiała, ale jej umysł pracował na najwyższych obrotach. Murphy odwrócił się do niej plecami. Szwy brudnej, podartej koszuli niemal popękały pod naporem silnych mięśni. Po chwili oddech mężczyzny się wyrównał. Mackensie zakrztusiła się i uświadomiła sobie, że wstrzymuje dech.

- Jak masz na imię? - mruknął.

Sądziła, że zasnął, toteż wzdrgnęła się, słysząc jego pytanie.

- Co?

- Twoje imię.

- Mac.

Odwrócił głowę i przetoczył się na drugi bok, żeby na nią popatrzeć. Jego zbyt długie włosy wiły się lekko, zasłaniając kark. Spojrzała mu w oczy i przemknęło jej przez myśl, że gdyby nie był taki brudny i poraniony, można by go uznać za przystojnego. Przypomniała sobie, jak leżeli przytuleni na kanapie.

- To pewnie skrót. Od czego? Nie pasuje do dziewczyny.

- Jestem Mackensie, krócej Mac. - Utkwiła spojrzenie w ścianie po drugiej stronie pokoju.

- Mac i Murphy. - Znowu ujrzała jego plecy. - Nic nadzwyczajnego. Prześpij się. Musisz wypocząć i odzyskać siły. Będą ci potrzebne.

Nie położyła się na posłaniu. Była zakłopotana, niespokojna i wystraszona. Siedziała wsparta o wezgłowie i próbowała ukradkiem rozwiązać krępujący nadgarstki sznurek. Skórę miała podrażnioną i zaczerwienioną. Kropla krwi spłynęła jej po palcach.

Wyczuwała aurę siły otaczającą śpiącego obok niej mężczyznę. Zdawała sobie sprawę, że nie należy go wyprowadzać z równowagi, z drugiej strony jednak coś ją w nim

dotatkowo niepokoiło. Żal? Skrucha? O to chodziło? Czy takie odczucia wyczytała z groźnych oczu?

Na dworze pogoda zaczęła się pogarszać. W świetle małej lampki umieszczonej na nocnym stoliku cienie tańczyły na ścianach. Powieki Mac opadły; drzemała i budziła się na przemian. Nie miała odwagi się poruszyć, by napastnik nie uznał, że próbuje się oswobodzić. Pewnie zaatakowałby ją z nożem w dłoni. Nim by się zreflektował, nóż tkwiłby już po rękojeść w ciele ofiary. Czy już kogoś zabił? Pobladała na samą myśl o tym i zacisnęła powieki.

Trzeba stąd uciec. Ale jak? Nie uda się zsunąć pętli ze spuchniętych rąk. Uważnie przyjrzała się sznurkowi. Jego kawałek wsunięty między ozdobne detale wezgłowia opadł na posłanie, drugi koniec jednak nadal był ciasno owinięty wokół dłoni Murphy'ego. Palce śpiącego nieco się rozwarły. Jeśli teraz wstanie i pobiegnie prosto przed siebie, może zdoła dopaść frontowych drzwi, otworzyć je... i co dalej? Potrzebne były kluczyki do samochodu, które miała w torebce. Nie mogła sobie przypomnieć, gdzie ją ostatnio widziała.

Nadzieja dodała jej sił. Zaczęła wolno przesuwać się ku brzegowi łóżka, raz po raz nasłuchując w skupieniu. Murphy poruszył się i zmienił pozycję, ale nadal spał. Podskoczyła na posłaniu, kiedy błyskawica rozświetliła niebo, a on przekręcił się na plecy. Wiatr bił w szyby. Koniec sznurka wysunął się z osłabłych palców. Uderzył piorun i burza rozszalała się na dobre. Teraz albo nigdy!

Czekała na kolejną błyskawicę, która wkrótce przeszła powietrze i zaślniła srebrzystą poświatą. Zrobiło się jej lekko na sercu. Niebiosa jej sprzyjały. Wstrzymała oddech i zdecydowała się na ucieczkę. W kompletnych ciemnościach zeskoczyła z łóżka. Jedno mocne pociągnięcie i poczuła, że sznurek napina się, a potem wiotczeje. Była wolna; pędem ruszyła ku drzwiom. W korytarzu potknęła się o stolik na kółkach używany do podawania herbaty. Zgodnie

z przypuszczeniem torebkę znalazła w kuchni. Chwyliła ją niezdarnie związanymi dłońmi, wysypała zawartość i zaczęła grzebać wśród przedmiotów w poszukiwaniu kluczyków. Oddychała spazmatycznie, a krew szumiała jej w uszach.

Słyszała własny szloch wydobywający się ze ściśniętego gardła, gdy zgrabiętymi palcami przerzucała osobiste drobiazgi. Wreszcie poczuła chłodny metal. Wdzięczna niebiosom wypadła z kuchni i pomknęła do frontowych drzwi z rękoma wyciągniętymi do przodu i sznurem wlokącym się za nią jak koci ogon.

Ludzka postać... Boże, to on! Hol pojaśniał na moment, gdy kolejna błyskawica przeleciała po niebie. Dłonie Mac dotknęły rozgrzanego ciała. Oczy Murphy'ego załśniły, na twarzy pojawił się uśmiech. Grzmot zadudnił jej w uszach, jakby dla podkreślenia tryumfalnej miny zagradzającego drogę mężczyzny.

Poczuła nagły przypływ adrenaliny. Murphy nie spodziewał się ataku, więc bez trudu go odepchnęła, i to z siłą, o którą dotąd w ogóle się nie podejrzewała. Zrozpaczona pobięła w stronę auta zaparkowanego trzy metry od domu. Były tylko drzwi nie były zamknięte, modliła się w duchu. Posunęła się już za daleko, żeby teraz zaniechać ucieczki.

Mężczyzna dogonił ją w ułamku sekundy i przewrócił na ziemię. Toczyli się po łagodnym stoku. Ich twarze znalazły się bardzo blisko siebie, a jego oddech był ciężki i urywany. Spojrzeli sobie w oczy. Mac wpatrywała się w swego prześladowcę z rozpaczą, ale nieustępliwie. W jego wzroku był chłód i zniecierpliwienie. Przestała się bronić, gdy przyniósł ją do ziemi. Omal nie stracił głowy, gdy poczuł jej piersi na swoim torsie. Pełne wargi były tak blisko jego ust...

Burza szalała wokół nich. Mac kopała, wrywała się, drapała i wrzeszczała. Po celnie wymierzonym kopniaku Murphy zaklął szpetnie. Dziewczyna wyślizgnęła się z jego uścisku, podniosła niezdarnie i ruszyła pod górę. Krzyknęła na całe gardło, gdy chwycił ją za rękę i pocią-

gnął na ziemię. Koszulkę miała zabłoconą, cierniste gałązki podrapały jej skórę na brzuchu. Przewrócił ją, chociaż desperacko próbowała wspiąć się wyżej.

Pięścią uderzyła go w głowę. Czuła w łokciu ostry ból, gdy raz po raz biła na oślep. Cali mokrzy i pokryci błotem walczyli, tocząc się znowu po ziemi, aż smukłe i zwinne męskie ciało przygniotało ją do podłoża. Deszcz skapywał z jego twarzy na jej mokre policzki, a nacisk mocnego torsu krępował ruchy. Murphy chwycił związane nadgarstki i unieruchomił je nad jej głową. Mac zaniechała dalszego oporu. Głowa mężczyzny opadła bezsilnie, gdy odpoczywał po walce.

Niespodziewanie poczuł, że ogarnia go żądza. Prawa natury dały o sobie znać. Niech to diabli! Wściekły i pełen odrazy do samego siebie zerwał się, pociągając za sobą Mac. Przerzucił ją sobie przez ramię. Przytrzymał się barierki umieszczonej obok ścieżki, aby zachować równowagę, i ruszył w stronę domu. Gdy znaleźli się w środku, dziewczyna zsunęła się bezwładnie z jego ramienia. Najwyraźniej uznała, że jest w sytuacji bez wyjścia, i dała za wygraną. Jak dwa mokre szczury siedzieli na podłodze w salonie, gdzie wypuścił ją z objęć. Dyszeli ciężko i mierzyli się wzrokiem w nikłym blasku ognia dogasającego na kominku. Murphy podczołgał się do kanapy i oparł o nią plecami. Ależ odważna dziewczyna! Podziwiał jej nieustępliwość. Miała otwarte spojrzenie, niczego nie ukrywała, co mu się bardzo podobało.

- Są tu świece? - spytał po kilku minutach.

- W kuchni - burknęła, masując obolałą stopę.

Murphy chwycił ją za koszulkę i przyciągnął do siebie.

- Zatłukę cię, jeśli się stąd ruszysz - oznajmił z twarzą przy jej twarzy. Przez moment zastanawiał się, co by czuł, gdyby ją teraz pocałował. Namiętność? Wymyślał sobie bezgłośnie od najgorszych. Nie miał czasu na głupstwa.

Mackensie nie zamierzała ruszać się z miejsca. Przynajmniej na razie. Była zmarznięta, zabłoconą i posiniaczoną.

Uniosła głowę, gdy od płomienia zapalniczki rozjarzyły się knoty dwu świec stojących na barze łączącym kuchnię i salon. W migotliwym świetle spostrzegła, że Murphy ma otwartą ranę na głowie. Dłonią otarł krew zalewającą oczy.

- Weź mój samochód i wynoś się stąd! - Mac sama była zdziwiona swym kategorycznym tonem. Nie zwracając na nią uwagi, mężczyzna podszedł do zlewu, sięgnął po ręcznik wiszący na drzwiach szafki i przycisnął go do rany.

- Jeszcze nie teraz.

Nagle stwierdziła, że jest jej wszystko jedno. Skoro ma umrzeć, to trudno. Poszła do kuchni i wyciągnęła do niego ręce.

- Rozwiąż mnie - poleciła, zdumiona własną odwagą. Odwrócił się i popatrzył na nią z drwiącym uśmiechem. - Szybko! - rzuciła zniecierpliwiona. - Nie widzisz, co się dzieje z moimi nadgarstkami?

Spojrzał jej w oczy. Nie przywykł do takiego traktowania.

- Pewnie znowu spróbujesz zwiać.

- Jasne. Lepiej od razu mnie zabij, bo nie zrezygnuję, ale najpierw rozwiąż mi ręce. To boli.

Popatrzył na jej dłonie, które z jego winy były teraz spuchnięte i brudne. Serce ścisnęło mu się z żalu. Na co dzień nie był takim draniem. Zwykle dotykał kobiet, żeby je uspokoić, rozpalic lub zachwycać się nimi. Korciło go, żeby podejść do Mac, delikatnie rozwiązać sznur, unieść poranione nadgarstki do ust... Wolno sięgnął do kieszeni i wyjął nóż. Błysnęło cienkie ostrze. Z nożem w dłoni przyglądał się dziewczynie od stóp do głów pokrytej błotem. Tam, gdzie strugi deszczu spłukały brud, miała na twarzy jaśniejsze smugi. Przymknęła oczy. Ten drań poderżnie jej gardło i będzie miał kłopot z głowy. Uniosła powieki, zastanawiając się gorączkowo, jak wytrącić mu broń z ręki. Stała pewniej i przygotowała się do ataku, gdy wolno ruszył w jej stronę.

Co za ulga! Wsunął ostrze między nadgarstki i sznur opadł na podłogę. Ból od razu zelżał. Mackensie ostrożnie

masowała dłonie, żeby przywrócić w nich krążenie. Przeciśnęła się obok Murphy'ego i podeszła do zlewu. Odkręciła kran termy, w której pozostało trochę wody, i napełniła miskę. Zanurzyła głęboko ręce i jęknęła cicho, bo letnia woda łagodziła cierpienie, ale zarazem drażniła poranioną skórę. Spłukała trochę błota z twarzy i ramion.

Usłyszała, że Murphy opadł bezwładnie na krzesło, i odwróciła głowę, żeby na niego popatrzeć. Przez chwilę mu współczuła. Od początku ją uderzyło, że pod pozorami szorstkości jeszcze coś się kryje. Znowu odwróciła głowę.

- Rzuć mi ręcznik.

Przez dwie sekundy patrzył na nią uważnie, a potem spełnił prośbę. Zmoczyła grubą tkaninę i poczuła mdłości, gdy woda zabarwiła się na czerwono. Wykręciła ręcznik i podeszła do Murphy'ego.

- Chcesz mnie zabić?

- Mówiłem, że nie mam takiego zamiaru. - Popatrzył jej w oczy. - He razy mam ci to powtarzać?

- Weźmiesz mnie siłą?

Gdy zaklął i pokręcił głową, dotknęła rany mokrym ręcznikiem. I na co mu przyszło? Został uznany za gwałciciela, chociaż w życiu nie przyszło mu do głowy, aby zniewolić kobietę. Był wściekły, że tak źle o nim myśli. W innych okolicznościach pokazałby, na co go stać. Mógłby pogłaskać kędzierzawą czuprynę, unieść głowę...

Jego milczenie i bezruch zbiły ją z tropu. Rana wymagała szycia. Mac sięgnęła po świecę, zamierzając pójść do łazienki, ale wówczas mężczyzna chwycił ją mocno za rękę.

- Chodź ze mną - poleciła spokojnie. Trudno, co ma być, to będzie. Kiedy uporają się z jego problemami, narzecie się go pozbędzie. Im szybciej, tym lepiej.

Posłusznie usiadł na sedesie i czekał, aż kawałkiem gazy zatamuje krwawienie i oczyści ranę. Jej dotknięcia były ostrożne i delikatne. Ciekawe, jak by zareagował, gdyby poczuł na ciele jej palce. Długie włosy pachniały szam-

ponem i deszczem. Gdy go opatrywała, przyjrzał się jej talii i spostrzegł krew na bluzce. Fatalnie, pomyślał. Co za pech, że spotkał tę dziewczynę w tych okolicznościach. To okropne, że znalazła się w tak paskudnej sytuacji.

- Jesteś podrapana - oznajmił, unosząc brzeg bluzki.

Wszędzie skaleczenia i siniaki. To przez niego. Nieprawda, zreflektował się, sama jest sobie winna. Odsunęła jego dłoń, ale nie dał za wygraną. Sięgnął po ręcznik, którego używała, i delikatnie przemył zadrapania. Chciała się odsunąć, ale położył dłoń na jej biodrze i powstrzymał ją.

- Trzeba oczyścić rany.

Jego ręka była silna i ciepła; skupiona twarz znalazła się blisko jej piersi. Oszołomiona Mac czuła, że krew coraz mocniej pulsuje jej w skroniach. Wpatrywał się w nią uporczywie, póki nie skończyła opatrywać mu ran.

- Co dalej? - spytała zaniepokojona.

- Muszę się przespać.

- A więc?

- Trzeba cię związać.

Z niebieskich oczu wyczytała, że jest mu naprawdę przykro. Kolejne obawy rozwiewały się jak dym. Wszystko, co robił, miało pewne znamiona rycerskości - nawet wówczas, gdy musiał przywołać ją do porządku albo przestraszyć. Tak, rycerskość to właściwe słowo, pomyślała zdziwiona. Przed kilkoma godzinami mógł stłuc ją na kwaśne jabłko, złamać rękę, poranić nożem, ale tego nie zrobił. Cierpliwie, a zarazem stanowczo próbował ją skłonić, żeby spełniała jego polecenia.

- Jak się tu znalazłeś? - Ze świecą w dłoni ruszyła z powrotem do kuchni.

- To długa historia.

Postawiła lichtarz na środku stołu. Położyła ręce na oparciu kuchennego krzesła i spojrzała Murphy'emu prosto w oczy.

- Przed nami długa noc.

- Pomogłabyś mi, gdybym cię o to poprosił? - Obserwował ją uważnie. Była zaskoczona takim postawieniem sprawy. Gdyby przed dziesięcioma minutami zadał jej to pytanie, wybuchnęłaby histerycznym śmiechem.

- To zależy.

- Teraz muszę się przespać. Jutro poproszę, żebyś coś dla mnie zrobiła.

- Zabiłeś człowieka? - wyrwało jej się mimo woli.

- Nie. - Parsknął śmiechem, ale natychmiast spoważniał. - Sam jestem niedoszłą ofiarą.

Wspaniała nowina, pomyślała Mac.

- I dlatego ryzykowałeś, że prześladowcy cię u mnie wytropią? - spytała ironicznie.

- Nie sądzę, żeby do tego doszło. W Concord przy czerwonym świetle wślizgnąłem się ukradkiem pod plandekę ciężarówki. Wskoczyłem tutaj, bo poznałem okolicę. Byłem tu przed laty.

To by tłumaczyło, czemu ma podarte džinsy, otarte kolana i rozcięcie na głowie. A rana od pocisku?

- Policja. - Uniósł ramię, jakby czytał w jej myślach.

- Napadłeś na bank - stwierdziła Mac.

- Nie - odparł coraz bardziej znużony. - Mówiłem, że rano pogadamy.

- Nie życzę sobie, żebyś mnie znów wiązał i nie zamierzam spać z tobą w jednym łóżku.

- To niedobrze.

Dreszcz przebiegł jej po plecach.

- Pozwól mi przynajmniej zdjąć mokre ubranie.

Skinął głową na znak przyzwolenia.

Każde z nich wzięło świecę i wrócili do sypialni. Mac postawiła lichterz przy łóżku i zamierzała wyjść, ale natychmiast ją zawrócił.

- Moje rzeczy są w sąsiednim pokoju - wyjaśniła zniecierpliwiona.

Poszli tam we dwoje. Czekał, aż się przebierze za drzwia-

mi, wsłuchany w szelest zsuwającego się po skórze mokrego ubrania i wkładanej przez głowę nocnej koszuli. Mimo woli wyobraził sobie cienką tkaninę okrywającą stopniowo ramiona, biust, biodra i nogi.

Mackensie otworzyła szeroko drzwi i ruszyła przodem do sąsiedniej sypialni. W bladym świetle świecy jej sylwetka rysowała się wyraźnie pod nocną koszulą. Bez słowa wskazała wiszące w garderobie męskie ubrania. Odwróciła się twarzą do ściany, gdy zdejmował podarte dżinsy. Wkrótce po raz pierwszy od kilku dni miał na sobie ciepłe i suche rzeczy. To nic, że spodnie i T-shirt były trochę za ciasne.

Gestem zachęcił Mac, żeby wróciła do łóżka. Kiedy się zawahała, podszedł i zaprowadził ją łagodnie niczym kochanek. Zwinęła się w kłębek na pościeli.

Ostrożnie związał jej ręce, upewniwszy się najpierw, że rękawy koszuli okrywają nadgarstki. Owinął je sznurem, starając się nie urazić otartej skóry. Następnie położył się obok dziewczyny i po chwili zapadł w głęboki sen.

Mac odetchnęła z ulgą. Wodziła spojrzeniem wzdłuż łączącego ich sznura. Przyglądała się także kosmykowi włosów, który opadł mu na czoło.

Co będzie jutro? Jak to wszystko mogło się zdarzyć? Odwróciła głowę, by raz jeszcze popatrzeć na Murphy'ego. Był tu naprawdę. Trudno uznać go za postać z sennego koszmaru. Nie ma się co łudzić, że kiedy rano otworzy oczy, jego tu nie będzie.

Śwędziało ją całe ciało. Marzyła o kąpieli. Zanurzyłaby się w wodzie po szyję. Nie zabrakłoby piany. Wonny olejek nawilżyłby skórę i złagodził ból. Murphy wymamrotał coś przez sen, przewrócił się na drugi bok, objął ją w tali i przyciągnął do siebie. Przytulił policzek do jej ramienia.

- Wycofaj oddział - mruknął. - Wchodzimy!

Ani drgnęła. W jego głosie słyszała rozpacz. Co go spotkało? Jakich doznał nieszczęść? Co ją to obchodzi? Był dla niej nikim. Zaciśnęła powieki, żałując, że nie może stąd

zwiąć na inną planetę. Długo leżała bezsennie. Aż wreszcie nie wiedzieć kiedy oczy same jej się zamknęły.

Woda napełniła rury letniego domu. Mac usiadła na łóżku i dopiero wtedy poznała charakterystyczny dźwięk. Zraz potem obudził się Murphy, błyskawicznie chwycił leżący na nocnym stoliku pistolet, gotów walczyć do upadłego.

- Spokojnie. - Wyrwała z jego uścisku związane ręce. - To woda. Pewnie fachowcy już tu są. - Przez szpary w zasłonach poranne słońce wpadało do sypialni.

Zreflektował się natychmiast i przypomniał sobie wszystko, co od niej usłyszał. Trzymając koniec sznura, który próbowała mu wyrwać, przysunął się bliżej i zaczął rozwiązywać supeł.

- Stań w drzwiach i podziękuj im, bo zaczną podejrzewać, że coś jest nie tak. Pamiętaj, żadnych sztuczek.

- Jasne! Niczego się nie domyślą, chociaż mam gałązki we włosach i brud na policzkach.

- Wyjrzyj tylko przez uchylone drzwi. Najpierw umyj twarz.

Stał za nią z pistoletem przystawionym do pleców, gdy przez szparę w drzwiach pozdrowiła mężczyzn wsiadających do ciężarówki. Najchętniej otworzyłyby je na całą szerokość i wrzasnęła na całe gardło, ale Murphy trzymał mocno jej dłoń; czuła także chłodny metal lufy. Fachowcy pomachali jej, uśmiechając się radośnie, i odjechali. Z westchnieniem zamknęła drzwi.

- Dobrze się spisałaś.

- Puść mnie. Ramię mam obolałe.

- Dokąd idziesz?

- Do piwnicy. Muszę odkręcić zawór zbiornika ciepłej wody. Chcę wziąć kąpiel, nim się ubiorę.

- Tylko nie rób głupstw. Rano jestem drażliwy.

Gdy schodzili do piwnicy, a potem wracali do salonu, trzymał się blisko niej. Przeszli do kuchni. Mac zaparzyła

kawę i zaczęła wstawiać naczynia do zlewu. Murphy siedział na krześle z łokciami opartymi na stole. Zapach świeżej kawy wytrącił go z równowagi. Niemal czuł jej smak, ale i sama woń dodawała mu sił.

Po chwili Mac postawiła przed nim kubek napełniony ciemnobrązowym płynem i zaczęła się krzątać po kuchni. Z każdy łykiem nabierał wigoru.

- Woda jest gorąca - oznajmiła, idąc w głąb domu.

- Nie chcę cię zastrzelić, ale nikt nie może się dowiedzieć, że tu jestem - odparł bez związku. - Drzwi łazienki zostaw otwarte.

Czy mógłby ją zastrzelić - nie w czasie walki tylko z zimną krwią?

- Wykluczone. Chodź ze mną. - Zaprowadziła go do sypialni, w której się przebierała, żeby przekonał się na własne oczy, że w sąsiadującej z nią łazience nie ma okna.

- Zostanę tutaj - powiedział, z trudem siadając na łóżku, bo kolana miał obolałe i sztywne.

Zabrała przygotowane ubranie, weszła do łazienki i zatrzasnęła za sobą drzwi. W kąpieli czuła się cudownie. Prawie zapomniała, że Murphy czeka za drzwiami. Odchyliła głowę do tyłu, zanurzając się w ciepłej wodzie, która łagodziła skutki niedawnej szamotaniny. Westchnęła z rozkoszy.

- Wyłaź! - zawołał po pewnym czasie. Nie miał ochoty siedzieć tu dłużej i słuchać plusku wody obmywającej jej ciało, i wyobrażać sobie, jak zanurza się powoli, a mokre włosy skręcają się w pierścionki na ramionach.

- Jeszcze chwila - odparła zirytowana.

Zapominając o natrętnej wizji, podniósł się i szarpnął drzwi.

- Jestem obolały, zmarznięty i też chciałbym się wykąpać. Chodź tu natychmiast.

Mac wyszła z wanny, osuszyła się ręcznikiem i włożyła swoje rzeczy. Policzki miała zarumienione; to pewnie skutek gorącej kąpieli.

Gdy weszła do sypialni, Murphy obrzucił ją spojrzeniem

pełnym uznania. Był wprawdzie wystraszonem uciekinierem, ale pozostał mężczyzną. Kręcone włosy dziewczyny jeszcze nie wyschły, twarz miała zarumienioną od ciepłej wody. Obcisłe dżinsy podkreślały szczupłe biodra i smukłe nogi, a ciemnoróżowy T-shirt przylegał do kształtnego biustu.

- Wracaj - polecił opryskliwie. Stanęła nieruchomo i popatrzyła na niego bez słowa. Sięgnął po ubranie, które przyniosła mu z garderoby, wziął ją za ramię i pociągnął do łazienki. - Wolisz, żebym cię przywiązał? - Rzuciła mu wrogie spojrzenie. - Nie zawaham się gonić cię na golasa. Jeśli wybiegniesz na zewnątrz, będę cię ścigać i w końcu dopadnę, ale to mnie wyprowadzi z równowagi.

Zrezygnowana Mac odwróciła się twarzą do ściany i usiadła na sedesie.

- Wykap się szybko.

Dobiegł ją szelest zdejmowanego ubrania, znajomy odgłos odkręcanych kranów i plusk wody. Murphy wszedł pod prysznic. Jęknął, gdy ciepły strumień spłynął po jego poranionym ciele. Kiedy Mac wstała, natychmiast odsunął plastikową zasłonę oddzielającą natrysk i chwycił dziewczynę za nadgarstek. Odwróciła się i wówczas zorientowała się, w jak marnej kondycji jest ten nieszczęsny człowiek. Barki miał całe w siniakach o różnych odcieniach czerni i granatu. Bok pokrywały rany. Dostrzegła także stare blizny - długie, nierówne szramy na żebrach i plecach. Rana postrzałowa na ramieniu była ciemna, zaogniona i otoczona szkarłatną obwódką. Rzut oka wystarczył, by dostrzec także zasinienie na biodrach oraz świeże strupy na kolanach sięgające ud. Mac odwróciła wzrok.

- Usiądziesz czy mam cię tu wciągnąć?

Boże, ile ten człowiek wycierpiał! Teraz i dawniej. Bez ubrania sprawiał wrażenie bezbronnego... i skatowanego. Poczwała się nieswojo. Co mu się właściwie przydarzyło? W ogóle mnie to nie obchodzi, uznała natychmiast. Cemu miałabym się nim przejmować?

Odsunęła jego dłoń i usiadła. Musi poznać jego historię. Wyobraziła sobie rannego, przestraszonego wilka gotowego zaprzysiąc się na całe życie z istotą, która okaże mu trochę serca, a zarazem gotowego rzucić się do gardła swoim prześladowcom.

Dużo później mężczyzna obserwował ją, gdy stała przy kuchence, przygotowując obiecane śniadanie. Plastry bekonu skwierczały na patelni. Poranek upływał tak zwyczajnie. Thomas Murphy łudził się przez chwilę, że zawsze tak będzie: dwoje ludzi przygotowuje sobie śniadanie po nocy spędzonej w jednym łóżku.

Od chwili gdy wyszedł spod prysznic, nie zamienili ani słowa. Podeszła do niego z maścią przyspieszającą gojenie i wtarła ją w jego skórę, a potem zmieniła mu opatrunek na głowie. Nie uszło jego uwagi, że podczas nakładania antybiotyku na ranę postrzałową zmarszczyła brwi. Rozbawiła go, gdy szukała miejsca, gdzie wyszła kula; natarła je leczniczą mikszturą. Potem starannie umocowała opatrunek i zabandażowała ramię.

Wyczuł zmianę jej nastawienia. Nadal się go bała, ale nie była przerażona. Może zechce mu pomóc? Bardzo tego potrzebował... i jednocześnie był to powód do zmartwienia. Należał do ludzi, którzy samotnie idą przez życie i nie liczą na cudze wsparcie.

- Chcesz grzanek?

Pytanie wyrwało go z zamyślenia. Podniósł wzrok.

- Jasne! Daj od razu kilka. I dżem z winogron.

Czy naprawdę zobaczył uśmiech na jej twarzy, nim pochyliła się znowu nad kuchennym blatem? To byłoby urocze.

- Nie ma dżemu winogronowego. Jest tylko mus z jabłek.

Wbiła do miseczki cztery jajka i dodała trochę mleka. Wylała zawartość naczynia na drugą patelnię i roztrzepała energicznie. Mimo woli wspominała bardzo podobny ranek; wtedy przy stole siedział jej brat. Miała zaledwie dziesięć lat, on skończył dwadzieścia. Przygotowała mu

śniadanie. Bekon był niedosmażony, jajecznica przypalona, a w soku pomarańczowym zostały pestki, ale Austin udawał, że nie jadł dotąd smacznego posiłku.

Dlaczego teraz o tym pomyślała? Może dlatego, że obcego mężczyznę cechowała podobna żywotność, a także skłonność do gniewu oraz gorycz, która u brata Mac pojawiła się wiele lat po tamtym śniadaniu. Pamiętała wszystko ze szczegółami, wspomnienia nie zblakły. Tęskniła za Austinem. Zawsze będzie go jej brakowało. Ta śmierć to ogromna strata; nikt nie potrafił w porę do niego dotrzeć.

Murphy zacisnął palce na brzegu stołu, w przeciwnym razie niczym dzikus rzuciłby się na jedzenie. Mac postawiła przed nim pełny talerz, dołała mu kawy i patrzyła, jak pałaszuje z apetytem. Przyglądała mu się z uwagą, żując plasterki bekonu.

- Co ci się przytrafiło, Murphy?

- Później.

- Słucham?

- Jak zjem - odparł, pokazując widelcem resztkę jajecznicy.

Prawdziwy z niego głodomór. Mogłaby się założyć, że od dawna nie miał nic w ustach. Spozregła nagle, że napiął mięśnie i zaraz je rozluźnił.

- Okropnie jesteś poraniony i posiniaczony.

Mruknął coś, wepchnął do ust kolejną porcję jajecznicy i z zapałem zaczął ją przeżuwać. Gdy skończył jeść, po raz pierwszy od kilku dni ogarnęło go zadowolenie. Nasycony odsunął talerz i sięgnął po kubek powtórnie napełniony kawą. Najwyższy czas wyjaśnić jej, co się stało. Miał nadzieję, że wyjdzie mu to na dobre.

- Jestem budowniczym. Jechałem właśnie, by zrealizować kolejne zlecenie, gdy zepsuł mi się samochód. Autostopem dotarłem do Concord. Zjadłem w barze lekką kolację, a tymczasem właściciel miejscowego warsztatu przyholował moje auto. Gdy usłyszałem, że trzeba sprowadzić kilka części

zamiennych, postanowiłem złapać okazję i jechać dalej. - Wzruszył ramionami, kiedy Mackensie spojrzała na niego z powątpiewaniem. - Szybko podejmuję decyzje i nie lubię czekać. Zatrzymali się dwaj mężczyźni jadący półciężarówką. Wyglądali całkiem zwyczajnie. Nie stronili od piwa, ale pili w granicach rozsądku. Potem w oddali pokazały się niebieskie i czerwone światła radiowozów. - Murphy podniósł się i wyjrzał przez okno. - Nim uświadomiłem sobie, co się dzieje, kierowca wcisnął gaz do dechy i zaczął się pościg.

- Trzeba im było powiedzieć, żeby cię wysadzili.

- Chyba żartujesz! - Zachichotał, a uśmiech w ułamku sekundy odmienił jego twarz, dodając jej uroku. - Trzymałem się kurczowo desek, żeby nie spaść z paki, nie miałem czasu na gadanie. - Usiadł wygodnie i upił łyk kawy. - Gdy policja zablokowała drogę, facet wjechał na pas zieleni oddzielający jezdnie, zawrócił i ruszył w stronę Concord. Zaczęła się strzelanina.

Gdy opowiadał o tamtym dniu, wspomnienia nabierały realności. Usłyszał pod czaszką cichy trzask. Po kilku chwilach przestał logicznie rozumować, a jego umysł znów funkcjonował jak automat.

3

*Gdy wciąż bez sensu politykują w Waszyngtonie
przed pomnikiem ofiar nowy znicz już płonie...*

- Kierowca stracił panowanie nad autem i wpadliśmy na barierkę. Po chwili zaroilo się wokół od glin. Wyciągnęli mnie z ciężarówki i kazali stanąć w rozkroku z rękami na masce. Ze strzępków rozmowy dowiedziałem się, że tamci dwaj obrabowali sklep motoryzacyjny w mia-

steczku. - Rzucił jej badawcze spojrzenie, ciekawy, jak na to zareaguje, ale nic nie wyczytał z pozbawionej wyrazu twarzy. Poruszył się niespokojnie na krześle i kontynuował opowieść. - Wszyscy trzej zostaliśmy aresztowani za rabunek i napad z bronią w rękę. Powiedziałem, że jestem zwykłym autostopowiczem, ale tamci dwaj wyśmiali mnie i dali do zrozumienia, że próbuję się wyłgać od odpowiedzialności. Inspektor tylko im przytakiwał. Trzej bandyci obrabowali sklep i w ciężarówce też było trzech facetów. Policja miała nawet rysopisy całej bandy.

- Chyba nie twój, co?

- Spójrz na mnie. Z wyglądu jestem dość przeciętny. Niczym się nie różnię od setek mężczyzn.

Nieprawda! Wręcz przeciwnie. Lepiej jednak o tym nie wspominać.

- Nie mogłeś poprosić, żeby najpierw sprawdzili twoje alibi?

- Od razu zabrali mi portfel i chcieli założyć kajdanki. Nie mogłem pozwolić, żeby mnie skuli. - Przyglądała mu się, odruchowo masując nadgarstki. - Zdałem sobie sprawę, że tamci dwaj oskarżają mnie o współudział, żeby chronić kumpla, z którym się rozdzielili. - Odżyła dawna wściekłość. Gdyby ich dostał w swoje ręce... - Wpadli i mieli zamiar pociągnąć mnie za sobą na dno, ale im się nie udało. Odepchnąłem gliniarza, wyrwałem mu pistolet i pobiegłem co sił w nogach. - Mackensie dostrzegła wyraz cierpienia w jego oczach. - Byłem gotowy na wszystko. Udało mi się zwiąć. Ukrywałem się przez wiele godzin, nigdzie długo nie zagrałem miejsca. Gliniarze bardzo chcieli mnie złapać. - Zewsząd dobiegało wycie syren, raz z bliska, raz z daleka. Ich jednostajny jęk rozbrzmiewał wokół, uprzedzając o śmiertelnym zagrożeniu. Ciało i umysł zbiega działały na najwyższych obrotach; wydawało mu się, że słyszy, jak otwierają się i zamykają pory w jego skórze. Tak samo było w Wietnamie.

- Mogłeś oczyścić się z zarzutów.

- W jaki sposób, skoro tamci stwierdzili, że należę do bandy? Wolałem nie ryzykować. W Wietnamie siedem miesięcy przesiedziałem w więzieniu. Miałem wtedy dwadzieścia trzy lata. - Pamiętał tamte dni tak wyraźnie, jakby to było wczoraj. - Już nigdy nie dam się zamknąć,

- Rozumiem. Mów dalej. - Więzienie, niewola, Wietnam, stare blizny. Zobaczyła go w innym świetle.

- Na skrzyżowaniu wskoczyłem do ciężarówki, która zatrzymała się przy czerwonym świetle. Gdyby gliniarze wówczas mnie dopadli, pewnie już bym nie żył.

- Raczej nie dałbyś się wziąć żywcem. Napad rabunkowy to jeszcze nie najcięższe z możliwych przestępstw. Chyba nie posunęliby się tak daleko, prawda?

Spojrzała na nią z politowaniem jak na idiotkę, która niewiele rozumie.

- Rabunek i stawianie oporu podczas aresztowania. Nie zapominaj, że dla gliniarza to prawdziwa katastrofa, gdy zatrzymany odbiera mu broń

Wzruszyła ramionami. Chyba miał rację.

- Wspomniałeś poprzednio, że znasz tę okolicę. Mieszkałeś tutaj?

- W Charlotte. Przez kilka lat byłem żonaty i tutaj się osiedliłem. Pracowałem jako ochroniarz. Po rozwodzie wyjechałem na północ, aby zacząć wszystko od początku. Mój brat kupił dziewięć hektarów starego lasu w Remington, w stanie Wirginia. Poprosił, żebym mu pomógł uporządkować teren i zbudować fiński dom. W zamian odstąpił mi cztery hektary lasu. Na tej działce zbudowałem chatę. Mieszkam w niej, gdy wracam w tamte strony.

- Nie mogłeś zadzwonić do brata i poprosić o pomoc?

- Nie chciałem go w to wciągać. Na rozprawie i tak zostałem przyparty do muru. Tamci dranie na pewno zeznawaliby przeciwko mnie.

Bez wątpienia miał to jak w banku.

- Gdzie mieszkałeś po opuszczeniu południa?

- Nie lubiłem przebywać długo w jednym miejscu, więc ciągle wędrowałem. Od lat jeżdżę od miasta do miasta. Moją bazą wypadową jest dom, który zbudowałem.

Wstała, żeby dolać kawy do kubków. Rzucił jej badawcze spojrzenie. Nagle zaczęło mu zależeć na tym, żeby uwierzyła jego słowom. Dlaczego? Przecież i tak musiała zrobić wszystko, co kazał.

- Moim zdaniem to nie jest dobry sposób na życie. Nie czujesz się samotny? - Wystarczyło jego spojrzenie, by zapomniała o tamtym pytaniu i zadała następne. - Jak mogę ci teraz pomóc?

- Potrzebne mi gazety. Jedźmy do miasta i kupmy parę. Chciałbym także, żebyś wpadła do pewnego sklepu.

- Zamierzałam zwiać, kiedy tam dojedziemy. - Wstała od stołu, by sięgnąć po zapałki i paczkę papierosów. Usłyszała jego westchnienie i wróciła na swoje miejsce. Pochylił się nad stołem, wyjął papierosa i zapalił zapałkę. Czuł na sobie jej wzrok, gdy zaciągnął się głęboko. Z jego ust wydobyła się smużka dymu. Mac usiadła na krześle, a Murphy podał jej ogień. Paliła, starając się zebrać myśli.

- Nie wiem, czy mogę ci wierzyć.

- Ja nie kłamię. - Oczy mu pociemniały.

- Skoro tak twierdzisz... - Gdy znieruchomiał, pojęła, że posuwa się za daleko. Jeśli chce zakończyć tę sprawę, powinna spełnić jego prośbę. Miała tyle ciekawych rzeczy do zrobienia.

- Wspomniałeś, że mam zajrzeć do jakiegoś sklepu.

Zrobi to dla niego! Wspaniała dziewczyna, na dodatek bardzo ładna. Po raz drugi zrobiło mu się przykro, że zadał jej ból.

- Chodzi o sklep z samochodowymi częściami zamiennymi, gdzie miał miejsce napad.

- Dlaczego mam tam pójść?

- Pogadasz ze sprzedawcami. Może podadzą ci rysopis

tamtych facetów, a zwłaszcza ich kumpla. Muszę go znaleźć, żeby oczyścić się z zarzutów.

Usłyszała nadzieję w jego głosie; tym ją ujął.

- Czemu po prostu stąd nie wyjedziesz?

- Gliny mają mój portfel, prawo jazdy, rysopis. - Wściekły i zrozpaczony zmarszczył brwi. - Na pewno rozesłali listy gończe. - Nerwowo palił papierosa. Nagle uniósł głowę, jakby coś go zaniepokoiło. Czyżby porównywał swoją obecną sytuację do przeżyć z Wietnamu?

- Chcesz coś dodać? - Wpatrywał się w nią bez słowa, więc ponownie zapytała: - Co jeszcze powinnam wiedzieć?

Niespodziewanie jego nastrój się zmienił, pytania pozostały bez odpowiedzi. Znow przejął dowodzenie.

- Pora jechać.

W drodze do Charlotte oboje milczeli. Murphy uważnie obserwował jezdnię i otoczenie. Mackensie bardzo chciała mu pomóc, nie wiedziała jednak, czemu tak jej na tym zależy.

- Spokojnie. Nie przyjdzie im do głowy, że pojawisz się z kobietą.

Przytaknął przyglądając się nadal okolicy. Miał powody do niepokoju. Gdyby go teraz złapali, Mac z jego winy odpowiadałaby za współudział.

Nagle poczuł się jak zbieg w dżungli. Widział przed sobą asfaltową drogę, samochody, drzewa, ale był znow w Wietnamie. Wymacał kolbę pistoletu, typ AK-47, i od razu poczuł się pewniej. Ilekroć sądził, że na dobre pozbył się wspomnień, tamte lata powracały. Gdy auto podskoczyło na nierównościach szosy, miał wrażenie, że to granat wybuchł w pobliżu. Podświadomie czekał, aż grudki ziemi spadną mu na hełm i mundur. Zrobił się nerwowo i był za to na siebie wściekły.

- Wkrótce będziemy na miejscu - powiedziała Mac, spostrzegłszy zmianę w jego zachowaniu. - Murphy? - spyta-

ła, gdy popatrzył na nią oczyma zaszczutego zwierzęcia. Natychmiast wziął się w garść.

- Zachowuj się naturalnie - tłumaczył. Musiał jej zaufać.
- Staraj się nie zwracać na siebie uwagi - dodał bez przekonania. Każdy mężczyzna obejrzy się za taką ładną kobietą.

Gdy zaparkowała przed sklepem, usiadł bokiem i wtulił głowę w ramiona. Mackensie sięgnęła po leżącą na tylnym siedzeniu czapkę baseballówkę z emblematem ulubionej drużyny i włożyła mu ją na głowę. Nagle zapragnęła jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zmienić sytuację i okoliczności. Potem ogarnął ją gniew. Do niedawna Murphy zachowywał się jak gbur, nawet podniósł na nią rękę. Cemu, do jasnej cholery, tak przejmowała się jego losem? Mimo to uspokajającym gestem dotknęła jego ramienia.

- Przestań się denerwować. Mam dobry pretekst, żeby tam pójść: muszę kupić odświeżacz powietrza do auta.

Z ponurą miną patrzył za nią, gdy wchodziła do sklepu. To fatalnie, że się oddaliła. Czyżby obawiał się, że ucieknie i zostawi go samemu sobie? A może zaczynało mu na niej zależeć? To przelotne dotknięcie, nim wysiadła z samochodu... Tym gestem dodała mu odwagi i zapewniła go o swojej sympatii.

Mac rozglądała się po sklepie, udając, że interesują ją odbłaskowe paski do ozdabiania drzwi oraz trójfazowe wycieraczki o szerokich piórach z plastiku. Obserwowała ukradkiem otoczenie oraz patrzącego w jej kierunku mężczyznę. Murphy także zerkał spod daszka czapki; ogarnął go niepokój, gdy sprzedawca wyszedł zza kontuaru i zbliżył się do Mac.

- Mogę w czymś pomóc?

- Za chwilę - odparła z uśmiechem.

Nieznajomy wyszczerzył radośnie zęby poźółkłe od tytoniowego dymu. Miał brudne paznokcie i nie używał dezodorantu.

- Jeśli pojawiają się kłopoty, Harry jest zawsze do usług. Życzenie pięknej pani jest dla mnie rozkazem.

- Dzięki, będę o tym pamiętać. - Popatrzyła znowu na półkę z akcesoriami.

Murphy siedział wyprostowany w fotelu pasażera i obserwował sprzedawcę, który stanął za Mac i obrzucił ją taksującym spojrzeniem. A to łajdak!

- Czy pan wie, co tu się niedawno zdarzyło? - zapytała słodkim głosem, trzepocąc długimi rzęsami.

- Jasne. W takich razach człowiek się zastanawia, czy warto prowadzić własny interes. Nastąpiły ciężkie czasy. Ludziska robią, co chcą. - Uśmiechnął się od ucha do ucha i wsunął kciuki za pasek spodni.

Przyglądała mu się ukradkiem. Miał około czterdziestki, był od niej trochę wyższy i marnie wyglądał; życie nie obchodziło się z nim łaskawie.

- Mówili o tym napadzie w wiadomościach. Policja szuka trzeciego bandyty, prawda?

- W końcu go dopadną - zapewnił skwapliwie. - Mają jego zdjęcie i tak dalej. Daleko nie ucieknie.

- A dwaj inni? - Zdjęła z pałaka odświeżacz powietrza ozdobiony wizerunkiem Myszkki Miki i skrzywiła się, czując zapach owocowej gumy do żucia. Sprzedawca wyciągnął brudne ramię i za jej plecami sięgnął po inny specyfik, przysunął do jej nosa i znowu wyszczerzył zęby.

- To pasuje do prawdziwej damy.

Zapach bzu? Wolne żarty! Pokręciła głową i sięgnęła po wypróbowany odświeżacz z sosną na etykiecie.

- Ma pan fajne nakrętki do zaworów?

- Jasne. Na tamtej półce.

Zerknęła ukradkiem przez okno, żeby się upewnić, czy Murphy czeka cierpliwie w samochodzie, i poszła za sprzedawcą ubranym w brudny niebieski fartuch.

- Każda dziewczyna dostaje gęziej skórki, jak pomyśli, że uzbrojony bandyta włóczy się po okolicy.

To nie do wiary, że potrafię wygadywać takie bzdury, pomyślała zdegustowana.

- Boi się pani?

- Jasne - odparła kokieteryjnie - ale to jest takie emocjonujące. Był pan tutaj? Co się właściwie zdarzyło?

- Patrzyłem w lufy ich pistoletów. - Uśmiechną się chętnie.

Mac sięgnęła po leżące na półce nakrętki w kształcie kości do gry i popatrzyła na nie z uwagą. Biała i czarna; chyba się nadadzą.

- Rozpoznał ich pan? To miejscowi? - zapytała mimochodem.

- Harry - dobiegł z zaplecza tubalny głos - przecież ci mówiłem, żebyś ustawił pojemniki z olejem na półce. Aha, obsługujesz klientkę. - Gburowaty mężczyzna odwrócił się na pięcie i wrócił tam, skąd przyszedł.

- Widziałem ich tak wyraźnie jak panią. Nie powiem, teraz jest na co popatrzeć. To mi bardziej odpowiada.

A mnie wręcz przeciwnie. Na twój widok w środku zimny uciekłabym boso do Nowego Jorku, stwierdziła w duchu, ale przywołała na twarz słodki uśmiech skromnisi. Podeszli do lady, Harry usiadł przy kasie.

- Policja wzywała pana na konfrontację? - Wolno uniosła zmrużone powieki i zwilżyła wargi czubkiem języka.

- Pewnie. Mam pomysł. Spotkajmy się dziś wieczorem. Zjemy razem kolację i opowiem pani wszystko ze szczegółami. Za godzinę zamykamy.

Mac wyjęła portfel, a sprzedawca wystukał należność na klawiaturze kasy.

- Należy się dolar. Kostki dostaje pani w prezencie ode mnie.

- Ojej, dzięki!

- Co z wieczorem? - Nie dawał za wygraną.

Wahała się przez chwilę, żeby go bardziej rozpaścić.

- Dokąd pójdziemy?

- Bar nazywa się „Cienisty zakątek”. Trzeba jechać na

północ Aleją Wiązów. Spotkamy się tam za godzinę?

- Zgoda.

- Jak ci na imię? - Od razu się rozpromienił.

- Mackensie. Cześć, Harry.

- Pa, Mackensie.

Nim wypowiedział do końca jej imię, dopadła drzwi i wybiegła ze sklepu. W drodze do auta starała się zalotnie kręcić biodrami. Była zde gustowana, gdy Murphy nagle szarpnięciem otworzył drzwi i burknął:

- Do diabła, czemu tak dziwnie chodzisz?

- Jeśli nie podoba ci się mój sposób działania, wyskakuj z samochodu i zostaw mnie w spokoju.

Odwrocił się i wbił wzrok w przednią szybę. Widząc drżące mięśnie jego policzków, Mac od razu się domyśliła, że trudno mu utrzymać język za zębami.

- Mamy randkę. - Wsunęła kluczyk do stacyjki. - Ten obleśny chudzielec twierdzi, że widział całą bandę. Szczerze mówiąc, nadal nie wiem, jak chcesz sam odszukać tamtego faceta.

- O co chodzi z tą randką? - Nie spodziewał się takiego obrotu sprawy.

- Za godzinę, w barze „Cienisty zakątek”.

- To ohydna spelunka. Nie będziesz tam bezpieczna.

Zahamowała ostro, widząc czerwone światło. Murphy zacisnął palce na desce rozdzielczej i zaklął cicho.

- Mam wrażenie, że ostatnio stale coś mi grozi. Mam ci pomóc czy dać sobie z tym spokój?

- Pomóż. - Murphy utkwiał spojrzenie w przedniej szybie. Jesteś mi potrzebna, pomyślał. Był wścickły; jeżeli tamten facet jej dotknie, jeśli położy łapę, gdzie nie trzeba, chyba rozerwie go na strzępy.

- Jeśli nie wyjdiesz stamtąd o rozsądnej porze, przyjdę, żeby cię zabrać.

- Poprzedniej nocy chciałeś mnie zastrzelić, a dziś udajesz rycerza? Przestań się wygłupiać. - Nacisnęła pedał ga-

zu, a pęd auta wcisnął pasażera w fotel. - Skoro mowa o strzelaniu, chciałabym wziąć twój pistolet.

Murphy znieruchomiał. Niemal słyszała jego myśli. Po chwili wyjął z kieszeni pistolet kaliber 38 i wsunął do jej torebki.

- Zasada działania jest prosta. Wystarczy pociągnąć za cyngiel.

- Jakieś zabezpieczenia?

- Żadnych. Pamiętaj tylko, że jest nabity. - Odsunął się znowu jak najdalej. - Jedźmy do tego baru. Rozejrzę się i sprawdzę, czy jest tam miejsce, z którego mogę cię obserwować, nie rzucając się w oczy. Nie ryzykuj. Wyciągnij od tego gościa jak najwięcej informacji i spadaj. Nie próbuj go zbyt długo bałamucić.

- Wiem, na co mogę mu pozwolić. Z tobą znacznie trudniej sobie poradzić. - Ruszyła w stronę „Cienistego zakątka”.

- Wiem, że to dziwne pytanie, ale czemu stałaś się nagle taka chętna do pomocy?

Sama nie wiedziała, jak wyjaśnić tę zmianę nastawienia, a może wolała zbyt szybko się w to nie zagłębiać.

- Oczarowała mnie twoja osobowość. Poza tym chciałabym, żebyś wyniósł się z leśnego domu.

- Już się mnie nie boisz? - Miał nadzieję, że to prawda. Nie chciał budzić w niej lęku.

- Sytuacja mnie przeraża, ale to całkiem inna sprawa.

„Cienisty zakątek” był podrzędną knajpą. Jaskrawopomarańczowy neon lśnił na tle pociemniałego nieba. Murphy został na czatach w samochodzie zaparkowanym po drugiej stronie ulicy. Mackensie miała nadzieję, że będzie obserwował wyjście. Gdyby musiała uciekać, nie powinna tracić czasu na poszukiwania.

Zapadał zmierzch. Wnętrze „Cienistego zakątka” było mroczne. Pod sufitem zbierał się dym. Wentylatory rozprasały go po całej sali. Stoliki się chwiały, a na blatach widać było okrągłe ślady po mokrych i brudnych szklankach.

Czuło się odór pieczonej cebuli i zjełczałego oleju. Mac znalazła wolny stolik niedaleko drzwi, obok nastawionej na cały regulator szafy grającej, i zamówiła coca-colę.

Murphy stał przed kioskiem koło „Cichego zakątka”, w połowie drogi między przecznicami, i przeglądał miejscową gazetę. Trzecia kolumna na czwartej stronie zwróciła jego uwagę.

Dwaj mężczyźni podejrzani o dokonanie w ostatnią środę napadu rabunkowego na salon motoryzacyjny T & R uciekli tej nocy z aresztu. Przepuszcza się, że dołączyli do trzeciego przestępcy, który zbiegł w czasie aresztowania. Policja zatrzymała całą trójkę po szalonym pościgu przez Concord. Jeden z bandytów przed trzema miesiącami pracował w salonie motoryzacyjnym. Wszyscy mają broń i stanowią poważne zagrożenie.

Poniżej zamieszczono trzy zdjęcia - w tym podobiznę Murphy'ego opatrzoną starannie wydrukowanym nazwiskiem. Włosy zjeżyły mu się na głowie. Zostawił na kontuarze ćwierćdolarówkę i pospiesznie ruszył w stronę knajpy.

Harry'emu nie przyszło do głowy, żeby się umyć. Mac upiła łyk coli i obdarzyła go radosnym uśmiechem. Rozpromienił się natychmiast i przesunął krzesło tak, by siedzieć obok niej.

- Zamówiłem steki z frytkami.

Wzruszyła tylko ramionami, jak przystało na słodką idiotkę.

Kelner przyniósł dwa talerze umazane tłuszczem. Postawił na stole dzban piwa i dwie niedomyte szklanki. Harry napełnił je i przesunął słoik z keczupem w stronę Mac. Gdy pokręciła głową, niemal całą jego zawartość wylał na swój talerz i zaczął jeść tak łapczywie, jakby od wielu dni nie miał nic w ustach.

Pomyślała o Murphym. Gdzie teraz jest? Czy kręci się

w pobliżu? Miała nadzieję, że zagłąda do knajpy przez brudne okna. Wbiła widelec w łykowate mięso i próbowała je pokroić wygiętym nożem pokrytym matowymi plamami.

- Mieszkasz w okolicy? - spytał Harry z pełnymi ustami.

- Przyjechałam na kilka dni. Moja siostra w sobotę wyszła za męża. Po weselu zrobiłam sobie krótkie wakacje. Mieszkam w Nowym Jorku.

- Tak sobie pomyślałem. Nie wyglądasz na miejscową. Coś mi w tobie nie pasowało. - Rozparł się na krześle.

- Na pewno wymowa - odparła żartobliwie, próbując się odprężyć.

- Nie tylko - odparł, kładąc szorstką rękę na jej dłoniach. Odsunęła je i przypomniała z uśmiechem:

- Obiecałeś mi opowiedzieć o napadzie.

Mężczyzna usiadł wygodnie i wpatrywał się w nią z zachwytem.

- Już miałem zamykać i szedłem gasić światła, gdy tamci trzej wpadli do środka i... Bierze cię ta sprawa, co?

Dobrze zrobiła, patrząc na niego jak urzeczona. Była urodzonym strategiem. Gdy pochylił się ku niej i zaczął szeptać do ucha, omal się nie cofnęła.

- Po kolacji możemy pójść do mnie.

- Niestety, za godzinę mam spotkanie - odparła, spoglądając na zegarek.

Pogładził cienką zamszową bransoletkę na jej nadgarstku.

- Może jutro? Twój słodki Harry zadba, żebyś się dobrze bawiła. Przeżyjesz niezapomniane chwile.

Litości! Poprawiła się na krześle i zebrała wszystkie siły, żeby ciągnąć tę rozmowę. Nie potrafiła zrozumieć, czemu tak się poświęca. Murphy nic dla niej nie znaczył, a jednak dla niego narażała się na niebezpieczeństwo.

- Zobaczmy. Opowiedz mi o bandytach. - Wrzuciła frytkę do ust, żeby nie zakłąć. Najchętniej dzieliłaby tego natręta talerzem w głowę.

- Gdy zamknęli drzwi, klucz zgrzytnął tak głośno, aż

echo rozeszło się w pustym sklepie. Chciałem pobiec do tylnego wyjścia, ale wszyscy trzej rzucili się na mnie. Jeden z nich wsunął mi do ust lufę spluwy. - Harry zrobił efektowną pauzę, gdy wstrzymała oddech. Zadowolony, ciągnął opowieść. - Przycisnęli mnie do lady i opróżnili kasę. Podeszli do sejfów i kazali mi go otworzyć. Człowiek spełni każde żądanie, gdy lufa pistoletu kaleczy mu język.

- Jasne. Mów dalej. - Czuła się paskudnie.

- Naprawdę cię wzięło! Pewnie w Nowym Jorku okropnie się nudzisz.

- Pracuję od dziewiątej do piątej, a potem wracam do domu. - Wzruszyła ramionami. - Faceci gadają tam wyłącznie o interesach. Lubię mężczyzn z południa. Każdy z nich to kawał chłopa. - Zmusiła się do wyciągnięcia ręki i pomacała twarde jak skała mięśnie jego ramienia. Uśmiechnęła się, nie kryjąc podziwu. - Co się stało, gdy otworzyłeś sejf?

- Oberwałem w głowę, choć biłem się jak szalony. Tuż za miastem wyrzucili mnie z ciężarówki.

- Miałeś dużo szczęścia. - W przeciwieństwie do Murphy'ego. Trzeba to zmienić. - Mogli cię zabić - dodała z westchnieniem.

Murphy irytował się, bo nie miał pojęcia, co się dzieje w knajpie. Nasunął czapkę na oczy, podszedł z boku i zajrzał przez brudne okno, ale nic nie zobaczył. Nie powinien tam wchodzić, to zbyt duże ryzyko, lecz mimo to rozejrzał się, sprawdzając, czy nikt mu się nie przygląda, i wślizgnął się od tyłu.

- Żałowałabyś, gdyby coś mi się stało? - Harry uniósł jej dłoń i tłustymi wargami wycisnął na niej pocałunek. Mac poczuła mdłości.

- Jasne. Straciłabym wówczas szansę na zawarcie miłej znajomości. - Miała nadzieję, że to poświęcenie się opłaci. Harry przysunął krzesło jeszcze bliżej.

- Jeśli zajrzysz do mnie jutro wieczorem, usłyszysz więcej szczegółów, o których nie wspomniałem nawet policji.

- Na przykład? - Po prostu nie mogę się doczekać, pomyślała, spoglądając mu w oczy.

- Chyba odkryłem, gdzie się ukrywają tamci dwaj, co zwiali.

- Jak to? - Była wyraźnie zbита z tropu.

- Wiem, co mówię. Przecież ostatniej nocy uciekli z aresztu!

- Pierwszy raz o tym słyszę. - Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach. Harry uśmiechnął się i puścił do niej oko. Chyba naprawdę coś wie. A to drań! Najwyraźniej prowadzi podwójną grę! Trzeba zdobyć na to dowody.

- Zatańczysz, Mackensie?

- Chętnie, ale tylko raz.

Ujął jej dłoń i zaprowadził ją na niewielki parkiet obok szafy grającej.

- Jeden taniec mi wystarczy, dziecko.

Słuszna uwaga, pomyślała, kładąc dłoń na jego ramieniu. Przytulił ją i zaczęli się kołysać w rytm muzyki. Przyłgnął do niej biodrami i ukradkiem pocałował w skroń. Dreszcz obrzydzenia uznał za spazm rozkoszy. Piosenka ciągnęła się w nieskończoność.

Murphy przemknął wąskim korytarzem; na widok kręcącego się w pobliżu gościa zniknął w męskiej toalecie. Uchylił drzwi, wyjrzał ostrożnie i popatrzył na tańczącą parę. Ogarnęła go wściekłość i obrzydzenie. Oczy mu pociemniały; utwierdził się w przekonaniu, że bezzwłocznie musi doprowadzić tę sprawę do końca. Im prędzej się z nią upora, tym szybciej Mac będzie znów bezpieczna.

Dziewczyna odetchnęła z ulgą, gdy skończył się taniec. Podbiegła do stolika i chwyciła torebkę. Poczowała ciężar ukrytego w niej pistoletu i od razu nabrała pewności siebie. Oceniała, że Murphy potrzebuje całego dnia, żeby dojść do siebie, i dlatego postanowiła zaryzykować, chociaż mogli stracić trop.

- Wolałabym zobaczyć się z tobą pojutrze. Gdzie się spotkamy?

Bezmyślny Harry od razu połknął przynętę.

- Tutaj. Moja przyczepa stoi na tyłach lokalu.

- Świetnie. O której?

- Wrócę około szóstej. Wpadnij, kiedy zechcesz. - Gdy dotknął jej policzka, zdobyła się na uwodzicielski uśmiech słodkiego kobieciątka. Zachowaj spokój, powtarzała sobie w duchu, musisz dopiąć swego. Najchętniej uciekłaby natychmiast, ale powstrzymała się wysiłkiem woli i bez pośpiechu wyszła z knajpy.

Wiatr przyjemnie chłodził twarz, gdy rozglądała się w poszukiwaniu Murphy'ego. Marzyła, by jak najszybciej wrócić nad jezioro Tillery, do domu stanowiącego względnie bezpieczną kryjówkę.

Ulicą przejechał radiowóz. Strach chwycił ją za gardło, gdy otwierała drzwi auta. Może spostrzegli Murphy'ego? Gdzie on się podziewa? Uruchomiła silnik i wolno ruszyła w stronę wyjazdu z parkingu, rozglądając się na wszystkie strony.

- Cholera jasna! Gdzie się włóczysz?

- Nie zwalniam.

Omiał nie podskoczyła do sufitu na dźwięk jego głosu. Leżał zwinięty w kłębek na tylnym siedzeniu.

- Niech cię diabli...

Był na siebie zły, ale nie powinna o tym wiedzieć.

- Jedź dalej! Kilka radiowozów patroluje okolicę.

Wyjechała z miasta, uważając, by nie przekroczyć limitu szybkości.

- Zgubiliśmy gliny. Nie rób mi więcej takich niespodzianek. Omiał nie dostałam przez ciebie ataku serca. Kiedy wreszcie przestaniesz mnie zaskakiwać?

Kątem oka widziała, jak przełączy z tylnego siedzenia na fotel obok niej. Po chwili usłyszała ponury głos.

- Tamci dwaj uciekli - oznajmił.

- Wiem. - Długimi paznokciami stukała w kierownicę.

- Skąd?

- Nasz słodki Harry mi o tym powiedział. Murphy, on coś ukrywa. Dał mi do zrozumienia, że wie, gdzie jest kryjówka zbiegów. Umówiłam się z nim. Pojutrze około siódmej. Zajrzę do jego przyczepy. Stoi za knajpą. Wypijemy po szklaneczce...

Odezwała się w nim wrodzona potrzeba opieki nad innymi. Nie był w stanie jej stłumić. Wściekłość skupiła się wreszcie na konkretnej przeszkodzie. Rzucił gazetę na tylne siedzenie.

- Niech to diabli! Nigdzie nie pójdziesz.

- Co to ma znaczyć? Myślisz, że wolno ci mną komenderować? Zrozum, dam sobie radę, a poza tym jestem pewna, że wyciągnę z niego wszystko, co chcemy wiedzieć, nim zacznie się do mnie kleić. Na wszelki wypadek wezmę pistolet. Murphy, to jedyne wyjście.

- Wykluczone. - I tak źle się stało, że ją w to wciągnął. Teraz zamierzała się narazić na kolejne, znacznie poważniejsze niebezpieczeństwo.

- Nie da się ukryć, że wpłatałaś mnie w swoje sprawy, chociaż się opierałam. - Mac prowadziła wpatrzona w krętą drogę. - Teraz zamierzam poszukać wyjścia z sytuacji. Poza tym im prędzej wypłyniesz na czyste wody, tym szybciej będę mogła zająć się swoimi sprawami.

- Masz robić to, co ci każe. - Chwycił ją za ramię. - Nie będziesz się więcej spotykać z tym natrętem. Jutro pójde tam i ostrożnie wybadam sprawę. Może się czegoś dowiem.

- Chcesz zmarnować taką okazję? - Spojrzała na niego drwiąco. - Jak mnie powstrzymasz? Znowu mnie Przywiążesz do łóżka? Chyba żartujesz! Moim zdaniem Harry należy do bandy.

Murphy brał pod uwagę taką możliwość.

- Zapewne. Albo zna drani i dlatego znalazł im bezpieczne schronienie, żeby przeczekali obławę. Może ukryli tu pieniądze i dopiero za jakiś czas będą je mogli zabrać?

Moim zdaniem to jedyny powód, który mógł ich skłonić do pozostania.

- Pojutrze dowiem się wszystkiego, a tymczasem my także powinniśmy zaszyć się w bezpiecznym miejscu i nabrać sił.

- Zapamiętaj sobie, że nigdzie nie pójdziesz.

- Nie zamierzam się z tobą spierać. Idę i już. Jeśli spróbujesz mnie zatrzymać, wezwę gliny, piechotę morską i miejscowe harcerki. Będziesz się przed nimi tłumaczył.

Dumnie uniosła głowę. Miała dość słuchania cudzych poleceń. Niedobrze jej się robiło na myśl, że inni dyktują, co ma robić. Poza tym już wiedziała, że problemy Murphy'ego nie zaczęły się wówczas, gdy zatrzymał feralną ciężarówkę. Przeczuwała, że od dawna coś go dręczy. Powstała między nimi więź, całkiem realna, chociaż trudna do określenia, a nią samą targały sprzeczne uczucia: chciała, aby ten mężczyzna po prostu zniknął, a z drugiej strony pragnęła mu pomóc.

Śmiało wzięła następny zakręt. Jej pasażer zaklął, gdy auto przechyliło się na bok, a potem odsunął się od drzwi.

- Wiem, że potrafisz dużo gadać. Mam nadzieję, że w działaniu także okażesz się skuteczny. Ktoś mnie powinien ubezpieczać - powiedziała z uśmiechem.

Zaklął półgłosem i zapalił papierosa. Wnętrze auta szybko napełniło się dymem. Mac uchyliła okno.

- Ułożę plan, którego musisz się trzymać. - Murphy poruszył się niespokojnie, czując zapach jej perfum. Trzeba znaleźć sposób, żeby ją chronić. - Będziesz robić, co każę, jasne?

- Straszny z ciebie uparciuch. - Zniecierpliwiona westchnęła ciężko. - Walcz z tą bandą, a mnie zostaw w spokoju. Nie mam pojęcia, czemu postanowiłam ci pomóc, ale zdania nie zmienię. I przestań się tak o mnie troszczyć. Dam sobie radę.

- Szkoda, że od razu nie utopiłem cię w jeziorze. - Mężczyzna odsunął się i oparł o drzwi z ponurą miną.

Mac drżała w ciemnym wnętrzu auta. Sprzeczne uczu-

cia niczym fala sztormowa zmiotły dawny lęk przed Murphym, lecz i one stanowiły dla niej poważne niebezpieczeństwo. Miała złe przeczucia, ale postanowiła na razie zapomnieć o wątpliwościach. Teraz najważniejsze było znalezienie wyjścia z trudnej sytuacji.

4

*Gdyby sfilmować moje sny,
co za historie w kinach by szły!*

Mac ucieszyła się na widok ciemnej sylwetki leśnego domu, którą ujrzała między drzewami. Zaparkowała przed wejściem i wyłączyła silnik. Zapadła kłopotliwa cisza. Murphy zgasił niedopałek w popielniczce. Bolała go głowa i był śmiertelnie zmęczony. Dziewczyna spojrzała na niego ze współczuciem, otworzyła drzwi i wysiadła. Kiedy znaleźli się w domu, od razu przystąpiła do rozpalania ognia na kominku, używając do tego gazety, którą zostawił na kanapie. Słyszała, że wszedł do kuchni.

Otworzył lodówkę i postanowił, że przygotuje dla Mac smaczny posiłek. W „Cienistym zakątku” na pewno dostała jakieś paskudztwo. Z namysłem przyglądał się skromnym zapasom. Musiał przyznać, że Mac sporo przeszła z jego powodu. Poczuł się winny, gdy stanęły mu przed oczyma sceny z poprzedniej nocy. Teraz powinien zrobić wszystko, co w jego mocy, by oszczędzić jej cierpienia. Zasługiwała na lepsze traktowanie. Miała rację, powtarzając, że powinien zniknąć z jej życia.

Płomienie strzeliły wysoko i zahuczały w kominie. Murphy nie zaprotestował, gdy dziewczyna poszła w głąb korytarza. Nie musiał już bez przerwy obawiać się o swo-

je bezpieczeństwo. Domyślał się, że zmienia pościel. Wkrótce usłyszał szum wody; no tak, Mackensie bierze kąpiel. Rozmarzył się, a ukryte pragnienia chwilowo wzięły górę nad rozsądkiem.

Przywykł do surowego życia na budowie i trudnych warunków w przygodnych mieszkaniach. Zwykle tłumił i ukrywał swoje uczucia, ale teraz chciwie łowił uchem domowe odgłosy, które sprawiły, że nagle ogarnął go spokój, jakiego nie zaznał od lat.

Pragnął Mac; to przecież oczywiste. Przy niej myślał o różach, winie, romantycznych kolacjach w nastrojowej knajpce z przyćmionym światłem. Przy dźwiękach muzyki wzięły ją czule w ramiona, a ona kołysałaby się w jego objęciach. Kiedy podniosłaby swoje śliczne oczy, musnąłby wargami jej usta... Chyba mu odbiło! Dlaczego myślał o niej w ten sposób? Znaleźli się w nietypowej sytuacji. Nie trzeba speców z wywiadu wojskowego, żeby wydedukować, co się dzieje. Mac jest piękną kobietą, jemu nie brak męskiego wigoru. Przymusowe sam na sam powoduje, że głupie myśli przychodzą człowiekowi do głowy.

Usiadł w bujanym fotelu przed kominkiem i obserwował płomienie, które falowały i strzelały wysoko. Wyłączył już piekarnik, w którym czekały dwie ogromne kanapki z mięsem i serem. Powieki mu ciążyły, mięśnie miał rozluźnione, lecz wola przetrwania, dzięki której przeżył wojnę w Wietnamie, sprawiała, że mimo wszystko pozostał czujny. Już zasypiał, gdy coś się obok niego poruszyło. Wstał, obrócił się i w tym samym momencie chwycił...

- Puść mnie! - Wystraszona Mac krzyknęła, gdy silne ramiona zacisnęły się na jej talii. - Sądziłam, że ten etap mamy już za sobą.

- Nie skradaj się tak, kiedy jestem w pobliżu. - Opuścił ręce, starając się ukryć zmieszanie.

- Łudziłam się, że nabierasz już ludzkich cech. Uspokój się... Co tak pachnie? Kolacja? Umiesz gotować? Cie-

kawe. Nie przyszło mi to do głowy. - Gdy zauważyła, że nalał sobie koniaku, napełniła kieliszek winem i poszła do kuchni po jedzenie.

Przyniesioną tacę umieściła na ceglany murku komin-ka, usiadła obok i podała Murphy'emu talerz, rozkoszując się ciepłym przyjemnie rozgrzewającym plecą. Włożyła zwykły domowy strój: czarne dżinsy i białą koszulkę Z ba-wełny, ale czuła na sobie zachwycone męskie spojrzenie.

Zerknęła na niego pogrążona w zadumie. Chciała, żeby znik-nął z jej życia. Dlaczego na myśl o tym zrobiło jej się tak przy-kro? Może doszły u niej do głosu, typowe dla kobiet, skłonno-ści opiekuńcze oraz chęć pomocy cierpiącym. Czy może być inny powód serdeczności, którą dla niego żywiła? Miał szczę-ście, w przeciwnym razie postępowałaby z nim inaczej.

- Napuszczę ci wody do wanny. Powinieneś opłukać swoje poranione ciało.

Skinął tylko głową. Dobry pomysł. Bardzo chętnie. A jeśli ona w tym czasie wymknie się z domu i zostawi go własnemu losowi?

- Nie mam zamiaru uciekać - oświadczyła. Spojrzał na nią, pytająco unosząc brwi. - Z pewnością nie zakłuję cię nożem ani nie odjadę z piskiem opon.

- Dlaczego? - spytał, zaniepokojony jej słowami; zbyt łatwo czytała w jego myślach.

- Nie wystarczy ci moja obietnica? Marnie wyglądasz, chyba ci się pogorszyło. Kiedy mnie złapałeś, poczułam, jak-że gorące są twoje dłonie. - Odsunęła talerz, wstała i poło-żyła rękę na jego czole. - Jesteś rozpalony! - wykrzyknęła Z niepokojem. - Rana jest zakażona albo złapałeś grypę. Po kąpieli muszę obejrzeć ramię.

- Przesadzasz! Usiadłem zbyt blisko ognia i dlatego je-stem taki rozgrzany. - Gardło miał opuchnięte, głowa na-ndał go bolała, chociaż zjadł kolację i trochę odpoczął. Ra-mię mu dokuczało... szczerze mówiąc, tracił siły, ale to drobnostka w porównaniu z tym, co przeszedł w Wietna-

mie. Mimo woli znów wspominał tamte lata. Żaden pa-
skudny szczegół nie zatarł się w jego pamięci. Poczutł znów
smród ciasnej celi, która przez wiele dni, tygodni, miesię-
cy była jego piekłem. Znalazł się niespodziewanie w ogar-
niętym wojną kraju.

- Jesteś błądy jak ściana. - Mackensie była poważnie za-
niepokojona. - Jak się czujesz?

- Dobrze. Przestań mnie wypytywać. - Z trudem wró-
cił do rzeczywistości. Kanapka z mięsem i serem poprawi-
ła mu samopoczucie, lecz bardziej cieszyło go bijące z ko-
minka ciepło i obecność Mac. Uniósł głowę i napotkał jej
wzrok. Przyglądała mu się uważnie. Milczeli przez chwi-
lę, zadowoleni ze swego towarzystwa.

- Czemu nie ożeniłeś się po raz drugi? - zapytała w koń-
cu. - Przez te wszystkie lata żadna kobieta na ciebie nie
poleciała? Abstrahując od innych cech, przystojny z cie-
bie facet.

- Już ci mówiłem - odparł z uśmiechem. - Unikam zobo-
wiązań. - Patrzył, jak sięga po ziemniaczane chrupki, wkła-
da je do ust i zlizuje sól z palców. Szybko odwrócił wzrok.

- Wolisz się zestarzeć w samotności? - spytała z niedo-
wierzaniem. - Nie chcesz mieć dzieci?

- Dlaczego tak sądzisz? - Jej pytanie bardzo go zanie-
pokoiło.

- Jeśli mam być szczerą, nie wierzę, abyś chciał zrezygno-
wać z tego wszystkiego z obawy, że coś innego utracisz.

Popijał wolno koniak nalany z butelki znalezionej
w kredensie. Alkohol przyjemnie rozgrzewał gardło
i wnętrzności. Nie dbał o to, jakie zdanie ma o nim Mac-
kensie. Kimże jest, żeby go oceniać?

- Mógłbym ci opowiedzieć o sprawach, które nie miesz-
czą się w głowie. Są i takie, o jakich w ogóle nie chciała-
byś słuchać. - W jego spojrzeniu zobaczyła chłód, który
po chwili zniknął. - Powiedz mi teraz, jaka jest twoja wy-
mówka. Nie jesteś brzydula, nie brak ci wdzięku i zdro-

wego rozsądku. - Wybuchnął śmiechem. Mężczyzna łatwo może stracić głowę dla kobiety takiej jak ona: miłej, łagodnej, ciekawej życia niczym młoda kotka.

- Skąd wiesz, że nie mam nikogo? - Wyprostowała się z godnością.

Murphy wzruszył ramionami.

- Nie widzę obrączki. Poza tym żaden mężczyzna przy zdrowych zmysłach, którego byś poślubiła, nie zgodziłby się na tak długą rozłąkę. W każdym razie ja nigdy bym ci nie pozwolił na samotny wyjazd.

Z uśmiechem przyjęła ten przypadkowo wypowiedziany komplement. Zarumieniła się, uświadamiając sobie, że patrzy na jego usta. Ciekawe, co by czuła, gdyby ją pocałował. Nie spodziewała się po nim szczególnej tklivości i delikatności; sama wolałaby zresztą pocałunek zachłanny i niecierpliwy. Zawstydzona głupimi marzeniami zebrała papierowe talerze i wrzuciła je do kosza.

Co się z nią działo? Czemu w ten sposób o nim myślała? Przecież to zbieg, który tłumi i ukrywa swoje uczucia. Czego by się dowiedziała, gdyby otworzył przed nią serce? Odwróciła się i usiadła na podłodze przed kominkiem, podciągając wysoko kolana i obejmując je ramionami.

Murphy nadal ją obserwował. Blask ognia rozświetlił szczupłą postać. W tej chwili nikt by nie pomyślał, że ta dziewczyna zdolna jest walczyć z zjadłością dzikiej kotki, kokietować głupiego sprzedawcę, parzyć spokojnie kawę, choć jej życie jest w niebezpieczeństwie, celnie boksować i kopać.

Rozmaite sytuacje stawały mu przed oczyma. Niechętnie zgodził się, żeby poszła dziś do „Cienistego zakątka”. Wczorajszej nocy gotów był na wszystko, byle dowieść, że jest niewinny. Teraz zamierzał ją przekonać, aby tam nie wracała.

- Rano pojedę do miasta i powęszę dyskretnie koło przyczepy. Może znajdę jakieś dowody i nie będziesz mu-

siała tam iść. Zabraniam ci samotnie spotykać się z tym obleśnym chudzielcem.

- Daj spokój. Z tobą czy bez ciebie zrobię, co wcześniej zaplanowałeś. Podejrzewam, że bandyci ukrywają się w przyczepie. Obejrzą całą trójkę i pojedą na policję. Gliny ich aresztują i będzie po sprawie. Zanotowałam numer rejestracyjny samochodu. Wszystko pójdzie jak z płatka.

Murphy pokręcił głową.

- Pozory mylą. Raz jeszcze powtarzam: nigdzie nie pójdziesz.

- Zrozum, że nie jesteś w wojsku, a ja nie muszę słuchać twoich rozkazów. Ty mnie w to wciągnąłeś i nie zamierzam się teraz wycofać. - A poza tym, rzekła w duchu, to najlepszy sposób, żeby się ciebie pozbyć. Głośno zaś dodała: - Jak byś się czuł, gdyby w Wietnamie jeden z twoich towarzyszy broni wycofał się nagle, bo zrobiło się niebezpiecznie? - Wstała i zaczęła chodzić po pokoju.

- Przestań gadać bzdury. Nie masz pojęcia, jak było w Wietnamie. - Nie miał ochoty na wyjaśnienia. Żadne słowa nie opiszą, czego tam doświadczył. Zresztą i tak nikt tu nie chciał słuchać takich zwierzeń. Znow ogarnęło go zgorzyczenie.

- Dzięki. Thomas Justice Murphy wygłosił swoje zdanie, więc sprawa zamknięta. - Mackensie wiedziała, jak cierpieli żołnierze wracający z tamtej wojny. Chętnie by o tym zapomniała. - Nie przyszło ci do głowy, że mogę coś wiedzieć na ten temat?

- Nie - burknął.

Wolała nie zgłębiać tego tematu. Wzbierała w niej złość, ale stłumiła ją, bo nie mogła sobie teraz pozwolić na marnowanie sił. Murphy przymknął oczy. Był cholernie zmęczony. Jak ma prowadzić ważną dyskusję, skoro oczy mu się kleją? Co chwila zapadał w drzemkę. Zasympiał już, gdy usłyszał własny głos:

- Tam byłem kimś.

Ogarnęło ją wzruszenie. Te słowa trafiły jej do serca. Podeszła do bujanego fotela, uklękła obok i położyła dłoń na gładkiej poręczy z drewna wiązu.

- Wszyscy tak się czuli. Tu również możesz wiele znać, jeśli tego chcesz. Założę się, że podkomendni cię uwielbiali.

- Byliśmy jak bracia. - Zmęczenie i wypity alkohol sprawiały, że mówienie przychodziło mu z trudem. - Byłem z nimi bardzo związany. Walka, partyzanci, zasadzki, długie noce, krew... Tkwią we mnie. Gdy wróciłem do domu, wszystko było inne. Ja nie.

Znajome słowa. Pewnie mu się wydawało, że wszyscy żyli szczęśliwie bez niego, chociaż każdej nocy, każdego dnia narażał życie dla ludzi, którzy nie znali nawet jego imienia. Mac słyszała o błogosławionej, ale tylko chwilowej uldze, gdy zarządzano postój, o nagłym przypływie adrenaliny, gdy zaczynał się ostrzał, a fontanny ziemi...

Gdy dobiegł ją regularny oddech, domyśliła się, że zasnął. Obserwowała, jak twarz z wolna mu się odpręża, jak wygładza się czoło i znikają zmarszczki wokół oczu. Zaciśnięte wargi rozchyliły się, powracając do naturalnego kształtu.

Gdy kilka minut później Murphy wzdrygnął się, od razu całkiem rozbudzony, odruchowo uskoczyła w bok, a jej serce biło jak oszalałe. Litości, kiedy ten wariat przestanie ją zaskakiwać?

- Nie pójdziesz tam. - Spojrzał jej w oczy i ciągnął, jakby nie przerwali rozmowy: - Znajdę wyjście z sytuacji. - Powieki znów mu opadły.

- Potrafię być równie uparta jak ty. Zamierzam spotkać się z Harrym. Jeśli stanie się natarczywy, wyciągnę pistolet i odstrzelę mu... wiesz co. W razie czego będę krzyczeć, ktoś na pewno usłyszy. Trzeba spróbować.

Fotel znieruchomiał, bo Murphy ponownie zasnął, uśpiony ciepłem bijącym od kominka. Zmęczenie dawało mu się we znaki, a względny spokój pomógł się odprężyć.

Tym razem, gdy się przebudził Mac natychmiast zapędziła go do wanny napełnionej ciepłą wodą, potem podeszła do niego i spojrzała z ponurą miną.

- Teraz pokaż mi ramię.

Zdjęła ręcznik, którym je owinała. Skóra była rozgrzana po kąpieli, a na włosach lśniły kropelki wody. Ujrawszy rozległe zaczerwienienie wokół rany oraz jej poczerwiałe brzegi, Mackensie od razu się domyśliła, że jest fatalnie.

- Marsz do łóżka - rozkazała, a sama podbiegła do apteczki i zaczęła przeszukiwać jej zawartość. Jak mu pomóc? Miała spirytus do oczyszczenia rany i namoczone w ciepłej wodzie ręczniki do robienia okładów.

Zasypiał, gdy wpadła do sypialni. Usiadła na brzegu łóżka, ciasno owinęła mu ramię i wylała na tkaninę dostatecznie dużo alkoholu, żeby nadmiar spłynął do rany i dobrze ją zdezynfekował. Kiedy Murphy ryknął z bólu, wiedziała, że się udało. Próbował ją odsunąć i wstać, ale pchnęła go na posłanie.

- Uspokój się i leż spokojnie. Mam nadzieję, że kompres i alkohol pomogą zwalczyć infekcję. W przeciwnym razie zabiorę cię do najbliższego szpitala.

Rozebrał się, nim się położył w czystutkiej pościeli. Podczas szamotaniny, kołdra zsunęła się, odsłaniając nagie ciało. Mac naciągnęła ją pospiesznie, dotykając go niechętnie. Od razu zaniechał oporu. Otuliła go starannie i zabrała się do mierzenia temperatury.

- Nie trzeba - burknął, odsuwając jej rękę.

- Pomiar temperatury - tłumaczyła, uśmiechając się jak kot z Cheshire - można wykonać, wsadzając termometr do ust chorego lub do jego tył...

Natychmiast chwycił mały przyrząd i wsunął między wargi. Po pięciu minutach z niepokojem odczytała wynik: nieco ponad czterdzieści stopni.

- Poczekamy trochę, może gorączka spadnie, ale potem jedziemy do miasta. Powiemy glinom, jak było, niech robią, co do nich należy.

- Nie - rzucił, chwytając ją za rękę. - Sam znajdę dra-
ni. - Błagalnie spojrzął jej w oczy. - Obiecaj. Parę godzin
odpoczynku i wyzdrowieję. Żadnej policji.

Mogła przerwać ten koszmar, i to natychmiast. Wystar-
czyło poczekać, aż Murphy zaśnie, i wezwać gliny. Roz-
luźnił uścisk, ale nadal ją obejmował. Poczowała wzruszenie.
Zrozpaczony człowiek błagał o pomoc.

- Nie wezwę policji.

Odetchnął z ulgą i wypuścił ją z objęć. Spojrzął
z wdzięcznością; zakłopotana odwróciła wzrok i z prze-
sadną energią grała rolę siostry miłosierdzia.

Oczy miał przymknięte, znajomy głos dochodził jakby
z oddali. Ostrożne dłonie przecierały jego skórę ręcznikiem
zmoczonym w zimnej wodzie. Odruchowo przeżył mięśnie
pod wpływem jej dotyku; brakowało mu sił, by powstrzy-
mać naturalną reakcję. Mimo gorączki czuł wzbierające po-
żądanie. Gdyby był rozbudzony i przytomny, pewnie by
nad sobą zapanował, ale na granicy jawy i snu, rozmarzo-
ny i pobudzony mimowolną pieśczętą Mac, wyciągnął ra-
miona i próbował ją przytulić. Chciał poczuć na rozpal-
onych wargach chłód jej ust. Pragnął się w niej zatracić, nie
myśleć i nic nie czuć, tylko zaspokoić tajemne pragnienie.

Odsunęła jego ręce, gdy dotknął jej ramion, a potem
szyi. Natarczywe palce musnęły jej biust, więc chwyciła go
za nadgarstki i okryła kołdrą po szyję. Czuła, że cała pło-
nie. Była sam na sam z mężczyzną, którego pragnęła. Jasna
sprawa... i bezprzykładna głupota, skarciła się natychmiast,
odchodząc od łóżka. Murphy potrzebował wypoczynku,
a ona chwili namysłu. Jęknął przez sen, położył się na bo-
ku i wyciągnął do niej ramiona. Pod wpływem nagłego ru-
chu kompres zsunął się z rany. Mac widziała znów okrop-
ne blizny na plecach. Podeszła bliżej i pochyliła się, żeby
na nie popatrzeć. Osiem długich, półkolistych szram. Ileż
ten człowiek wycierpiał? Zgięta w pół owinęła ponownie
ręcznikiem zaognione ramię. Pod wpływem nagłego impul-

su zapragnęła musnąć szramy opuszkami palców, jakby chcąc utrwalić wspomnienie o jego męce. Zasnął głęboko, więc na pewno nie poczuje. Wskazującym palcem dotknęła gładkich pleców, a potem szorstkiej blizny. Co tak szarpie ciało? Skórzany bicz, bambusowy pręt? W jaki sposób dręczyli tego biedaka? To okropne. Serce się jej krajało.

Krótko się znali, ale to nieważne; potrafiła trafnie ocenić ludzi. Była przekonana, że śpiący na posłaniu mężczyzna jest dobrym człowiekiem. Z drugiej strony jednak wywołał w jej życiu spore zamieszanie i zepsuł krótkie wakacje. Chciała mieć to za sobą. Raz na zawsze.

Płynął na plecach w płytkiej wodzie, a fale obmywały jego rany. Spod przymkniętych powiek patrzył w słońce, które go rozgrzewało i wprawiało w stan zamroczenia. Falujące zwodniczo Morze Południowochińskie przypominało kobietę gotową kochać się z nim nieustannie, bez przerwy darzyć rozkoszą, tulić w objęciach i gładzić chłodnymi palcami tors, brzuch... i tak dalej.

Oszołomiony czuł, jak pięści mu stopy i zwilża palce nóg. Westchnął, czując wilgotny chłód na pośladkach i poniżej talii. Ciepły powiew wiatru był dla jego uszu jak czuły szept i obietnica. Rozgrzane słońcem usta rozciągnęły się w uśmiechu. Kołysał się w rytm falowania do przodu i do tyłu. Przypływ i odpływ. Ciepło i spokój. Błogostan.

Ogłuszający wybuch miny rozdarł łagodną ciszę. Wzdrygnął się, poszedł na dno i opił się wstrętnej, słonej wody o zgniłym posmaku. Nie zdołał dopłynąć do brzegu.

Śmigło helikoptera kręciło się w powietrzu. Kule z broni maszynowej siekły plażę, wyrzucając pod niebo fontanny piasku. Jęczeli umierający młodzi mężczyźni poranieni odłamkami i rozrywani na strzępy przez wybuchające miny. Słyszać było komendy. Kto je wydawał? Przecież to jego ludzie. Był im potrzebny. Pompowana do żył adrenalina trafiała na przeszkodę w postaci zwężenia arterii.

Zaraz wchłonnie całą wodę oceanu, a zbolełe i wypełnione cieczą płuca wreszcie pękną. Utopi się zamiast paść w walce. Nie! Wykluczone! Ostatkiem sił wypłynął na powierzchnię i zaczerpnął powietrza, oddychając spazmatycznie. Wypełzył na piasek i z trudem przetarł oczy. Dłonie miał całe w lepkiej, szkarłatnej krwi. Miał rozciętą głowę, czaszka pękła, słońce paliło odsłonięty mózg, ale się nie poddawał. Cholera jasna, to nie może być koniec!

Gdy czołgał się ku wysokim trawom, gorący piasek parzył jego nagą skórę. Jakaś wroga moc sprawiła, że wszystko działo się jakby na zwolnionych obrotach. Huk i pęd powietrza poraził mu bębenki, przewrócił go na plecy jak bezradnego żółwia. Zrobiło się ciemno; w pierwszej chwili miał wrażenie, że zawisł nad nim ogromny czarny balon, który drży i tańczy mu nad głową i zasłania słońce. Gdy z trudem otworzył szeroko oczy i osłonił je dłonią, rozpoznał znajomy kształt. Unosił się nad nim helikopter.

Przewieszony przez próg ciało żołnierza wystawało w połowie na zewnątrz. Krew spływała z kikuta ręki, a zwisający z ramienia karabin kołysał się w powietrzu. Noga zahaczyła o klamrę pasów bezpieczeństwa. Żołnierz sprawiał wrażenie, jakby zawahał się na moment... jakby wyciągnięte po niego ręce niespodziewanie opadły. Wisiał jeszcze przez chwilę, a potem zsunął się powoli i spadł na piasek. Murphy przetoczył się odruchowo. Zwłoki bezgłośnie wylądowały pół metra od niego. Zamknął oczy, a gdy je otworzył, napotkał szklisty wzrok trupa.

Odległy gwizd stanowiący zapowiedź nadchodzących wydarzeń znów poraził mu bębenki; lada chwila pękna, a wtedy straci słuch. Kolejna salwa z karabinu maszynowego; mężczyzna posuwający się od strony morza pada i zamiera w bezruchu.

- Dosyć! Dosyć! - wrzeszczy. Oszołomiony bólem turla się raz po raz, wstaje, zatacza się na boki i rzuca się po broń.

Poraniona dłoń leży obok karabinu, palce jeszcze drgają.

Słysząc nadjeżdżające czołgi, gęste powietrze ma metaliczny posmak, śmiertelny charkot przenika całe jestestwo. W trzech rodzi się wściekły okrzyk wojenny. Jednym długim skokiem żołnierz dopada broni, przestawia ją na automatyczne działanie i seriami strzela do wroga. O, tak... i choćbym zstąpił w ciemną dolinę śmierci, nie będę lękać się złego... bo sam jestem najgorszym skurwysynem w Dolinie Ashau.

Śpiącą na kanapie przed kominkiem Mackensie obudził rozdzierający krzyk, który ranił uszy jak stalowy sztylet. Przypomniał jej się Austin. Tak samo zrywał nocą wszystkich domowników, którzy wyskakiwali z łóżek, chwyтали szlafroki i biegli do niego. Wiedziała, że to wołanie oznacza nocne koszmary.

Jak przed laty do swego brata pędziła teraz do Murphy'ego. Rzuciła się na niego i pchnęła na posłanie. To był jedyny sposób. Chory krzyczał i miotał się na wszystkie strony. Łóżko drżało od desperackiej szamotaniny. Kopał zawzięcie; poczuła ostry ból, gdy trafił ją kolaniem w łydkę. Odchyliła się i potrząsnęła nim kilkakrotnie.

- Murphy! Thomas! Obudź się, bo mnie tu zabijesz!

Nie zwracał uwagi na jej krzyk i nadal walczył zawzięcie. Wrzeszcząc chwyciła go za nadgarstki i całym ciałem przygniotła do pościeli. Natychmiast znieruchomiał. Pierś uniosła się i opadła, gdy westchnął głęboko i z ociąganiem uniósł powieki. Trafił w końcu do nieba i widział anioła, który nie miał skrzydeł, tylko śliczne włosy sięgające ramion i cudne oczy... człowiek o wszystkim zapomina, kiedy w nie patrzy. Zajaśniała mu wreszcie nadzieja. Oto wizja prawdziwej szczęśliwości. Ciepło... O Boże, jakie rozkoszne ciepło. Pragnął się nim otulić, żeby stopiło lód skuwający mu serce. Po chwili całkiem rozbudzony jęknął, wściekły na siebie. Mac chciała wstać, ale nie pozwolił na to, obejmując ją mocnym ramieniem. Odwróciła głowę, bo nie chciała, by zobaczył jej łyzy.

- Omal nie złamałeś mi ręki, wariacie. Już dobrze? - wy-
pytywała z niepokojem. Skinął głową i zamknął oczy.

- Tak. Nie z tobą walczyłem.

Dobrze o tym wiedziała. Gdy cofnął ramię, usiadła przy
nim na brzegu posłania.

- Wietnam?

Nie odrzekł nic. Wiedziała, co o tym myśleć. Zaburze-
nia osobowości wywołane gwałtownym i długo tłumio-
nym stresem. Znała statystyki. Tego typu schorzenia spo-
wodowały wśród weteranów dwa razy więcej zgonów niż
działania wojenne.

Wuj Mackensie zginął w Wietnamie. Potem straciła
również brata. Wiedziała, czym grozi tłumiony stres. Pa-
miętała dzień, w którym poszła do centrum pomocy we-
teranom i wzięła broszurę. Wszystko tam zostało opisane
jasno i zrozumiale. Dopiero wtedy zaczęła się domyślać,
czemu Austin odszedł dziesięć lat po powrocie z wojny.

Nie mógł się skupić. Trudno mu było zasnąć, niechęt-
nie się budził. Często wybuchał gniewem. Dręczyły go złe
wspomnienia i senne koszmary. Miał wrażenie, że ciągle
przeżywa tamte chwile. Po doświadczeniach przekraczają-
cych ludzką miarę naturalną reakcją jest próba wytworze-
nia nowych mechanizmów obronnych.

Mac czuwała przy Murphym. Nic więcej nie mogła teraz
zrobić. Nie próbowała go zrozumieć; wystarczyło przyjąć
do wiadomości, co się z nim dzieje. Już za późno, by napra-
wić zło. Machinalnie bawił się kosmykiem jej włosów. Były
miękkie i prawdziwe; dzięki temu łatwiej wrócił do rzeczy-
wistości. Mac zdawała sobie sprawę, że jego wspomnienia są
jak marny film wyświetlany raz po raz i wypierający jawę,
w której przyszło mu uciekać przed glinami.

Była pod pomnikiem weteranów. Początkowo z daleka
przyglądała się kamiennym płytom. Od razu dało się wy-
czuć nastroj powagi. Zatrzymała się przed trzema postacia-
mi żołnierzy, podeszła bliżej, żeby ich dotknąć. Byli dla niej

jak prawdziwi. Stali pochyleni, patrząc w dal... Czego wypatrywali? Pewnie swoich domów. Nie mogli jej zobaczyć. W szczelinach między wpuszczonymi w ziemię ciemnymi lśniącymi kamieniami tu i ówdzie jaśniała barwna plama: kwiat, chorągiewka, para butów, list, kilka zdjęć. Podeszła bliżej, by spojrzeć na litery i obwieść palcami ich chłodne kontury. Nazwiska... mnóstwo nazwisk. Odczytywała je, powtarzając w myśli. Każde z nich należało do człowieka z krwi i kości, który kiedyś śmiał się i żartował. Dumna z siebie ludzka istota nie zasługiwała na taki los. Mac ze wzruszeniem myślała o tamtych chłopcach. Szła powoli wzdłuż tablic, obserwując, jak promienie słońca rozświetlają nazwiska nieodżałowanych zmarłych. Patrzyła na swoje odbicie w lśniącym kamieniu; z wściekłością, rozpaczą i poczuciem krzywdy wobec jawnej niesprawiedliwości zadawała sobie pytanie, czemu o weteranach zapomniano, pozostawiając ich własnemu losowi. Obserwowała innych żałobników idących w różnych kierunkach. Rzadko się odzywali, nie próbując się nawzajem pocieszać.

Mac żywiła dla weteranów podziw, przyjmowała ich takimi, jakimi byli, i zawsze chciała im pomagać. Thomas Justice Murphy jej potrzebował, więc postanowiła się nim zaopiekować. Usiadła na brzegu posłania, niepewna, czy powinna okazać mu współczucie. Lękała się, że uzna to za upokarzające i ze złością odrzuci jej sympatię.

- Już ci lepiej? Chcesz coś do picia? Może filiżankę kawy.
- Tak. Zaraz sobie przygotowuję.
- Leż. To żaden kłopot.

Zostawiła go samego i poszła do kuchni oświetlonej małą lampką.

Powinien szybko wziąć się w garść, myślała, wstawiając wodę. Wsypała do kubków po łyżeczce rozpuszczalnej kawy, zalała gorącą wodą i ciężko westchnęła. Sprawy okropnie się skomplikowały.

Murphy poszedł do łazienki i umył twarz zimną wodą.

Czemu wspomnienia powróciły? Może nigdy się od nich nie uwolnił? Zawsze czaiły się w podświadomości. Mac tak się o niego troszczyła, chociaż potraktował ją okropnie. Nie mógł sobie tego darować.

5

*Nie trzeba dusić tego w sobie
Mów śmiało...*

Murphy zapalił dwa papierosy i jednego podał Mac. Siedziała na łóżku wsparta plecami o wezgielowie. Kolana podciągnęła wysoko i objęła ramionami. Leżał obok niej, opierając się na łokciu. Upił łyk kawy z podanego kubka. Spojrzała na jego ręce i wyobraziła sobie, jak zaciskają się na trzonku młotka. Albo na kolbie karabinu.

- Co budujesz? Pewnie domy.

- Owszem, ale niezwykle. - Przeciągnął się. Ciało miał obolałe, więc ułożył się płasko, a kubek postawił na nocnym stoliku. - Moja specjalność to nietypowe budynki i obiekty o szczególnym przeznaczeniu.

- Na przykład?

- Muzea, rozmaite mosty wiszące lub zwodzone, a także place zabaw i zamki.

Zafascynowana uśmiechnęła się pogodnie. Jakie to szczęście, że Murphy wcale nie jest takim gburem i prostakiem, za jakiego wzięła go poprzedniego wieczoru.

- Zamki?

- Na razie zbudowałem tylko jeden, w Maine, na wybrzeżu. Zamówił go starszy mężczyzna, który jest właścicielem połowy nadmorskich terenów w tamtym regionie. Ma forsy jak

lodu, ale nie pytałem, skąd ją wziął. Chciał zrobić niespodziankę żonie, która od czterdziestu lat marzyła, aby mieszkać w zamku. Mają teraz prawdziwą warownię z basztą i fosą.

- A smok zięjący ogniem? - Mac wyobraziła sobie imponujące gmaszysko i westchnęła.

- Nie uwzględnili go w zamówieniu, pewnie dlatego, że mają wrednego psa. Wystarczy, że warknie, i od razu czujesz przed nim respekt. Zwykle czekał, aż wejść na dwunasty szczebel drabiny, odsłaniał kły i zaczynał szczekać, jakby chciał dać do zrozumienia, że w końcu mnie dopadnie. - Murphy opowiadał z uśmiechem i swadą, które pozwoliły Mac odkryć nowe cechy jego charakteru, starannie dotąd ukrywane.

Odgarnęła włosy i powiedziała z chytrą miną:

- Założę się, że nim budowa dobiegła końca, jadł ci z ręki.

- Oczywiście - przytaknął, zaciągając się papierosem.

Nie uszło jej uwagi, że tarł zaspane oczy.

- Domyślam się, że bierzesz poważne zlecenia, których wykonanie zajmuje sporo czasu, i znajdujesz sobie jakieś lokum w pobliżu lub w sąsiednim mieście. To by oznaczało, że dość rzadko bywasz w swojej leśnej chacie.

- To prawda, ale odpowiada mi takie życie. Lubię się włóczyć i wznosić budynki, które cieszą innych ludzi. One zostaną na tym świecie dłużej niż ja. To powód do dumy.

Dobrowolnie oddalił się od ludzi. Nie chciał żadnych więzów ani odpowiedzialności. Rozumiała go, a nawet do pewnego stopnia zazdrościła mu tej swobody.

Był senny. Mówił coraz ciszej i szukał wygodnej pozycji. Mac domyślała się, że lada chwila zaśnie.

- Często miewasz koszmary?

Zaciągnął się papierosem. Smużka dymu poszybowała wolno pod sufit.

- Każdemu może się zdarzyć zły sen.

- Daj spokój, Murphy. Nie dam się zbyć.

Zgasił niedopałek, odwrócił się w jej stronę i szerzej

otworzył oczy. Bolały go mięśnie. Dotknęła jego rozpalonego czoła i upewniła się, że gorączka nie spada. Usiadła na brzegu łóżka i starannie otuliła go kołdrą.

- Musisz się porządnie wyspać.

Gdy spojrzał na nią z ukosa, w niczym nie przypominał mężczyzny, który wdarł się do leśnego domu dzień wcześniej.

- Skoro już tu jesteś, mogłabyś zostać jeszcze chwilę - mruknął. To jasne, że nie błaga, nie prosi... do cholery, nawet nie pyta. Jej dotyk i zapach sprawiały, że czuł się bezpieczny, a zły świat nie miał do niego dostępu. Zdany na jej łaskę i nie-łaskę, chciał się podzielić dobrem, które w nim było ukryte.

Mac wahała się przez moment. Rzadko dzieliła łóżko z mężczyzną. Tym razem chodziło o człowieka, którego znała niespełna dobę. Z drugiej strony jej obecność byłaby dla niego prawdziwą pociechą, więc ustąpiła i wyciągnęła się obok na kołdrze. Stłumione, ciche westchnienie, które nagłe usłyszała, wystarczyło jej za podziękowanie. Murphy potrzebował serdeczności i troski, którą teraz mogła mu okazać tylko Mackensie Elliott. Po raz pierwszy w życiu była komuś tak bardzo potrzebna.

Długie kręcone włosy przykryły jego tors. Przyjemnie było poczuć chłód jej skóry, gdy dotknęła poranionych i rozpalonych gorączką ramion tam, gdzie nie były okryte kołdrą.

Chętnie przyłgnęłaby do niego całym ciałem. Korciło ją, by dotykać go wszędzie. Barki, tors, brzuch, nogi... Wszystko w zasięgu ręki.

Poruszył lekko ramieniem, jakby chciał sprawdzić, czy nie będzie miała nic przeciwko temu, żeby ją objął. Odruchowo napięła mięśnie i ręka znieruchomiała. Po chwili Murphy zaczął oddychać głęboko i regularnie. Uspokoiła się i leżała przy nim pogrążona w zadumie.

Uczucia, które do niego żywiła, na pewno nie można nazwać miłością, strofowała samą siebie. Sympatia, współczucie - tak je należy określić. Z drugiej strony jednak kto potrafi zdefiniować miłość i wie, kiedy ona przychodzi?

Zacisnęła powieki. Chyba się zakochała, bo jak inaczej wytłumaczyć dziwny stan ducha? Od tej chwili los Murphy'ego stanie się i jej losem.

Czemu go pokochała? Od momentu gdy po raz pierwszy stanęli twarzą w twarz, straszyl ją i narażał na niebezpieczeństwo. Thomas Justice Murphy - mężczyzna surowy, nieustępliwy, uparty, stanowczy w sądach... a zarazem łagodny i czuły. Była w nim dobroć widoczna dla każdego, kto chciał ją dostrzec. Wzbudzał sympatię tak zwyczajną, naturalną i wolną od wątpliwości jak wybór odpowiednich narzędzi do pracy.

Murphy przetoczył się na bok i zamknął ją w objęciach. Pod wpływem nagłego ruchu kompres zsunął się z ramienia i woń alkoholu wypełniła sypialnię. Mac ostrożnie poprawiła opatrunek i musnęła wargami obojczyk. Poczuła smak skóry mężczyzny i jego zapach.

Westchnęła, gdy objął ją mocnej, oparł podbródek na jej głowie i wolno przesunął kolanem po udzie. Skórę miał gładką i ciepłą. Nie protestowała, bo sprawiło jej to przyjemność. Miała wrażenie, że postępuje właściwie. Co komu szkodzi, że tuli się do niego w środku nocy?

Zasnęli oboje, niewinni jak Adam i Ewa przed zjedzeniem zakazanego owocu.

Mackensie zerwała się z łóżka wczesnym rankiem. Była sama. Odgarnęła potargane włosy i myślała przez chwilę, że Murphy postanowił odejść, aby w pojedynkę doprowadzić do końca swoje sprawy. Poczuła ulgę i rozpacz.

Nie było go w sypialni ani w łazience. Boso wybiegła do holu i odetchnęła, widząc, że stoi w otwartych drzwiach prowadzących na taras. Owiewało go rześkie powietrze jesienno-poranka. Miał na sobie tylko dżinsy. Serce ścisnęło jej się z żalu na widok obolałych i pokrytych bliznami pleców. Odezwwał się we mnie instynkt opiekuńczy, tłumaczyła sobie. Dlatego mam dla niego tyle czułości i cierpię razem z nim.

- Co ty wyprawiasz? Powinieneś leżeć w łóżku - strofowała go łagodnie.

- Chodź tu i popatrz. Tylko ostrożnie - szepnęła, kładąc palec na ustach. Oczy nadal błyszczały mu od gorączki. Zbliżyła się cicho i westchnęła z zachwytem. Pięć jeleni wyszło na łąkę. Cztery skubały gałązki krzewów owocowych, a piąty stał na czatach nieruchomo jak posąg. Pasma mgły rozciągały się wokół nich. Pierwsze promienie słońca wschodzącego nad lasem pozbawiły stado złudnej osłony.

- Jakie śliczne - szepnęła, drząc z zimna. Była mu wdzięczna, gdy objął ją ramieniem. - Uwielbiam tę porę roku. Większość ludzi woli wiosnę i lato, bo to czas odrodzenia i nadziei. Mnie urzekła jesień, tajemnica umierania i powrotu do życia, zyskiwania nowej energii i pogłębienia wiedzy. Spójrz, te jelenie nas widzą, ale nie są wystraszone. To zadziwiające. - Wątpliwości, obawy i zakłopotanie uleciały z wiatrem, gdy do niego przywarła. Stali nieruchomo jak zwierzęta otulone mgłą, zjednoczeni z pięknem, które ich otaczało. Nagle coś spłoszyło jelenie. Machając krótkimi ogonkami, zbiegły po stoku wzgórza, nad jeziorem skręciły w prawo i zniknęły w puszczy.

Murphy był taki ciepły. Odwróciła się, żeby na niego popatrzeć. Oddychał głęboko chłodnym powietrzem.

- Lubię Zaduszki - ciągnęła. - Za kilka dni będzie halloween. W dzieciństwie uwielbiałam się przebierać, a zarazem umierałam ze strachu, chociaż w tamtych czasach nic nie groziło dzieciom chodzącym po domach, płatającym figle sąsiadom albo domagającym się okupu. Nie słyszało się o psychopatach ani o cukierkach zawierających narkotyki albo truciznę. Jak ty świętowałeś halloween?

- Demolowałem szopy - odarł z uśmiechem - owijałem gałęzie drzew papierem toaletowym, straszyłem bajkowe księżniczki i kłownów, biegałem po cmentarzu, wrzeszcząc jak potępieniec. - Oboje wybuchnęli śmiechem. Bardzo ich zaskoczył ten dźwięk. Mimo wszelkich przeciwności przez

chwilę byli szczęśliwi. Mac uznała, że powinna raczej uniknąć jego bliskości, ponieważ zbyt często robi jej się ciepło na sercu, a ukryte pragnienia coraz mocniej dają o sobie znać. Odsunęła się i poszła do sypialni; wróciła po chwili, niosąc ciepłą koszulę. Podała mu ją i poszła do kuchni.

- Byłeś jednym z tych okropnych urwisów!

- Owszem i bardzo się tym szczyciłem. - Wsunął ramiona w rękawy koszuli, wdzięczny, że może się ogrzać. Gdzie się podział tamten chłopak? Był taki szczęśliwy, prowadził beztrudne życie i stawiał czoło jego wyzwaniom. Polował, łowił ryby albo przesiadywał całymi dniami nad chłodnym strumieniem.

- Tak właśnie sądziłam. - Mackensie krzątała się po kuchni. Zmyła naczynia i sprzątnęła bałagan z poprzedniego wieczoru. Zerknęła na niego ukradkiem. Nadal tkwił w otwartych drzwiach wsparty o futrynę i pogrążony w zadumie. - Murphy, nie powinieneś się wystawiać na chłód. Przecież masz gorączkę.

Od dawna nikt się o niego nie martwił do tego stopnia, by karcić za to, że stoi w przeciagu. Uśmiechnął się lekko. Tak był zajęty własnym życiem, że brakowało mu czasu, by zastanowić się, jak wiele traci. Teraz sobie to uświadomił.

Przyszedł do kuchni, żeby pomóc Mac, chociaż nalegała, aby się położył. Szukał zajęcia, bo czuł, że jeśli będzie leżał, całkiem opadnie z sił. Zmusił się do wysiłku.

Po śniadaniu poszli na spacer. Nie był to wyczerpujący marsz, tylko spokojna wędrowka piaszczystą ścieżką. Mackensie nie protestowała, gdy wziął ją za rękę. Wyglądali na szczęśliwą parę włóczącą się bez celu. Kto by przypuszczał, że tych dwoje zaplątało się wbrew własnej woli w sieć niebezpiecznych zdarzeń.

Późnym popołudniem usiedli na tarasie, żeby obserwować zachód słońca i niebo zmieniające barwę z pomarańczowej na szkarłatną i ciemnoczerwoną. Podobnie jak na obrazie olejnym umieszczonym zbyt blisko ognia kolory szarza-

ły i nikły stopniowo, mieszając się i rozptywając powoli.

Mackensie obserwowała Murphy'ego. Było z nim coraz gorzej. Temperatura nie spadła mimo kilku tabletek aspiryny, które w niego Wmusiła, a samopoczucie się nie poprawiło, chociaż przez cały dzień podsuwała mu smaczne posiłki. Nie skończył kolacji; na talerzu miał jeszcze pół porcji.

- Chyba czas się położyć, Murphy.

- Zawsze tak komenderujesz? - Spojrzał na nią z ponurą miną. - Po powrocie do Nowego Jorku będziesz strofować szefa, prawda?

Nowy Jork... Od chwili gdy włąmał się do leśnego domu, rzadko myślała o tym mieście. Nie chciała wracać; to po prostu wykluczone. Jej noga więcej tam nie postanie. Rzecz jasna, trzeba będzie zlikwidować mieszkanie i oddać rzeczy do przechowalni, ale nie ma mowy o łzawych pożegnaniach. Wyjedzie i już. Nie chciała ciągnąć bezsensownej egzystencji. Thomas Justice Murphy otworzył jej oczy i była mu za to wdzięczna.

- Nowy Jork to już przeszłość. Na razie nie wiem, co będę dalej robić. - Wiele zależało od tego, jak potoczą się ich sprawy. - Może zamieszkam w okolicy. Uwielbiam południe.

Gdy wstała od stołu, ujął jej rękę, podniósł na moment i nagle puścił.

- Dzięki za wszystko, co dla mnie robisz.

Zadrzała na myśl o pocałunku, którego omal nie złożył na jej dłoni. Ten czuły gest był jak obietnica.

- Połóż się, Murphy. Zaczynasz bredzić.

- Jeszcze nie.

Tego dnia wiele się o nim dowiedziała. Niechętnie mówił o sobie, ale z niedomówień także można coś wywnioskować. Był inteligentny, przyjemnie się z nim rozmawiało, z łatwością wypowiadał się na każdy temat. Miał skomplikowany charakter i wiele ukrywał. Można go było zranić przesadną dociekliwością. Czarował przymil-

nym uśmiechem, a jego radość była zaraźliwa. Nie wyglądał teraz najlepiej, a jednak mógł się podobać.

Gdy zaproponował cicho, żeby i tej nocy spali razem, zgodziła się bez namysłu.

Drżał cały. Poranne słońce zaglądało już do sypialni. Oboje przespali całą noc, ani razu nie zmieniając pozycji. Z powodu wysokiej gorączki Murphy był ledwie przytomny. Gdy zaczął pokasływać, Mac wykorzystała pretekst, by wstać z łóżka, i poszła po dodatkowe koce.

Chory majaczył. Najchętniej wezwałaby pomoc, ale nie życzył sobie tego. Doskonale wiedziała, jak bardzo mu zależy, by nikt się nie dowiedział o jego kryjówce. Na własnej skórze odczuła, jak daleko jest gotów się posunąć, żeby nie dopuścić do ujawnienia swojej tajemnicy. Jeżeli uda się dzisiaj wyjaśnić sprawę, za kilka godzin Murphy będzie pod opieką pielęgniarek i lekarzy.

Nie pozwoliła mu wstać i bez większego trudu skłoniła go do posłuszeństwa, ponieważ był słaby jak nowo narodzony kociak i chwilami mąciło mu się w głowie. Karmiła go rosołem, dziękując w duchu poprzednim mieszkańcom domu, którzy zaopatrzyli spiżarnię w niezbędne produkty. Ten żelazny zapas ułatwił im przetrwanie. Murphy krztusił się i pluł, ale namówiła go do przełknięcia kilku łyżek zupy, choć mamrotał przekleństwa. Zaniepokojona podała mu kolejną dawkę aspiryny.

Dzień był pogodny i ciepły, ale Mackensie nie zwracała na to uwagi; raz po raz przebierała spoconego mężczyznę w suche rzeczy albo przemywała mu skórę gąbką zmoczoną w chłodnej wodzie. Za oknem zapadał już zmierzch, gdy Wmusiła w niego kolejną porcję lekarstw, które popił niezdarne sokiem pomarańczowym. Puszczając mimo uszu jego majaczenia.

W ciągu dnia czytała mu głośno, bo uspokajał się chwilami, słysząc jej głos. Gdy był przytomniejszy, nosił po-

wieki i patrzył na nią z uśmiechem. Pod oczami miał głębokie cienie. We śnie zgrzytał zębami; domyślała się, że senne koszmary nie dają mu spokoju. Na szczęście nie rzucał się na posłaniu.

Po zmierzchu ubrała się do wyjścia. Zadbana o to, by strój ułatwiał szybką ucieczkę. Włożyła obcisłe czarne spodnie i różową bluzkę z elastycznej koronki podkreślającą wszystkie okrągłości. Dopasowany czarny żakiet z gładkiej satyny pieścił skórę. Do tego czarne sportowe obuwie, w sam raz do biegu. Spryskała się obficie mocnymi perfumami, których zapach nawet ascetę doprowadziłby do szaleństwa. Przez cały wieczór powinna kontrolować sytuację, a zarazem musi przekonać tego prostaka, że gra jest warta świeczki i warto się starać, by w końcu dopiąć swego. Musiała go umiejętnie zachęcać i zwodzić. Od jej sprytu zależało teraz życie Murphy'ego.

Chory próbował ją zatrzymać, ale gdy wrzeszczał, siedząc na łóżku, była już przy frontowych drzwiach. Nawet jeśli spadnie z łóżka, próbując za nią iść, nie zrobi sobie krzywdy. Sprawdziła, czy ma w torebce pistolet i ruszyła pogrążona w ponurych rozmyślaniach. Miała złe przeczucia.

Kiedy wjechała do miasta, dłonie jej zwilgotniały. Zastanawiała się, czy warto zawiadomić policję, ale po chwili namysłu pogardliwie wzruszyła ramionami. Gliniarze jej nie uwierzą. Gdyby wszystko szło zgodnie z planem, Murphy czuwałby w pobliżu, ale tak się złożyło, że jest tu sama. Właściwie nie musiała się narażać.

Mniejsza z tym. Zawsze doprowadzała do końca rozpoczęte sprawy. Teraz miała w sobie więcej energii i zapału niż kiedykolwiek przedtem. Krew zmieszana z adrenaliną krążyła coraz szybciej; oto dowód, jak poczucie zagrożenia wpływa na stan organizmu. Szczerze mówiąc, w obecności pechowca, który czekał na nią w domu nad jeziorem, także była dziwnie ożywiona. Wielu by się zdziwiło, gdyby wyznała, że jej na nim zależy.

Jej puls uderzał coraz szybciej, gdy wjeżdżała na parking „Cienistego zakątka”. Poklepała torebkę, wyczuwając zarys pistoletu, i otworzyła drzwi auta. Harry pojawił się natychmiast. Pewnie czekał tu na nią. Przytrzymał drzwi i cmoknął wargami, czując zapach perfum. Z zachwytem spoglądał na wspaniałą figurę dziewczyny.

- Jest na co popatrzeć. Ślicznie dziś wyglądasz. Człowiek od razu wie, po co żyje.

Przemknęło jej przez myśl, że powinna była wypróbować pistolet. Za późno... Wzięła Harry'ego pod rękę i skierowała się w stronę przyczepy. Zerknęła na niego i powiedziała z uśmiechem, który miał być uwodzicielski:

- Dziękuję za miłe powitanie.

Umył się i ogolił. Dobre i to. Ciekawe, gdzie ukradł markową wodę po goleniu. Z pewnością nie stać go było na taki wydatek

6

*Nowa robota, kolejny szef,
następna próba - i znowu pech...*

W środku poczuła odór brudnej pościeli i zwietrzałego piwa. Doszedł ją także zapach wilgotnej psiej sierści, ale nie dostrzegła żadnego zwierzaka. Główne pomieszczenie łączące się z kuchenką było dość ciemne. W zlewie piętrzyły się brudne naczynia, ale kuchenny blat został uprzątnięty. Na stole przykrytym obrusem płonęła niewielka świeca wetknięta do puszki po piwie.

Mackensie udawała, że z ciekawością ogląda narzutę, meble wykonane z drewna wiązu i wąskie zasłonki pożółkłe od tytoniowego dymu, przymocowane do karnisza

złotawymi kółkami. Harry podszedł, by zdjąć jej żakiet. Poczwała na ramionach jego niecierpliwe palce.

- Dzięki, ale okrycie pasuje do stroju, więc nie będę go zdejmować.

- To pewnie jedwab. Przyjemnie chłodzi. - Przesunął dłonią po materiale.

Usiadła, żeby mu utrudnić zaloty. Gdy zajął miejsce naprzeciwko niej, z drugiego pomieszczenia dobiegł ją dziwny szelest. Może to pies? Albo dwaj pozostali bandyci?

- Wypożyczyłem kilka filmów, na wypadek gdybyś chciała się rozerwać po... trochę później. Nareszcie odwiedziła mnie ładna kobieta. - Popatrzył na nią z dziwnym błyskiem w oku, jak kanibal, który widzi główne danie.

- Długo tu mieszkasz, Harry?

- Za długo. Mój stary miał w pobliżu skład żelastwa, ale firma nie podobała się urzędasom, więc zwinął interes. Nie żałuję, bo to żadna przyjemność grzebać w rupieciach, żeby znaleźć części dla klienta. Zawsze się kaleczyłem, krew mi leciała. Parę lat temu stary umarł na tej kanapie.

- A matka? - Co ją to obchodzi? Dlaczego rozmawia z nim o rodzinie?

- W ogóle jej nie pamiętam. Ojciec mówił, że odeszła, gdy miałem cztery lata. Opowiedz mi o swoim gniazdku w Nowym Jorku. - Oczy mu zabłyśły.

- Nic nadzwyczajnego. Mieszkam wysoko, mam widok na park, mogę obserwować ludzi.

- Wiem, jak wygląda Nowy Jork. Widziałem parę filmów. Pewnie by mi się tam spodobało, zwłaszcza nocne życie. Tyle neonów i kobiet. Rany! Dziwki tam są pierwsza klasa!

Powietrze w przyczepie było tak duszne i pełne dymu, jakby od wielu godzin przesiadywało tu kilka osób.

- Bardzo proszę - zaczęła Mac błagalnym tonem - powiedz mi coś więcej o tych przestępcach, którzy niedawno uciekli.

Oczy mu pociemniały. Usiadł wygodnie, jakby zamierzał się z nią droczyć.

- Szukasz mocnych wrażeń, co?

- Do rzeczy, Harry. - Przechyliła głowę na bok. - Nie próbuj mnie zwodzić. Mów, jak było. - Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma i uśmiechała się przymilnie. Ponownie opowiedział ze szczegółami całą historię, jakby nauczył się jej na pamięć. Jego wersja przypominała starannie przygotowane alibi.

- Jak ci mówiłem, tamci dwaj uciekli, ale mógłbym ci powiedzieć coś więcej, gdybym wiedział, że umiesz dotrzymać tajemnicy.

- Ja? - Wybuchnęła śmiechem. - Nie puszczę pary z ust. Zapewniam, że nerwy mam jak Bond, James Bond. Zamieniam się w słuch. - A potem wykrzyczę twoje sekrety na rynku.

Przesiadł się na krzesło obok niej. Zesztywniała, gdy zbliżył twarz do jej szyi, ale opanowała się natychmiast i zrobiła unik.

- Harry, nie popędzaj mnie. Bardzo tego nie lubię. Wolę, jak mężczyzna uwodzi mnie stopniowo, pomalutku.

Wyszczrzył zęby i odsunął się trochę, lecz nadal pozebrał ją oczyma i rozbierał spojrzeniem. Usiadł wygodniej na krześle i pochylił się do przodu.

- Przyszło mi do głowy, że jesteś dziewczyną, jakiej szukamy.

- Kto szuka? - Chyba trafiła w dziesiątkę!

- Moi kumple i ja ruszamy w długą podróż po całym kraju. Może byś z nami pojechała?

Niedoczekanie twoje!

- Kto wie? Słyszałam jakieś szmery. Masz pieska? - Skąd ten dziwny zapach unoszący się w przyczepie?

- Nie, ale przygotowałem dla ciebie niespodziankę, tylko najpierw muszę się upewnić, że dotrzymasz słowa.

- Obiecuję. - Spojrzała na niego przeciągle spod przy-

mkniętych rzęs. Słowo dając, pomyślała, możesz mi zaufać. Obiecuję, że trafisz za kratki.

Podskoczył jak dzieciak, który ma dostać cukierka. Otworzył drzwi prowadzące do sąsiedniego pokoju, stanął obok i rozpromienił się na widok dwu obszarpańców w brudnych koszulkach, którzy stamtąd wyszli.

- Oto moi kumple - oznajmił chętnie. Podszedł do Mac i szepnął jej do ucha: - To oni napadli na sklep.

- Niemożliwe! - zawołała. Ukryła strach i udawała zachwyconą tym spotkaniem. Zerwała się z krzesła, otworzyła szeroko oczy i pisnęła: - Naprawdę?

Wszyscy trzej jak na komendę pokiwali głowami. Przyjrzała się dwu nieznanym, a potem zerknęła na Harry'ego, który uśmiechnął się szeroko i przedstawił kolegów. Wysoki chudzielec nazywał się Turk, a niski grubas miał na imię Sully.

- A teraz prawdziwa rewelacja! - Hałaśliwie klepnął się w pierś. - Wcale nie byłem ofiarą, jak sądzi policja. Mam swój udział w tym skoku.

Strzał w dziesiątkę!

- Nie wierzę! - zawołała. - Ty? Obrobiłeś sklep? To mi się nie mieści w głowie!

Jeden z mężczyzn zniknął w sąsiednim pomieszczeniu, a po chwili wrócił z plikiem banknotów i położył je na stoliku jako dowód, że mówią prawdę.

- Wystarczy na początek, ale mamy tego więcej. Na wypadek gdyby ktoś zaczął węszyć, schowaliśmy część forsy we wraku auta stojącego za sklepem. - Harry mrugnął do niej porozumiewawczo i uśmiechnął się jak sprytny dzieciak.

Pewnie sądził, że za ten pomysł dostanie Nobla.

- Nie boicie się, że ktoś znajdzie i zabierze te pieniądze?

- Spokojna głowa. - Harry podszedł bliżej, jakby chciał zwrócić na siebie jej uwagę. Odepchnął kumpli i rzucił im ostrzegawcze spojrzenie.

- Jak ucichnie całe zamieszanie, ruszamy w drogę. Gli-

ny szukają trzeciego przestępcy i na razie nie interesują się tymi dwoma.

- O kim mówisz? - Mac udawała, że się w tym gubi. - Sam powiedziałeś...

- Siadajcie, chłopaki, i przestańcie rozdziawiać gęby. Nic z tego nie będzie. Ona jest moja. - Wszyscy zajęli miejsca.

Mac sięgnęła po torebkę leżącą na stole i położyła ją na kolanach. Poczowała ciężar pistoletu i od razu nabrała odwagi. Wymyślała sobie od idiotek, bo nie przyszło jej do głowy, by wziąć dyktafon i całą rozmowę nagrać. Mogłaby od razu przedstawić glinom dowody.

- Kiedy kumple przyłożyli mi i wyrzucili z auta, żebym miał alibi, zobaczyli autostopowicza i postanowili go zabrać. Nie pytaj czemu. Pewnie uznali, że nic im nie grozi.

- Parsknął śmiechem. - Brak im rozumu, więc na pewno przycisnęli gaz do dechy, ale policja drogowa szybko ich namierzyła. Zwiewali, aż się kurzyło, gliny w pościg. Nieźle dali czadu, ale w końcu samochód wyładował na barierce. Gliniarze otoczyli ich, bo już skapowali, że to pewnie banda, która napadła na sklep. Szybko się w tym połapali, bo Sully od razu wyciągnął spluwę.

- Jeszcze trochę i byśmy ich zgubili. - Szczerbaty głupek pokiwał głową.

- Zamknij dziób. Teraz ja mówię. - Harry natychmiast się rozżłościł. Po chwili ciągnął takim tonem, jakby siedzieli przy ognisku i wspominali ulubione kryminały.

- Ci durnie z policji uznali, że autostopowicz to jeden z nas, a chłopcy zaraz przytaknęli. - Znowu się roześmiał. - Był tak podniecony, że Mac zastanawiała się, czy za chwilę nie zacznie skakać po meblach. Nagle przyszło jej do głowy, że Harry to pomylenieć, a jego kumple są debilami. I pomyśleć, że przez takich półgłówków Murphy omal nie zginął.

Wystarczy. Miała tego dość.

- O rany! - westchnęła. - Czuję się, jakbym oglądała western. - W duchu przeprosiła rewolwerowców za tę obel-

gę. Cała banda wyszczerzyła zęby. Jak przypuszczała, komplement przypadł im do gustu.

Harry uznał, że zaspokoił już ciekawość gościa i nadeszła pora na dowody wdzięczności. To będzie wspaniała noc. Oczekiwanie wyostrzyło mu zmysły. Niech ta ślicznotka pokaże wreszcie, co potrafi. Jej okryta kosztownym ubraniem skóra jest na pewno gładka jak aksamit. To dziewczyna z klasą. Wiedział, że kumple skręcają się z zawiści, więc niech się stąd zabierają.

- Dobra, chłopaki. Moja pani i ja chcemy zostać sami. Mackensie czuła na sobie jego pożądlivy wzrok.

- Chwileczkę! Muszę się dowiedzieć, jak zwialiście z aresztu! - Spojrzała błagalnie na kumpli Harry'ego i zartreptała rękami. Musiała zyskać na czasie i znaleźć sposób, żeby się stąd wyrwać. Uśmiechnęła się promiennie. Szczęki ją zabolowały od ciągłego szczerzenia zębów.

Harry z trudem ukrywał złość, gdy koledzy opowiadali ze swadą, jak strzelali do policjantów. Wpatrywał się w dziewczynę, która reagowała żywo na ich słowa. Marzył, by zaciągnąć ją do łóżka, poznać smak jej skóry, objąć z całej siły, rozkoszować się urodą ślicznej laleczki. Niewiele miał w życiu pięknych chwil. Właściwie ani jednej... dlatego tak mu zależało na dzisiejszej nocy.

- W ten sposób - przekrzykiwali się nawzajem uradowani kumple - zwialiśmy z pudła. Całkiem jak na filmach. No wiesz, „Desperado” i te klimaty.

Harry bawił się kosmykiem włosów Mac.

- Możesz jechać z nami. Pozwolimy ci prowadzić w czasie ucieczki. Fajnie, co?

Litości! Z wolna ogarniała ją panika, a serce podchodziło jej do gardła. Harry wstał. Ona także się poderwała. Turk i Sully zrobili to samo.

- Pora się żegnać, chłopaki. - Gospodarz kciukiem pokazał drzwi.

- Ja również muszę lecieć. Mam kolejne spotkanie. - Mar-

na wymówka. Spojrzała na zegarek. - Bardzo się cieszę, że mogłam z wami pogadać. Jestem wzruszona, że pozwolicie mi się zabrać z waszą bandą. Równi z was goście. Mam pomysł. Umówmy się jutro na kolację, a potem jedziemy do mnie. - Prędej diabeł się nawróci i piekło zamarznie!

Kumple spojrzeli pytająco na Harry'ego, a po ich minach poznała, że pomysł bardzo im się spodobał. Śmiało ruszyła ku drzwiom. Jednak gdy położyła rękę na klamce, szef bandy natychmiast skoczył za nią. Cofnęła się odruchowo, gdy chwycił jej dłoń.

- Naprawdę muszę już iść.

Problematyczny urok zniknął, a w to miejsce pojawiło się groźne spojrzenie. Harry uznał, że musi dostać wszystko, co obiecała.

- Żadna babka nie wystawi mnie do wiatru. Powiedziałem ci wszystko o sobie i kolegach. Musisz się zrewanżować. Nie lubię, jak mi się robi wodę z mózgu.

Nacisnęła klamkę i pchnęła drzwi ramieniem. Otworzyły się szeroko, uderzając o ścianę zdezelowanej przyczepy. Torebka Mac upadła na schody i otworzyła się, ukazując zawartość. Metal pistoletu załśnił w świetle zapalanej nad drzwiami żarówki. Trzej mężczyźni zdążyli się już domyślić, że Mac ich nabiera, i ruszyli ławą w jej stronę. Dzięki zaskoczeniu miała pewną przewagę. Zyskała kilka sekund. Jeśli chce ocalić życie, powinna to wykorzystać.

Chwyciła torebkę i pistolet. Zrobiła nagły zwrot, a następnie pobiegła szybko i zwinnie jak wystraszona sarna. Uciekała w panice, niemal pewna, że lada chwila kule rozewną jej ciało. Przezornie ustawiła auto tak, by nie wyjeżdżać tyłem z parkingu. Wskoczyła do środka i zablokowała centralny zamek. Trzej bandyci jednocześnie dopadli drzwi. Pot wystąpił jej na czoło, gdy samochód zakołysał się od wściekłych uderzeń. Harry popatrzył na nią przez szybę, a w oczach miał żądzę mordy.

Modliła się, by silnik od razu zaczął pracować. Darem-

nie. Lada chwila tamci zbiją szyby, wywleką ją i rozerwą na strzępy. Wrzeszczeli coraz głośniej. Harry przytknął twarz do okna i złorzeczył:

- Ty jankeska dziwko, nie wygrasz ze mną. - Szyba porysowała się od jego uderzeń. Zaraz pęknie na sto kawałków. Każda sekunda była na wagę złota, Mackensie ogarniał coraz większy strach.

- Ruszaj, cholerny gracie! Trzeba wiać! - Silnik jęknął, kaszlnął i zgasł. Chyba jest zalany benzyną, pomyślała z rozpaczą. Spokojnie, nie dostaną się tutaj.

Jeden z napastników odwrócił się nagle i pobiegł do przyczepy. Na pewno wróci z łomem lub bronią, pomyślała Mac. Serce waliło jej jak młotem.

Zdjęła nogę z gazu, odczekała sekundę, żeby ochłonać, po czym raz jeszcze wsunęła kluczyk do stacyjki i obróciła go energicznie. Rozległ się znajomy pomruk. Żwir przysnął spod kół, gdy ruszyła z piskiem opon, pociągając za autem uczepionych go bandytów. Puściła na moment pedał gazu, żeby nie wpaść w poślizg, i znowu przyspieszyła. Dwaj napastnicy polecieli na boki jak pchły spadające z grzbietu iskającego się psa.

Trzeba jak najszybciej wrócić do Murphy'ego. Wsadzi go do auta i zawiezie do szpitala, a potem zawiadomi policję i wróci z glinami do przyczepy. Bandyci na pewno uciekną, ale w ten sposób dowiodą, że są winni - zwłaszcza gdy wyjdzie na jaw, że Harry rzucił robotę w sklepie.

Serce nadal kołatało jej niespokojnie. Niewiele brakowało... Naprawdę niewiele.

Jechała szybko i wkrótce była już na drodze wiodącej nad jezioro Tillery. Murphy się ucieszy, że wyjaśniła sprawę i zdobyła najważniejsze informacje. Ciekawe, jaką miłą zrobi, kiedy usłyszy od niej nowinę.

W ciemności błysnęły reflektory auta. Zerknęła w lusterko wsteczne. Jakiś samochód jechał za nią z dużą szybkością... chyba to pikap. Oblizła suche wargi. Przyspieszyła,

a potem zmniejszyła prędkość. Jadący za nią kierowca powtórzył manewr. Była pewna, że to banda ruszyła w pościg.

Co teraz? Zbliżała się do jeziora. Jeszcze piętnaście kilometrów. Nie mogła wskazać im drogi do leśnego domu, gdzie ukrywał się Murphy. Gdyby zawróciła, chcąc pojechać na policję, tamci zagrodzą jej przejazd.

Ich samochód to stary grat z pogiętymi zderzakami i zardzewiałą karoserią, tłumaczyła sobie Mac, żeby nie ulec panice. Trzeba przyspieszyć, zgubić ich, a potem zniknąć w labiryncie wewnętrznych dróg leśnego osiedla. To jedyna szansa i powinna ją wykorzystać.

Wskazówka szybkościomierza ruszyła w górę. Dziewięćdziesiąt, sto, sto dziesięć. Półciężarówka została nieco z tyłu, ale nie udało się jej zgubić. Sto dwadzieścia... Na prostym odcinku Mac przycisnęła gaz do dechy. Sto trzydzieści, sto czterdzieści. Tamci nie wytrzymali tempa. Do osiedla należało skręcić w lewo. Przy odrobinie szczęścia może uda się zjechać z głównej drogi, nim zauważą, że zmieniła kierunek.

To jedyne wyjście.

Nie dostrzegła z tyłu reflektorów. Chyba zgubiła pościg. Udało się... Niestety, pikap znów się pokazał. Wyprzedziła go znacznie, ale nadal ją ścigał. Bez namysłu zjechała do rowu, uderzyła głową w kierownicę. Poczowała smak krwi. Wyłączyła silnik i wszystkie światła.

Drzwi się zablokowały. Spróbowała pchnąć je ramieniem, ale nie ustąpiły. Zrozpaczona pochyliła głowę. Nie miała siły, by uciekać. Niewiele brakowało, żeby się poddała.

Wścikła i przerażona obróciła się i obiema stopami uderzyła w drzwi. Świeże powietrze wpadło do środka, gdy nagle ustąpiły. Wypełzła z samochodu i obejrzała się, ale jej prześladowcy jeszcze nie nadjechali, choć czuła, że się zbliżają. Odrabiali dystans. Trzeba uciekać. Nisko pochylona oddalała się od auta. Po chwili wbiegła do lasu i pędziła na oślep. Jeśli dobrze oceniła odległość, wkrótce będzie w domu.

Dobiegł ją nagły trzask zamykanych drzwi. Bandyci

wyskoczyli z półciężarówki, złorzecząc i klnąc. Znaleźli jej samochód.

7

*Nie włóczę się, bo tego chcę.
Uciekam, bo ściga mnie zło...*

Mac jęknęła cicho. Nie mogła dopuścić do tego, by idąc jej tropem, znaleźli Murphy'ego. Na pewno nie podejrzewają, że ukrywa się w pobliskim domu. Nie wpadliby na to. Przywlekli się tu, by ją zabić. Trzeba przeczekać w ukryciu i modlić się, by nie musiała użyć broni. Pobiegła przed siebie tak szybko i cicho, jak potrafiła.

Wkrótce zobaczyła jasno oświetlony leśny dom. Sylwetka Murphy'ego odcinała się wyraźnie na tle okna kuchni. Czy Turk i Sully rozpoznają w nim autostopowicza?

Po namyśle skręciła w lewo i zbiegła po zboczach pagórka. Głosy prześladowców z wolna cichły. Oni również z trudem poruszali się w ciemnościach.

Na brodzie miała spore zadrapanie. Nogawki spodni nasiąkły wilgocią, a piękny żakiet był podarty i zakrwawiony. Zaczęło padać. W lesie zrobiło się cicho, a szum deszczu tłumiał kroki. Nie słyszała już tupania przestępców ani ich złorzeczeń; daremnie nasłuchiwała, czy nie trzasną drzwi ich auta. Padało coraz bardziej i zerwał się zimny wiatr. Przycupnęła pod rosochatym drzewem, wsparła się plecami o jego pień i obserwowała dom. Murphy nie miał pojęcia, co jej grozi. Jedyne rozwiązanie, by zapewnić mu bezpieczeństwo, to pozostać w ukryciu. Dostrzegła jego sylwetkę w oknach salonu.

Jej oddech powoli się uspokajał. Tamci poszli zapewne

w niewłaściwym kierunku. Gdyby dotarła do budynku i uprzedziła Murphy'ego, może zdołaliby dobiec do samochodu i uruchomić silnik, gdy prześladowcy będą jeszcze błądzić po lesie. Nadzieja dodała jej sił. Marny to plan, ale lepszy niż siedzenie z założonymi rękami.

Wyprostowała się ostrożnie. Nogi jej zdrętwiały; początkowo czuła w nich bolesne mrowienie. Skradała się ku domowi jak polujący kot. Była wyczerpana, ale nie przystawała. Wślizgnęła się na werandę, opadła na czworaki i znieruchomiała na progu. Nie usłyszała żadnych podejrzanych odgłosów. Weszła do środka. Murphy obrócił się, rozlewając na podłogę whiskey z trzymanej w ręku szklanki.

Natychmiast padli sobie w ramiona. Odgarnął jej z twarzy mokre włosy i próbował coś pojąć z beładnej paplaniny.

- Są na zewnątrz. Wszystko mi powiedzieli. We trzech zrobili ten skok. Uciekłam, ale nie zdołałam ich zgubić. Chyba mnie zabiją, Murphy! Zrób coś!

Ucieszył się na jej widok. Co za ulga! Wreszcie mógł ją przytulić. Na szczęście była cała i zdrowa, jeśli nie liczyć krwawiących zadrapań na rękach i twarzy. Ogarnęła go wściekłość, bo Mac zachowała się jak idiotka, a on nie tolerował głupoty. Z drugiej strony jednak ryzykowała przez wzgląd na niego.

Był w ubraniu i sprawiał wrażenie silniejszego. Wyszedł na chwilę z salonu, a gdy wrócił, patrzyła bezwolnie, jak zdejmuje z niej mokry, porwany żakiet i otula ją ciepłą flanelową koszulą. Oczy miał ciemne, zęby zaciśnięte. Sięgnął po kurtkę, otworzył drzwi i wypchnął Mac na werandę.

- Murphy...

- Cicho. Mam tu łódź. Przepłyniemy jezioro.

Wziął sprawy w swoje ręce, a ona była z tego bardzo zadowolona. Nagle ją przygarnął i wycisnął na jej ustach szybki, mocny pocałunek.

- Daj mi pistolet - polecił. Wsunął go za pasek od spodni. Zbiegli nad jezioro, odrzucili płaty darni przykrywają-

ce łódkę i pociągnęli ją ku wodzie. Nagle zza rogu leśnego domu dobiegły męskie głosy.

- Zabierajmy się stąd - marudził jeden z przestępców. - To dziwne miejsce. Dreszcz przechodzi człowiekowi po plecach.

- Zamknij się, głupku. Ona mi nie ucieknie. Muszę ją mieć.

Murphy usłyszał, że Mac wstrzymuje oddech. Zakrył jej usta ręką i szepnął do ucha:

- Nie widzą nas. Siedź cicho. - Najchętniej by ich pozabijał. Gdy oboje znieruchomieli, przytulił ją mocno. Czuła rytmiczne bicie jego serca. Przywarła do niego z całej siły.

Gdy ruszyli, ostrożnie skradała się za nim. Brodząc po kolana w wodzie, zepchnęli łódkę i wsiedli do niej. Pozwolili, by dryfowała swobodnie; nieruchome wiosła tkwiły w dulkach. Nagle wiatr rozpędził chmury i na niebie pojawił się księżyc, zalewając ich srebrzystą poświatą.

- Cholera jasna! - zaklął Murphy i natychmiast zaczął wiosłować. Zwiększył tempo, gdy kule uderzyły w burtę łodzi. Wola przetrwania podpowiedziała Mac, żeby wyciągnąć pistolet zza jego paska. Chwyciła broń obiema rękami, wycelowała i nacisnęła spust. Strzeliła kilkakrotnie, nie zważając na wywołany siłą odrzutu ból nadgarstków.

Pociski znów przeleciały im nad głowami. Jeden z nich drasnął skroń Mackensie. Oszołomiona pochyliła się, odpychając wiosło.

Niech ich piekło pochłonie! Chyba ją postrzelili. Czy to poważna rana? Ogarnęła go wściekłość. Uniósł się gwałtownie, by chwycić wysunięte z dulki wiosło. Łódka zachybotała się pod jego ciężarem i niebezpiecznie przechylona wyrzuciła się do góry dnem. W ostatniej chwili Murphy złapał Mac i wyskoczył.

Mimo że odpłynęli zaledwie kilka metrów od brzegu, znajdowali się już na głębinie. Uczepieni dulek trzymali się blisko łodzi i ramionami odpychali wodę. Pistolet opadł na zamulone dno jeziora Tillery. Murphy uniósł gło-

wę Mac, żeby sprawdzić, jak głęboka jest rana na skroni. Z przerażeniem pomyślał, czym by się to skończyło, gdyby dziewczyna wysunęła się nieco bardziej do przodu.

- Płyn - szepnął. - Będą nas ścigać. Za najbliższą zatoką jest jaskinia.

Może uda im się dotrzeć tam przed bandytami, którzy muszą nadłożyć drogi przez las. Jeśli chcą dranie ich złapać, będą się musieli wspinać i obchodzić przeszkody - o ile, rzecz jasna, nie rzucą się za uciekinierami w pław. Tupot jednego z nich, odgłos upadku i chlupot wody zmobilizowały ich do większego wysiłku. Cicho wpłynęli do zatoki. W tej samej chwili rozległ się głośny plusk.

Jakiś oślizły stwór owinął się na moment wokół talii Mac. Pisnęła mimo woli; to było silniejsze od niej. Murphy z wysiłkiem odepchnął łódź, kierując ją na głęboką wodę. W nasiąkniętych wodą i oblepionych mułem ubraniach z trudem wpełzli na brzeg.

- Co dalej? - spytała bez tchu.

Bez słowa popchnął ją w zarośla i zasłonił własnym ciałem. Czuła, jak sięga do kieszeni po nóż. Ostrze błysnęło srebrzyście w świetle księżyca, zanim mężczyzna wsunął broń pod siebie i wtulił głowę w ramiona.

Jednego zabije nożem, rozmyślała Mac walcząca z przemożną chęcią, by zerwać się na równe nogi. Dwu pozostałym uda się ją schwytać. Im bliżej podchodzili, tym większej ulegała panice.

Miała wrażenie, że od spokojnej codzienności dzieli ją lata świetlne. To nie do wiary, że zaledwie przed dwoma dniami jechała autostradą, słuchając radia i nucąc stare przeboje. Wpadający przez otwarte okno wiatr wichrzył jej włosy. Nie przypuszczała, że jedzie prosto do piekła. Z obawy, że bandyci usłyszą jej przyspieszony oddech, zasłoniła usta wierzchem dłoni. Murphy zacieśnił uścisk, żeby dodać dziewczynie odwagi. Dla jej ocalenia gotów był na wszystko. Prześladowcy krążyli wokół ich prowizo-

rycznej kryjówki. Nie mogła się nadziwić, że ich nie dostrzegli.

- Trzeba tu podjechać ciężarówką. Okrążymy jezioro. Sprawdzimy przeciwległy brzeg. Pewnie tam się przyczaili.

Tupot nóg ucichł, jakby mówiący zatrzymał się w odległości kilku metrów.

- Kim jest ten drugi? - zapytał jeden z bandytów, dysząc ciężko.

- Domyśl się, pusty łbie. - Mac rozpoznała głos Harry'ego. - Zostaliśmy oszukani. Ta dziwka jest w zmoiwie z autostopowiczem, którego wrobiliście. Trzeba zabić oboje, bo inaczej nas wydadzą.

- Jak to? Nie godziłem się do mokrej roboty.

- Zamknij mordę! Wjedź na górę i zaparkuj przed domem. Pójdę tam, żeby się rozejrzeć.

Odczekali, aż cała trójka wejdzie do środka, i pobiegli do lasu. Murphy czuł, że jego ciało szykuje się do walki. Instykt przetrwania, niezawodny w Wietnamie, znów wziął górę nad innymi potrzebami. Wspomnienia sprzed lat ustąpiły miejsca nowym dźwiękom i obrazom. Nie pora na rozpamiętywanie wizji, które wciąż go nawiedzały i przesądziły o stylu życia.

- Stój, Murphy. Zatrzymajmy się. Muszę odpocząć. - Gałąź uderzyła ją w policzek, a z rany sączyła się krew.

Mężczyzna szedł dalej i ciągnął ją za sobą, nie zważając na wypowiedane półgłosem skargi i narzekania. Był za nią odpowiedzialny. Sam marzył o chwili oddechu; chętnie usiadłby i utulił Mac w ramionach. Wyczerpani brnęli przez zarośla, potykając się na kamieniach, gdy obolałe stopy odmawiały posłuszeństwa.

Im głębiej zapuszczali się w las zwany Uwharrie, tym Mackensie szybciej maszerowała, gnana strachem. Murphy dotrzymywał jej kroku, świadomy, że w każdej chwili mogą zostać schwytani. Przysiągł sobie, że póki jest z nim Mac, on z pewnością do tego nie dopuści. Chwilami dobiegał ich

głośny warkot auta jadącego w górę i w dół leśnymi drogami. Pasażerowie z pewnością nie mogli się doczekać chwili, kiedy dostaną ich w swoje ręce. Las gęstniał. Coraz trudniej im było przedzierać się przez zarośla. Znieruchomieli, gdy jakieś duże zwierzę nagle zastąpiło im drogę.

- Wystraszony jeleni. Nie ma się czego bać.

Mac wcale nie była tego taka pewna. Murphy objął ją ramieniem. Usiadła ciężko na ziemi i wysunęła obolałe palce z jego dłoni.

- Już nie mogę.

Przykucnął obok i schował nóż. W uszach brzmiał mu warkot nadlatującego helikoptera. Śmigła miały powietrze... Potrząsnął głową. Nie teraz.... dość tego. Trzeba skończyć z tymi przywidzeniami. Czemu wyobraźnia uparcie podsuwa mu w tej chwili obrazy zapamiętane z Wietnamu? Nie musiał długo szukać odpowiedzi na to pytanie: przecież jego życie znów było w niebezpieczeństwie. Co mu powiedział taki jeden pokurcz?

- Wspominasz ciągle Wietnam, chłopie, bo tam uchodziłeś za bohatera.

Czas działał na niekorzyść Murphy'ego, który z każdym rokiem coraz bardziej zamykał się w sobie. Gdy widział ludzi szczęśliwych i roześmianych, zdawał sobie sprawę, że nie potrafi cieszyć się życiem. Pogodził się z tym i żył tak, jak potrafił. W końcu spotkał Mackensie.

Tymczasem ona nie chciała się upodobnić do zaszczutego zwierzęcia. Kiedy strach nieco zelżał, ogarnęła ją wściekłość. Słyszała, że siedzący obok mężczyzna coś mamrocze półgłosem, i nadstawiła uszu. Mówił, że trzeba znaleźć kryjówkę dla oddziału i wezwać posiłki. Tylko nie to! Trzymaj się, Murphy, jesteś mi potrzebny. Nagle uświadomiła sobie tę prawdę z całą wyrazistością.

Pochyliła się i pocałowała go w usta. Były zimne. Otoczył ramieniem jej szyję. Trzeba sprawić, by wrócił do rzeczywistości.

- Zostań ze mną, Murphy - powiedziała cicho. - Musisz nas z tego wyciągnąć. Wyszedłeś cało z Wietnamu, więc teraz nie dasz się głupim oprychom.

Dotknął jej podbródka i szyi. Ta chwila prawdziwego wyciszenia bardzo ich do siebie zbliżyła.

- Wstawaj, mała. Przed nami długa droga.

Zerwała się na równe nogi.

Wkrótce ujrzeli przed sobą opuszczoną chatę. Ciemny kształt majaczył złowrogo w ciemnościach. Mogli się ukryć wśród czterech ścian i schronić przed deszczem. To niewiele, lecz będą tu bezpieczni i nabiorą sił.

Dwie pary oczu przywykłych już do ciemności rozglądały się ciekawie. W leśnym szałasie było tylko jedno pomieszczenie. Stos koców piętrzył się na kulawej pryczy. Kilka wiader leżało pod ścianami. Pośrodku umieszczono piecyk na drewno, a obok rozmontowaną rurę do odprowadzania dymu. Stół bez jednej nogi przechylił się na bok. Uciekinierzy milczeli. Oboje czuli się jak potępieńcy niespodziewanie przeniesieni do nieba.

Murphy zamiótł podłogę w rogu, a Mac rozłożyła na niej stary, nieco wilgotny koc. Następnie przysunął bliżej stół, zastawił nim kąt i wygładził posłanie.

- Przykryjemy się. Jeśli tu dotrą, uznają nas za rupiecie rzucone na stos w rogu pomieszczenia. - Zachichotał cicho, pokiwał głową, sięgnął po wiadra i zniknął za drzwiami. Mac słyszała jego kroki, gdy schodził nad jezioro. Zaczęła mościć legowisko. Oboje byli krańcowo wyczerpani i potrzebowali odpoczynku.

Murphy wrócił z wiadrami pełnymi wody. Położył Mac na posłaniu, zmoczył starą ścierkę i wyżał starannie. Obmył ranę na skroni dziewczyny i z ulgą stwierdził, że to tylko lekkie drażnienie. Potem ona wyjęła mu z ręki wilgotny gałganek i przemyła jego twarz, a także przestrelone ramię.

- Powinieneś być w szpitalu. Tam dostałbyś antybiotyki i witaminy.

- A ty miałaś przesiadywać na werandzie, opalać się, czytać romanse, jeść czekoladki, a powiew znad jeziora wicherzyłby ci czuprynę. - Wsunął palce w gęste, potargane włosy o srebrzystym połysku; objął dłonią jej kark.

Zadrżała, ale nie z zimna, tylko pod wpływem jego dotknięcia. Pogłaskała urodziwą twarz i przetarła ją gałganikiem. Silne palce zamknęły się wokół jej dłoni. Zabrał jej szmatkę i rzucił w zaśmiecony kąt chaty. Gdy księżyc zajął do środka, mogli się wreszcie zobaczyć. Nawzajem uwalniali się od mokrego ubrania i próbowali osuszyć wilgotną skórę ramion, szyi, barków. Murphy musnął wargami obojczyki Mac i wolno rozpiął jej koszulę.

- Na pewno nic ci nie jest? - wypytywał, dotykając kciukiem rany na bladym czole pokrytym rozległymi siniakami. Skinęła tylko głową.

Oboje milczeli. Mówienie wymagało zbyt dużego wysiłku. Oszołomiona czułością, z jaką dotykał jej obolałego ciała, odchyliła głowę do tyłu. Przesunął dłońmi wzdłuż jej nóg i ramion, sprawdzając, czy nie jest ranna, i rozkoszując się pięknem nienaganej figury. Dźwięki odpłynęły, pozostały jedynie odczucia. Spracowane dłonie muskały gładką skórę z delikatnością artysty kładącego farbę na płótno. Ciepły oddech pieścił ucho, gdy Murphy całował jej policzki. Chłodne, pełne wargi ogrzały się z wolna, gdy przywarł nimi do jej ust.

Położyła dłonie na szerokich ramionach, pamiętając, by nie urazić bolącego miejsca, przesunęła nimi po barkach, a potem dotknęła policzków, czubki palców wsunawszy w gęste, potargane włosy.

Zdjął jej przez głowę moką bluzkę i starannie otulił ją kocem. Nie padły żadne słowa, nie były potrzebne. To spotkanie dwojga ludzi - pary nieznanomych, którzy mimo wszystko znali się przez całe życie, ale nigdy się jeszcze nie dotykali. Teraz nadeszła ta chwila.

Mac uklękła i sięgnęła do zapięcia jego dżinsów. Pomógł jej zsunąć z bioder mokre spodnie, w których drżała z zim-

na. Zdjęła mu dzinsy i rzuciła je na stos wilgotnych ubrań. Lgnęli do siebie, spragnieni wzajemnej bliskości. Z zachwytem odkrywali swe obnażone ciała; otwierali przed sobą serca, dusze i umysły.

Dotykali się nadzy, odsłonięci, niecierpliwi, zaciekawieni i drżący. Mackensie powoli otworzyła ramiona pokryte kocem, dając mu osłonę i zachętę, której oczekiwał. Usłyszała stłumione westchnienie i przylgnęła do niego, wolna od wątpliwości. Trwali tak wtuleni w siebie z obawą i nadzieją.

Ich chłodne, posiniaczone ciała dotykały się ostrożnie. Niecierpliwość rozgrzała krew. Dłoń brała ciepło z dłoni. Przywarli do siebie mocniej, zacieśnili uścisk.

Oczy mieli otwarte, wpatrzone w siebie mimo ciemności. Murphy głaskał Mac po plecach, dotykał krągłych bioder i pośladków. Odgarnęła mu z czoła potargane włosy. Przesunęła dłońmi po szerokich, mocnych barkach i muskularnych rękach. Niecierpliwie usta dotknęły torsu. Poznawała zapach i smak ciepłej skóry, całowała przeżące się mięśnie brzucha. Jęknęła, gdy przywarł do niej niecierpliwie, a jego pragnienia ożywiły ją jak migotliwe światło księżyca budzące ze snu fale jeziora.

Gdy pogłaskała jego biodra, a potem zsunęła dłonie jeszcze niżej, ujął jej piersi, musnął kciukami twardniejące sutki i objął je wargami. Brakowało mu świec, muzyki, kwiatów i słodkich słów. Mógł ofiarować tylko siebie i to, co go ukształtowało. Oto Thomas Justice Murphy - nie miał teraz nic więcej. Gdyby mógł wybierać, najchętniej zaniósłby ją na łąkę i ułożył wśród kwiatów. Położyli się na kocach, ciasno objęci ramionami. Całował jej piersi i długą, smukłą szyję.

- Zasługujesz na lepsze posłanie - szepnął z wargami przy jej ustach. Westchnęła, poddając się jego woli.

- Nic lepszego nie mogłoby mnie spotkać. - Z uśmiechem pogłaskała jego plecy i przesunęła dłoń niżej. Ułożyła się tak, by ich ciała mocno przylegały do siebie, i z zachwytem słuchała jego westchnień.

Murphy zwlekał. Chciał, by spełnienie było łagodne i czułe. Pragnął usłyszeć, jak oboje krzyczą z zachwytu. Zamierzał rozwinąć cały swój kunszt, darząc ją pieszczotami - a nawet posunąć się dalej. Silne dłonie błędziły po jej ciele, wolno poznając wszystkie sekrety i odkrywając nikomu nie znane tajemnice. Bał się poruszyć z obawy, by nie prysnął nastrój cudownego oczekiwania wywoływany przez nią każdym dotknięciem. Zachłannie i namiętnie oddawała mu pocałunki. Wsunęła się na niego, coraz bardziej zniecierpliwiona. Przytuliła się mocno; drobne dłonie ślizgały się po torsie i biodrach, zaborcze wargi oderwały się od jego ust, by całować ramiona i nadgarstki.

- Jesteś piękny, Murphy - szepnęła przed kolejnym pocałunkiem. Te proste słowa wstrząsnęły nim i trafiły prosto do tajemnej głębi jego serca, do tej pory zazdrośnie skrywanej przed wszystkimi. Językiem dotknął jej ucha, zostawiając gorący, wilgotny ślad prowadzący ku rozchylonym wargom, które smakował zuchwale. Przesunął się ostrożnie, tak by Mac znalazła się pod nim.

Było zbyt ciemno, by mogli się widzieć, ale czuła na sobie jej wzrok. Żadnych pytań. Tylko ufność. Dobry Boże, naprawdę mu zaufała.

- Weź mnie, Murphy. - Pogładziła jego policzki, dotknęła ust. Wygięła się w łuk, pełna oczekiwania i spragniona rozkoszy. Gdy wyszeptał jej imię, zapomniała o całym świecie. Oddała mu się na zawsze i bez żalu.

Z radością czekali na chwilę, gdy spełnią się pragnienia, gdy ich ciała, dusze i myśli połączą się w jedno. Uniosła biodra, a gdy wszedł w nią, było mu tak dobrze, tak cudownie, że zapragnął całkiem się w niej zatracić.

Nie panowali nad sobą; kierowani instynktem nie czuli już takiej potrzeby. Ani jego, ani jej nikt tak dotąd nie pragnął, a świadomość, że to się nie zmieni, dawała im poczucie cudownej swobody.

Mac szybowała coraz wyżej, a gdy Murphy wypowiadał

półgłosem jej imię, unosiła się w przestworzach. Miała w sobie wielką moc. Wystarczyło dwoje rąk, by doprowadzić go do szaleństwa, obdarzyć rozkoszą i udowodnić, jak wiele dla niej znaczy. Cieszyła się nowo odkrytą siłą. Miała do ofiarowania znacznie więcej, niż dotąd sądziła - i wcale jej tego nie ubędzie. Przeciwnie! Stanie się jeszcze bogatsza. Głaskała jego pośladki i biodra. Wszedł w nią mocno, potem cofnął się bez pośpiechu... Nigdy się nie nasyci.

Przed oczyma Mac rozbłysły tęcze, barwy falowały, zlewały się, jaśniały. Słyszała przyspieszony oddech, czuła na twarzy ciepły powiew i namiętne pocałunki. Murphy napiął mięśnie, a jego skóra zwilgotniała. Znieruchomiał i przylgnął do niej jeszcze mocniej. Trwał w bezruchu. Ze wszystkich sił starał się przedłużyć tę chwilę i zatrzymać rozkosz, którą mu ofiarowała. Wreszcie nie mogąc już dłużej zwlekać, zaczął się znowu poruszać, najpierw wolno, potem coraz szybciej. Pocałował Mac i wzniosł się w przestworza.

Frunęli, wznosili się, szybowali po niebie. Objęci ciasno, widzieli, jak nieznana część wszechświata gwałtownie otwiera się i w ułamku sekundy zamyka nad nimi, porywając ich ku piękniejszej krainie, gdzie był tylko zachwyty, żar... i oni dwoje.

8

*I w tobie szukam nieba,
bo piekło widziałem już...*

Gdy Murphy obudził się kilka godzin później, odkrył, że spłynął na niego cudowny spokój. Boże miłosierny, nieświadomie przez całe życie marzył o takiej chwili. Mac spała w jego objęciach. Idealnie do siebie pasowali. Przy-

tuliła się ufnie, opierając ręce na jego torsie. Odważył się poruszyć i opuszkami palców musnął jej aksamitną skórę na ramieniu, dotknął policzka. Tak, była tu naprawdę. Kochali się; nic nadzwyczajnego, więc czemu to przeżycie tak go zmieniło? Wspominał spojrzenia i odczucia, które je zapowiadały... Sypiał z kobietami, miał ich wiele, ale z żadną nie było mu tak dobrze. Po prostu nie ma porównania.

Mackensie jęknęła przez sen i mocniej przywarła do niego. Przesunęła dłońią po jego piersi i objęła w talii, zamykając w jeszcze ciaśniejszym uścisku. Pragnienie bliskości, pożądanie i czułość zawładnęły jego sercem, rozgrzały krew. Obsesyjnie myślał o ustach Mac, chciał poczuć ich żar i aksamitną miękkość, ale nie miał odwagi jej obudzić. Potrzebowała snu. Ich wędrówka jeszcze się nie skończyła.

Pierwsze promienie słońca padły na legowisko. Mężczyzna rozejrzał się wokoło i stwierdził, że w świetle dziennym prowizoryczne schronienie wygląda jeszcze gorzej, niż sądzili, oglądając je po ciemku. Gdy odruchowo wspomniął inną rudere, ciemną i ponurą, odkrył nagle, że kiedy Mac śpi u jego boku, dawne cierpienia tracą na znaczeniu. Dřęczące go wizje zniknęły w głębinach wyobraźni.

Budziła się jak rozleniwiona kotka. Patrzył z uwagą, jak wolno prostuje ręce i nogi, przeciąga się i wygina w łuk. Gardłowy pomruk wyrwał jej się z gardła, gdy spojrzała na niego spod ciemnych rzęs. Z uśmiechem uniosła się lekko i pocałowała go w usta.

Życie zmieniło się na dobre. Cokolwiek się z nim stanie, nikt mu nie odbierze doznań ofiarowanych przez Mac. Kiedy się w niej zakochał? Obiecywał sobie dotąd, że nie ulegnie magii uczuć. Nie nadawał się na domatora wiodącego spokojne, osiadłe życie. Nieustannie podróżował i dzięki temu przygodne znajomości nigdy nie nabierały poważniejszego charakteru. Sądził, że takie postępowanie uchroni go przed miłością.

W życiu ważne są tylko chwile. Liczy się terazniejszość.

W tym momencie jego uczucia były całkiem różne od tych doznawanych w przeszłości. Cierpienie i gniew, które zębrały go od wojny w Wietnamie, odeszły w cień; jego serce wypełniała miłość do Mac. Był w siódmym niebie. Emanował siłą i energią. Poruszył się niecierpliwie, kiedy go pogłaskała. Tuliła się do niego, a poranne powietrze chłodziło ciała rozgrzane rozbudzoną na nowo żądzą.

Obróciła się, by dotknąć ustami jego warg. Ten pocałunek miał być zapewnieniem, że stał się jej bardzo drogi. Odkrycie to spadło na nią jak grom z jasnego nieba, ale zaakceptowała je i stała się przez to silniejsza. Murphy uniósł ramiona, żeby objąć ją mocniej. Zасыpywała pocałunkami jego szyję i twarz. Słońce wzeszło, a jego promienie wpadające do środka przez szpary między deskami dodały blasku jej oczom.

- Dzień dobry - mruknął, gdy całowała go zachłannie. Uśmiechnęła się tylko. Czuła, jak Murphy przeży mięśnie. Usiadła na jego biodrach. Nie protestowała, gdy ujął jej dłonie, przyciągnął do ust i pocałował. Oboje byli posiniaczeni i obolali, ale z ulgą myśleli, że wkrótce się połączą.

Uniosła się nieco i osunęła wolno, żeby przyjąć go w siebie. Gdy zaczął się kołysać, spojrzała w dół i szepnęła:

- Poczekaj. Za chwilę.

Uniósł powieki i spojrzał jej prosto w oczy. Był w nich ten sam żar, który sprawiał, że jego męskość w niej nabrzmiewała. Zaczęli poruszać się, prawie niedostrzegalnie. Palce mieli splecione, a ich ciała tworzyły jedność. Odprawiali we dwoje znany od wieków miłosny rytuał. Każda pieszczota, każde dotknięcie, każde poruszenie było odwzajemnione, zbliżało ich do siebie i uczyło, jak okazać czułość, jak być kochanym.

Mac uwolniła dłonie, by przesunąć nimi po jego torsie i brzuchu aż do miejsca ich zespolenia. Zobaczyła w jego oczach wyraz rozkoszy graniczącej z cierpieniem i uśmiechnęła się, upojona mocą, która przepełniała ich oboje.

Kochała tego mężczyznę, choć do niedawna był obcy

i stanowił zagrożenie. Minęło zaledwie kilka dni i stał się dla niej wszystkim. Poświęciłaby dla niego życie. Mniejsza z tym, co z nimi będzie. Tego uczucia nikt jej nie odbierze. Czowała się jak w siódmym niebie. Odchyliła głowę do tyłu i potargane włosy skręcone w pierścionki opadły na ramiona. Zaróżowiona pod wpływem podniecenia skóra jaśniała w promieniach słońca. Kształtne, jędrne piersi były niczym zachęta i obietnica. Oddała się bez namysłu, bez wątpliwości. Patrzyła na niego z ufnością, której nie mógł się oprzeć, więc przyjął ten dar. Wobec takiej wiary był zupełnie bezsilny. Uległ - przynajmniej na chwilę. Pragnął w nieskończoność przedłużać oczekiwanie, ale druga część męskiej natury domagała się rychłego spełnienia. Nie po raz ostatni się kochają. Czekają ich wiele upojnych nocy i poranków.

Obrócił się i przykrył Mac własnym ciałem, zasypując jej twarz pocałunkami. Ostrożnie musnął wargami szramę na czole, jakby chciał uleczyć ją łagodnym dotknięciem. Niecierpliwie dążył do spełnienia, a zarazem umyślnie zwlekał, rozkoszując się bez końca tą chwilą. Mac splótła nogi za jego plecami i uniosła wysoko biodra. Ulegając natarczywemu żądaniu, stracił panowanie nad sobą i zapadł w nią. Był pełen życia, pulsował energią. Mackensie nie przeżywała dotąd podobnych uniesień. Pocałowała ukochanego w ramię i krzyknęła jego imię.

Gdy otworzyła oczy, zobaczyła, że Murphy'ego nie ma na postaniu. Zorientowała się, że stoi przy drzwiach. Odwróciła głowę, żeby na niego popatrzeć. Bez słowa wyciągnął do niej rękę. Uniosła się, ujęła ją i pocałowała. Miał takie silne dłonie, zdolne chronić, pieścić, osłaniać.

- Chodź ze mną - powiedział z łobuzerskim uśmiechem.

- Na zewnątrz? Straszny ziąb. Jestem naga.

Pokiwał głową.

- To odpowiedni strój.

Do jeziora mieli zaledwie kilka kroków. Zaprowadził ją

na brzeg i razem zanurzyli się w wodzie, która ich otuliła jak miękkie kokon.

- Sprawdziłem teren - wyjaśnił. - Na razie jesteśmy bezpieczni. Nic nie wskazuje na to, żeby tu dotarli.

Woda była miękka jak jedwab i o kilka stopni cieplejsza niż powietrze. Mac zanurkowała, by po chwili wyłonić się parę metrów od niego. Spoglądał na nią zachłannie i pożądliwie. Szybko pokonała dzielącą ich odległość i mocno go przytuliła.

- Może włochaty potwór zwabił ich do swojej pieczary, rozerwał na kawałki, część z nich upiekł nad ogniskiem, a resztę zostawił na później pod kamieniem w chłodnym nurcie strumienia?

Była cudowna - jak haust świeżego powietrza po roku w głębinach; jak słoneczny blask po miesiącach wegetowania w śpiączce. Oddała mu się chętnie i spontanicznie. Nie mógł się nadziwić, że serce Mac jest tak szczodre, otwarte i pełne życzliwości.

- Powinnaś mieć satynową pościel, zapalone świece... - Przyciągnął i otoczył ramionami zwinną postać. Oczyma wyobraźni ujrziała taką scenerię i obiecała sobie w duchu, że zadba o to, by Thomas Justice Murphy przeżył wiele romantycznych i pięknych nocy; tymczasem zarzuciła mu ręce na szyję i musnęła wargami jego usta.

- Ty mi wystarczysz. Teraz i zawsze.

Chwilo, trwaj... to niemożliwe. Murphy czuł, że znalazł wreszcie życiową przystań, ale miał tę świadomość, że jego natura włóczęgi nie pozwoli mu tutaj zostać. Gdy nadejdzie czas, żeby się pożegnać, Mac musi to zrozumieć. Postara się jej wytłumaczyć, na czym rzecz polega. Ich drogi się rozejdą, ale zostaną piękne wspomnienia. Nie mógł żądać, by związała się na zawsze z człowiekiem, który raz po raz zstępuje do prywatnego piekła.

Mac domyśliła się, co go gryzie. Pożegnania przychodziły mu łatwo, ale jej nie porzuci - ani teraz, ani w przyszłości.

Więź między nimi była zbyt mocna i prawdziwa, a wzajemne pożądanie wyjątkowo silne. Mac zawsze miała pewność, że gdy w jej życiu pojawi się właściwy mężczyzna, od razu go rozpozna - i tak się stało.

Przyłgnęli do siebie, a fale pieściły śliską skórę od ramię do stóp. Z uśmiechem obejmowała go za szyję, gdy unosili się na powierzchni, z rzadka poruszając stopami, żeby nie zniknąć pod wodą.

- Pora się ubrać i ruszyć w drogę. Ciekawe, jak daleko dziś zajdziemy - szepnęła z ustami przy jego wargach. Pochylił głowę i odparł, całując jej szyję:

- Damy sobie radę. Tamci jeżdżą chyba po okolicy. Wrócimy do twego domu i wezwiemy pomoc.

Drżąc odrzuciła głowę do tyłu i powiedziała kpiąco:

- A nie mówiłam? Trzeba było od razu tak zrobić, a nie czekać, aż spróbują nas zabić.

- Źle postąpiłem, narażając twoje życie tylko dlatego, że sam jestem w niebezpieczeństwie. - Patrzył na nią z ponurą determinacją. - Nie chcę, żebyś cierpiała. Odstawię cię na posterunek i odejdę.

- Wybij to sobie z głowy, Murphy. - Przytuliła go z całej siły. Pogłaskał jej ramiona, musnął piersi, zanurzył się lekko i znów do niej przyłgnął.

- Gdybym kiedykolwiek szukał kobiety na całe życie, na pewno wybrałbym ciebie.

- Nie mów głupstw. - Serce ścisnęło jej się z żalu. - Posłuchaj: nie odejdziesz ode mnie ani ja ciebie nie opuszczę.

- Zrozum, decyzja nie należy do nas. Teraz najważniejsze jest dla mnie schwywanie tamtych drani. Dopóki tu jesteś, muszę dbać o twoje bezpieczeństwo, więc nie mogę się skupić na jednym zadaniu. Twoje bezpieczeństwo to dla mnie podstawa.

- Nie zależało ci na nim, kiedy się włamałeś do leśnego domu - skarciła go żartobliwie, nie zważając na przykrość, którą mimo woli sprawił jej ukochany.

- Zdobyłaś informacje, których potrzebowałem. Gdybym nie był taki chory, sprawy ułożyłyby się inaczej. Przede wszystkim muszę dostać w swoje ręce tych bandytów. Istnieje pewne prawdopodobieństwo, że będą próbowali stąd zwać, a wtedy nie zdołam dowieść swojej niewinności.

Całkiem realna groźba... Mac słuchała ze ściśniętym sercem.

- Są tak wystraszeni, że staną na głowie, byle nas zabić.

Z uśmiechem stwierdził, że w pewnych sytuacjach rozumie jak wystraszona dziewczynka.

- Nie można wykluczyć, że zamiast się narażać, postanowią zwać przed karzącą ręką sprawiedliwości, a wtedy nadal będę uchodził za zbiegłego przestępcę, na co nie mam najmniejszej ochoty.

Objęła go mocno za szyję i przytuliła się z całej siły. Ten mężczyzna pełen życia i energii tak dużo już przecierpiał. Chciała ofiarować mu ukojenie, dać chwilę wytchnienia i nauczyć ufności, która sprawi, że jego rany się zabliznią. Pragnęła zapewnić mu poczucie bezpieczeństwa i stworzyć cichą przystań, w której odnalazłaby spokój jego umęczona dusza. Miłość dodała jej sił.

Poczuła zmysłową pieszczotę jego rąk i wróciła do świata czarów. Gdy przysunął się, unióś ją lekko i znowu opuścił, chętnie mu się oddała. Zjednoczeni przesuwali się ku brzegowi, gdzie woda sięgała do kostek. Murphy położył się na plecach, a Mac pozostała nad nim. Kochali się obmywani łagodnymi falami. Być może nie zdawał sobie sprawy z tego, co dla niej stało się oczywiste: spotkali się, bo chciał tego los, a ich przeznaczeniem była miłość i śmiech, praca i odpoczynek, spokojna beczynność o zachodzie słońca, wieczorna lektura przy kominku w wygodnych fotelach z ogromnymi zagłówkami.

Długo leżeli przytuleni, splatając dłonie jak rozbitkowie wyrzuceni na brzeg po straszliwej burzy. Drżącą z zimna Mac ucieszyły ciepłe promienie porannego słoń-

ca. We dwoje zdołają stawić czoło całemu światu, więc lepiej, żeby traktował ich z respektem.

Niechętnie wrócili do chaty. Pogrążeni w myślach milczeli, wkładając ubrania. Potem ułożyli wszystko tak, jak było, i ruszyli w drogę. Wiatr szumiący w koronach drzew zapowiadał kolejną burzę.

Odeszli już daleko od leśnego domu, kiedy Murphy zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać, jakby zastanawiał się nad kierunkiem marszu. Stali ramie przy ramieniu, trzymając się za ręce. Otaczały ich stare drzewa; krople wody kapały z potężnych konarów. Byli w sercu puszczy Uwharrie. Mac wzdrzgnęła się i pomyślała, że niechętnie zapuściłaby się samotnie w taką knieję. Stała nieruchomo, póki Murphy obserwowwał las. Spoglądała w tę samą stronę na wzgórza i doliny, na widoczny w oddali horyzont, na liście i gałęzie.

- Cholera jasna, chyba zabłądziliśmy. Jak mogłem do tego dopuścić!

- Zdaj się na wycucie kierunku. To nam musi wystarczyć. - Wzruszyła ramionami. Była głęboko przekonana, że Murphy sobie poradzi.

Gdy ruszył, od razu poszła za nim. Wchodzili coraz głębiej w stary las, lecz widzieli z daleka brzeg jeziora. Przedzierali się przez festony mchu zwisające z niższych gałęzi. Mackensie odsuwała je najdalej, jak mogła. Dzika przyroda - do niedawna obiekt szczerzego zachwyту - budziła teraz mieszane uczucia. Mac traciła siły; gdy słońce stanęło wysoko na niebie, przeświecając chwilami spoza chmur, usiadła na ziemi, zmęczona i pełna obaw.

- Odpocznijmy - rzuciła błagalnie. - Porozmawiajmy chwilę. Opowiedz mi, gdzie ostatnio pracowałeś. Co to za budowla? - Kiedy popatrzył na nią, jakby straciła zmysły, wyjaśniła krótko: - Mów. Gdy słyszysz twój głos, czuję się pewniej.

- Pojechałem do Ashton w stanie Kentucky. Zbudowaliśmy tam kościół. Jest bardzo piękny, w starym stylu. Witrażowe okna sprowadzono z Anglii. Proboszcz, staruszek

po siedemdziesiątce, codziennie doglądał budowy. Mówił niemal wyłącznie cytatami z Biblii. Ogromnie go polubiłem. Czasami zamienialiśmy się kanapkami wziętymi z domu na drugie śniadanie. Zwykle siadaliśmy na pniu starego, zwalonego drzewa, którego korzenie cudem ocalały w ziemi. Rosło poziomo, służąc jako naturalna ławka. - Murphy wybuchnął śmiechem i pokręcił głową. - Jak na człowieka w podeszłym wieku proboszcz miał dalekosiężne plany. Zdawał sobie sprawę, że raczej nie dożyje ich urzeczywistnienia, ale się tym nie przejmował. Moim zdaniem chodził z głową w chmurach i karmił się złudzeniami. Chciał, żebym został i pomagał mu utrzymać kościół w należyтым porządku. Tłumaczył, że powinienem się ustatkować i regularnie chodzić na mszę.

- Cieszę się, że tam nie osiadłeś. - Położyła się i obserwowała grę słonecznych promieni na leśnym poszyciu.

- Naprawdę? - Murphy uniósł brwi.

- A ty nie? Gdybyś został, pewnie byśmy się nie spotkali.

Skinął głową i czule pocałował Mac w usta. Nie potrafił znaleźć słów, by wyjaśnić, że byłoby dla niej znacznie lepiej, gdyby nie stanął nigdy na jej drodze.

- Próbowałem wytłumaczyć staruszkowi, że wszędzie mogą się modlić, bo cały świat jest moim kościołem. Ludzie, którzy potrzebują do tego specjalnego budynku, nie potrafią zrozumieć człowieka, który sercem i przekonaniem daje świadectwo swojej wiary. Tak czy inaczej, potrafiłem się dogadać z proboszczem. Często rozmawialiśmy, ale gdy budowa kościoła została ukończona i dostaliśmy ostatnią wypłatę, tego samego wieczoru bez pożegnania ruszyłem w drogę. Uznałem, że tak będzie lepiej. - Nie dodał tylko, że złożył hojną ofiarę. Uważał, że to właśnie on jako pierwszy powinien wesprzeć kościół i pomóc w urzeczywistnieniu marzeń staremu proboszczowi, który już planował kupno wspaniałych organów; szyby zadrzą, gdy zabrzmie muzyka.

- Co będziesz robił po tym, jak odwiedzisz rodziców i pomożesz ojcu? - Mac bawiła się dużym liściem. Roztarła go w dłoniach.

- Pojadę do San Antonio. Mam budować nowe skrzydło szpitala dziecięcego.

- Uwielbiam to miasto. - Mackensie zerwała się, a oczy jej zabłyły na wspomnienie miłych chwil. - Chętnie bym z tobą pojechała. Byłeś w San Antonio?

- Nie.

- Na pewno ci się tam spodoba. Opowiedz mi o nowym skrzydle szpitala.

- Projekt jest wyjątkowy. Zbudujemy wewnątrz plac zabaw. Sufit będzie przeszklony, żeby dzieci nie czuły się uwięzione. Przez budynek będzie płynął strumyk. Plusk wody działa kojąco.

- Doskonały pomysł. Sam na to wpadłeś?

- Tak mi przyszło do głowy.

- Dzieci będą ci wdzięczne za te innowacje. A ja cię podziwiam. Mało kto troszczy się o takie sprawy. Dobry z ciebie człowiek, Murphy. To musi być cudownie tak jeździć z miejsca na miejsce. Pełna wolność.

- Nie wysnuwaj pochopnych wniosków. Czasami jest mi bardzo ciężko, ale sam wybrałem takie życie.

Wiele się teraz zmienia, pomyślała z radością, marząc jednocześnie o kanapce z masłem orzechowym i dżemem, a także o szklance zimnego mleka. Niełatwo będzie przekonać Murphy'ego, że powinni być razem, ale znajdzie sposób. Gdy wyjdą cało z opresji, ze wszystkim sobie poradzi.

- Co pan gada? Samochód leży w rowie, a ona zniknęła bez śladu? - Roxanne ścisnęła słuchawkę tak mocno, że aż jej kostki pobiełały. Z wrażenia rozboleła ją żołądek. Danny łowił każde słowo, pochylony ku słuchawce.

- Znaleźliśmy go pół godziny temu. - Mężczyzna po drugiej stronie linii mówił coraz głośniej. - Chyba nie do-

szło do zderzenia z innym autem. Najwyraźniej pani siostra wypadła z trasy. Nasi ludzie byli w leśnym domu, ale tam jej nie zastali. Pomieszczenia wyglądały podejrzanie.

- O co chodzi? Proszę mówić jaśniej, do cholery! - Zniecierpliwiona Roxanne westchnęła głąboko.

- W domu znaleźliśmy ślady krwi. Panuje tam niezły bałagan, na podłodze leży sporo błota. Natknęliśmy się także na facetów krążących po okolicy zdezelowaną półciężarówką. Twierdzili, że wybrali się tylko na przejażdżkę, ale na wszelki wypadek ich stamtąd przepędziliśmy. - Gdyby zdołał sobie przypomnieć, gdzie widział jednego z tych gości...

- Może zraniła się w głowę, gdy samochód wpadł do rowu? - Roxanne niecierpliwie tupnęła nogą o pokład statku wycieczkowego. - Przeszukaliście okolicę?

- Tak. Nie ma śladu. Furtka w płocie otaczającym leśny dom została wyrwana. Może to sprawka włóczęgów ze starego grata?

- Furtka wyrwana? - powtórzyła Roxanne, opuściła słuchawkę na kolana i próbowała wziąć się w garść. Mąż objął ją ramieniem. Wróciła do przerwanej rozmowy.

- To chyba oczywiste, że nie jesteśmy w stanie pilnować każdego domu przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Moim zdaniem nie powinna się pani martwić o siostrę. Prawdopodobnie zadzwoniła do znajomych, a oni zabrali ją do siebie.

- Niech mi pan nie opowiada bzdur. Od dawna próbuję się z nią skontaktować, ale nie odbiera telefonu. Niech pan weźmie ludzi i przeszuka okolicę. Zadzwonię za godzinę. Liczę na to, że dowiem się czegoś więcej.

Roxanne ze łzami w oczach rzuciła słuchawkę.

- To nie do wiary. Czuję się taka bezsilna. Dzielią nas setki kilometrów.

- Wszystko będzie dobrze. - Przystojny mąż wziął ją w objęcia. - Twoja siostra sprawia wrażenie osoby, która potrafi zadbać o swoje bezpieczeństwo.

- Chyba powinnam wrócić. - Głos Roxanne był stłumio-

ny, bo wtuliła twarz w koszulę męża. Jak to dobrze, że mogła się schronić w jego ramionach i usłyszeć słowa pociechy. Rzecz jasna miał rację. Mackensie da sobie radę. A jeśli błąka się ranna po lesie? Nie wolno tak myśleć, bo od tego się wariuje. Roxanne chodziła nerwowo w tę i z powrotem, a Danny spoglądał na nią bezradnie. Jakieś nieszczęście spotkało Mac, ale nie ma sposobu, żeby jej pomóc. Powróciły wspomnienia sprzed lat. Mackensie zawsze opiekowała się młodszą siostrzyczką, a gdy sama znalazła się w potrzebie, od bliskich dzieliły ją setki kilometrów.

Nie trzeba popadać w rozpacz. Nie wolno się załamywać. Mimo wszystko ogarnął ją strach. Objęła się ramionami i przestała chodzić, mimo że trudno jej było ustać w miejscu. Danny wiedział, jak poprawić nastrój ukochanej. Zaprowadził ją na pokład rekreacyjny, do kasyna. Przy ruletce godzina oczekiwania zleci niepostrzeżenie, a pasjonująca gra pomoże zapomnieć o ponurych wizjach. W przeciwnym razie Roxanne sterroryzuje kapitana i zmusi go, by zmienił kurs i zawrócił.

- Zadzwońisz do strażników za godzinę. - Danny objął mocno żonę. - Jeżeli nadal nie będzie żadnych wieści, zawiadomimy mojego brata i poprosimy go, żeby tam pojechał i sprawdził wszystko na miejscu.

- Dobrze - przytaknęła, tuląc śniady od słońca policzek do silnego ramienia. - Z pewnością bardziej mu będzie zależało na wyjaśnieniu sprawy niż tamtym nieudacznikom.

Mokradła, zarośla, krzaki... Bóg raczy wiedzieć, co ich tu czeka. Ukryte wśród trzcin grzechotniki, jadowite żmięje, podstępne węże wodne. Mac zaczęła się modlić. Z obawą pomyślała, że jeśli wąż prześlizgnie się po jej stopach, wrzask będzie słyszalny w odległych górach Morrow, a trzej stuknięci prześladowcy natychmiast się zorientują, gdzie szukać uciekinierów. Długie źdźbła trawy owijały się wokół jej kostek. Nogi zapadały się w bagnisty grunt,

przez co marsz stawał się powolny i uciążliwy. Obiecała sobie, że jeśli wyjdzie cało z tej opresji, trzy dni spędzi w wannie napełnionej ciepłą wodą i pachnącą pianą.

Zapuszczali się w las coraz głębiej. Częściej musieli się teraz wspinać, co utrudniało wędrówkę. Murphy nie trzymał już Mac za rękę, tylko szedł przodem, odsuwając gałęzie i wydeptując ścieżkę wśród bujnych roślin i gęstego poszycia. Wpadła na niego, gdy zatrzymał się niespodziewanie. Coś zwróciło jego uwagę. Zerknęła ponad szerokimi barkami. CZARODZIEJSKI LAS. Zniszczony i zardzewiały łuk z kutego żelaza chwiał się nad ścieżką. Czyżby ktoś chciał im dać do zrozumienia, że wkraczają do baśniowej krainy? Wybuchnęła śmiechem, który przeszedł w stłumiony chichot.

- Bez sensu! Czarodziejski las, też coś!

Zniszczone ogrodzenie obrosnięte roślinnością ciągnęło się po obu stronach drogi. Za niezwykłym drogowskazem grunt podnosił się stromo. Na szczęście minęli już bagna, przez które od dwóch godzin przedzierali się z mozołem.

- Przypomniałem sobie, że ten rejon uchodził za nawiedzony - wymamrotał Murphy i smętnie pokiwał głową. - Dlatego opustoszał przed laty.

- Las wygląda niesamowicie, ale to nie powód, żeby go uznać za nawiedzony. - Mimo to wzięła ukochanego pod rękę i podejrzliwie rozejrzała się wokół.

- Nie twierdzą, że ukazują się tu zjawy - mruknął. Uśmiechnął się z trudem i ujął jej dłoń, zachęcając, żeby się przytuliła. - Chodźmy.

Spojrzała w górę. Czekąta ich trudna wspinaczka, a tymczasem brakowało jej sił. Zerknęła na splecione palce, popatrzyła w jego oczy i bez ociągania poszła dalej.

- Na wojnie wszystko dzieje się bardzo szybko - opowiadał, idąc pod górę. - Nie ma czasu do namysłu. Podejmowane w ułamku sekundy decyzje oznaczają życie albo śmierć. Im dłużej myślę o naszej sytuacji, tym bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że trzeba przejąć inicjatywę i ruszyć do

natarcia. Jesteśmy teraz w odległości około czterech kilometrów od leśnego domu. Pora cię tam odprowadzić.

Obejrzała się, zerkając ponad jego ramieniem. Światło i cień tworzyły dziwną płataninę. Na miękkiej ziemi i gnijących liściach odcisnęły się ich stopy. Cokolwiek jest przed nimi, nie może być gorsze.

Murphy wybiegał myślą naprzód. Trzeba się dowiedzieć, gdzie jest trójka bandytów i zadbać o bezpieczeństwo Mac. Kto wie, czy nie zastrzeli po prostu tych drani - nie bez satysfakcji. Powinni zostać surowo ukarani za jej cierpienia.

- Padam na pysk i w brzuchu mi bureczy z głodu - marudził Turk. Nie zdążył się uchylić, gdy Harry bez ostrzeżenia uderzył go pięścią. Ocierając krew z rozciętej wargi, mruknął: - Niech to diabli, całkiem ci odbiło.

- Nie pozwolę, żeby jakaś forsiasta zdzira robiła ze mnie balona. W życiu nie byłem taki wściekły. To on ją nasłał, żeby nas wybadała. Cholera jasna, jak przejrzał nasz plan? - Oczy Harry'ego błyszczały gorączkowo, gdy uderzał pięścią w otwartą dłoń.

Jego kumple spojrzeli po sobie. Mieli dość. Nie chciało im się dłużej włóczyć po lesie. Harry nie czuł grozy tego miejsca, ale oni mieli złe przeczucia, żaden jednak nie śmiał powiedzieć o tym głośno. Podejrzewali, że mu odbiło, i bardzo się tym martwili.

Przed wieloma godzinami ukryli półciężarówkę i ruszyli do lasu. Od czasu do czasu znajdowali trop kobiety i jej gacha, ale ślady były zatarte. Zadanie stawało się niewykonalne.

- Obaj chcielibyście zwiąć, co? - spytał Harry, jakby czytał w ich myślach. - Wybijcie to sobie z głowy. Zastrzeleń was bez namysłu tak samo jak tamtych dwoje. Gdybyście nie nawalili, byłibyśmy daleko stąd.

- Może ich stąd wykurzyć? Podpalmy las! - zaproponował nieśmiało Sully.

- Pewnie! I wszyscy zaraz się tu zlecą. Rusz głową, idio-

to - burknął Harry.

- Moim zdaniem wróca do siebie. - Turk zerknął na drogę prowadzącą do leśnego domu.

- To całkiem możliwe. Pewnie trochę odczekają, a potem zadzwonią na policję. Mamy przewagę, bo w przeciwieństwie do nich zabraliśmy ze sobą jedzenie i wodę. Jeden z was zaczął się w domu. Drugi weźmie pikapa i pojeździ leśnymi drogami. Spotkamy się wieczorem.

Kumple Harry'ego wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Z obawy przed nim gotowi byli wypełnić każde polecenie. Ustalili, kto czym się zajmie. Sully postanowił wziąć samochód. Miał nadzieję, że przejażdżka ukoi jego stargane nerwy.

- Co mam zrobić, jeśli zobaczę strażnika?

- Coś wymyślisz. Możesz go zastrzelić, tylko ukryj ciało.

Sully'emu nie podobał się ten pomysł. Kradzieże sły mu jak z płotka, ale nie miał zadatków na mordercę. Pojeździ trochę po lesie, znajdzie dobrą kryjówkę, przeczeka kilka godzin, a potem wróci i powie, że nikogo nie znalazł. Miał dość tej afery. Najchętniej zabrałby forszę i zwał na drugi koniec świata z nadzieją, że Harry zapomni o jego istnieniu.

Gdy szef bandy został sam, ogarnęła go wściekłość. Znajdzie tych dwoje lub zginie, depcząc im po piętach. Będzie miał tę zdiurę; weźmie ją na oczach jej gacha, a potem zastrzeli oboje. Ukryje ciała tak, że nikt ich nie znajdzie. Miną lata i zostanie po nich trochę białych kości pod mchem i krzakami wrednego lasu. Potrząsnął głową i ruszył przed siebie. Złość dodała mu sił. Stopniowo popadał w szaleństwo.

9

*Otworzę swoje rany, popłynie struga krwi;
a ten śmiertelny krwotok przywróci życie mi...*

Pędy dzikiego wina pełzły po ziemi i wspinały się na opuszczone budynki, utrudniając marsz. Kłujące rośliny o szerokich liściach krzewiły się bujnie na wilgotnym podłożu. Dorodne pnącza o dużych, wachlarzowatych kwiatach owijały się wokół pni. Powietrze przesycone było wilgocią. Murphy ciął łożdygi, torując drogę w głąb opuszczonego osiedla, i maskował liśćmi ich ślady. Czekają go bardzo trudne zadanie: musiał przekonać Mac, by się rozdzielili. Dalej powinien iść sam.

Ruiny domów wznoszonych z nadzieją na urzeczywistnienie życiowych planów sterczały ponuro na tle nieba. Mech zarósł budynki od północnej strony; ściany pochylały się i zapadły pod własnym ciężarem. Znaleźli dom bez szyb, gdzie pędy winorośli zaścielały podłogę, ale dach był cały. Weszli do środka, sprawdzając wytrzymałość przegniłych desek. Murphy obciął wiotkie gałązki pnączy i wyrzucił je na zewnątrz. Mac zdjęła buty i cieszyła się krótkim odpoczynkiem. Usiadł obok niej przy oknie. Po chwili ułożyła się wygodnie z głową na jego udzie.

- Mam ochotę pogadać. Czy moja paplanina ci nie przeszkadza? Wiem, że chcesz się zastanowić, co mamy dalej robić.

Chętnie jej słuchał. Dźwięczny głos pomagał mu się skupić. Chwilami uciekał od rzeczywistości, odruchowo porównując obecną sytuację do nocy i dni w Wietnamie wlokących się w nieskończoność.

Mac strzepnęła wyschnięte błoto z brudnego ramienia. Marzyła o kąpeli z bąbelkami w ogromnej wannie; na jej brzegu postawi kieliszek szampana, płomień świecy będzie migotał w półmroku, zabrzmie kojąca, romantyczna muzyka. Westchnęła, zasłaniając oczy ręką.

- Wiesz, przyjechałam do Nowego Jorku pełna nadziei. To ciekawe, żyjemy z dnia na dzień, karmiąc się marzeniami. Dziś tamto miasto wydaje mi się odległe o lata świetlne.

Thomas Justice Murphy dawno wyzbył się marzeń, ale cieszył się, że Mac je zachowała. Ilekroć przestawał być

czujny, rozmyślał o całkiem innych sprawach. Teraz interesowali go przede wszystkim trzej bandyci, przez których nie mógł żyć tak, jak chciał. To kolejny powód, żeby się na nich zemścić.

- Chciałam zostać aktorką, ale nic z tego nie wyszło. Marzenia rzadko się spełniają. Mimo to znalazłam swoje miejsce i sądziłam, że wszystko jest w porządku, ale ostatnio zmieniłam zdanie. Przyjechałam nad jezioro, żeby wszystko przemyśleć i zdecydować, co dalej. Mam modne urządzone mieszkanie i wysoko postawionych znajomych. Obracam się w dobrym towarzystwie. Bywam na przyjęciach, wytwornych kolacjach i uroczystych premiach, ale to mi nie wystarczy. Miałam nadzieję, że odpocznę przez kilka dni, a przy okazji znajdę nowy cel w życiu i postanowię, co mam dalej robić. Uznałam, że nie pragnę stabilizacji. Poza tym nie lubię przebywać stale w jednym miejscu. To nie dla mnie. Czas, który mam, jest zbyt cenny, żeby go marnować. - Wyciągnęła ramię i opuszkami palców musnęła jego wargi. Pocałował ją w rękę. Uwielbiała go dotykać. - Wierzysz w przeznaczenie, Murphy?

Z przyjemnością słuchał jej uroczego głosu.

- Nie zastanawiałem się nad tym - skłamał, chociaż ten problem od dawna nie dawał mu spokoju. - Czemu pytasz?

- Musisz przyznać, że poznaliśmy się w niezwykłych okolicznościach. Jestem pewna, że to nam było pisane. - Gdy milczał, odwróciła się, żeby na niego popatrzeć. - Nie sądzisz, że nasze drogi musiały się skrzyżować?

To całkiem prawdopodobne, pomyślał zaniepokojony.

Udawał, że pochłania go bez reszty struganie nożem młodej gałązki. Sprawdził palcem, czy jej czubek jest dostatecznie ostry. Bardzo mu zależało na tym, by oszczędzić Mac przykrości i rozczarowań. Gdyby był innym człowiekiem... Trudno, nie mógł się zmienić. Poza tym zdawał sobie sprawę, że ludzkie życie pełne jest niespodzianek, i dlatego nie chciał się wiązać, póki nie wiedział, z jakimi mu-

si się *liczyć* konsekwencjami. Odpowiedział wymijająco:

- Moim zdaniem Najwyższy ma wobec nas pewne plany, ale sami decydujemy o tym, w jaki sposób się urzeczywistnią.

Dmuchał na skrawki drewna i palcem wygładził czubek gałązki. Czyżby Mac należała do kobiet, które potrzebują gwarancji? Chyba tak, uznał po chwili. Nie mógł jej niczego obiecać. Pograżony w głębokiej zadumie wziął się znowu do strugania. Mackensie przyglądała się szramie na grzbiecie swojej dłoni. Z zadowoleniem słuchała jego wywodów.

- Pewnie masz rację. Jak sądzisz, dlaczego musimy znośić to wszystko?

- Nie wiem. - Z uśmiechem wzruszył ramionami. - Nie sądzę, żeby komuś udało się zgadnąć, jak wpływają na siebie poszczególne fakty. Brak czasu, żeby się nad tym zastanowić. Niekiedy stajemy na rozstajnych drogach i trzeba dokonać wyboru. Czasami próbuję dociec, jakie znaczenie miała wojna w Wietnamie. Czas płynął tam szybciej niż tutaj. Wydaje mi się, że od powrotu żyję jakby na zwolnionych obrotach. Mam niekiedy takie wrażenie.

- Naprawdę? To musi być okropne.

- Przesada. Bywało gorzej. Początkowo byłem jak sparaliżowany. Tyle się zmieniło, a zarazem pewne obszary rzeczywistości pozostały takie same jak przedtem. Nikogo nie obchodziło, że służyłem w Wietnamie. Nikt nie chciał słuchać tego, co miałem do powiedzenia. Byłem dumny, ponieważ robiłem, co do mnie należało, ale wkrótce zacząłem tracić pewność siebie, bo ci sami ludzie, którzy mnie posłali na wojnę, kazali mi trzymać język za zębami.

- Masz powody do słusznej dumy. Jak inni żołnierze służyłeś krajowi. Domyślam się, co chcesz mi dać do zrozumienia, ale nie zapominaj, że to już przeszłość.

Objął ją ramieniem i mocno przytulił.

- Ludziom, którzy tam byli, trudno przyjąć do wiadomości tę prawdę. Nadal żyjemy w cieniu tamtych wyda-

rzeń. Nie sędzę, żeby ci się udało mnie zrozumieć, choć-
byś nawet próbowała.

- Zgoda. Przyjmuję do wiadomości twoje słowa. Z drugiej
strony jednak co ci przeszkadza cieszyć się słońcem i desz-
czem, plażą i górami, rześkim powietrzem letniego wieczoru
i ciepłym kominka w śnieżną zimową noc? Masz teraz mnie,
kochany. Może dzięki temu uwolnisz się od złych wspomnień.

- Nie potrafię się zmienić. - Głęboko zamyślony oparł
głowę o mur. - Przez całe życie, na różnych jego etapach,
byłem zawsze taki sam.

- Mnie to nie przeszkadza. Tak jest dobrze. Uważam cię
za niezwykłego człowieka. - Uniosła rękę i pogłaskała go
po zarośniętym policzku, aby się upewnić, że naprawdę ist-
nieje. Zajmował bardzo ważne miejsce w jej życiu. To się
również nie zmieni. - Jesteś dla mnie... - Pokiwała głową,
szukając właściwego słowa. - Jak diament. Los nadaje mu
odpowiedni szlif, mniej lub bardziej skomplikowany. Zwy-
czajnie oszlifowany brylant jest piękny, ale gdy ma wiele
faset, staje się zagadką. To fascynujące. Uważam cię za
wspaniały dar losu i nigdy mi się nie znudzi odkrywanie
twoich sekretów. Mniejsza z tym, czy kryją światło, czy
mrok. - Uniosła się i cmoknęła go w usta. - Słyszałeś o za-
burzeniach osobowości wywołanych kumulacją stresu?

- Oczywiście. Sporo się o tym mówiło.

- Jestem pewna, że to przyczyna twoich lęków. - Wstrzy-
mała oddech, niepewna, czy właściwie zrozumie jej uwagę.
Musiała go skłonić, żeby się nad tym zastanowił. Dla jego
dobra i dla wspólnej przyszłości.

- Nie wspominałaś, że masz dyplom psychologa - mruk-
nął ironicznie.

- Moje słowa nie zrobiły na tobie wrażenia.

- Słyszałem już taką diagnozę.' Jest dość bałamutna.

Chwyciła jego nadgarstek. Denerwowało ją to cholerne
struganie. Odłożył kijek i nóż, pogłaskał kędzierzawe wło-
sy, a drugą ręką podtrzymał jej głowę.

- Czemu tak sądzisz? Choroba nie wybiera. To żaden wstyd. - Jej brat cierpiał na tę dolegliwość. Gdyby wcześniej o tym wiedziała, mogłaby mu pomóc.

- Od mojego powrotu z Wietnamu minęło wiele lat. Poza tym gdybym rzeczywiście był chory, na pewno bym się tego nie wstydził. Wojna to wojna. Żołnierz jest po to, by walczyć. Musiałem zabijać albo zginąć. Prosta sprawa.

- Upływ czasu nie ma nic do rzeczy. Przypomnij sobie chwilę, gdy policjanci zaczęli do ciebie strzelać i ruszyli za tobą w pościg. Chyba nie zaprzeczysz, że od razu powróciły złe wspomnienia. Dlatego tak ci zależało, żeby nie zostać schwytanym.

- Zgadza się. Przypisuję to woli przetrwania. - Mimo wszystko gotów był przyznać, że ostatnio częściej miał wrażenie, że przeszłość wróciła, ale składał to na karb niezwykłych okoliczności. Nie warto szukać innego wyjaśnienia.

- Murphy, gdy włamałeś się do mego domu, przypominałeś zaszczutego wilka. Rozszarpałbyś mnie na kawałki, gdyby od tego zależało twoje życie. Nic dziwnego. Znalazłeś się w sytuacji przerastającej normalnego człowieka. Im dłużej cię obserwowałam, tym bardziej mi kogoś przypominałeś. Mówię o moim bracie. Zaburzenia osobowości wywołane głębokim stresem kosztowały go życie.

Usiadła przy ścianie obok Murphy'ego. Zrobiło jej się ciężko na sercu. Zawsze tak było, gdy wspominała tamte lata.

- Rodzina przechodziła katusze. Austin wielokrotnie tracił pracę. Dręczyły go nocne koszmary, cierpiał na bezsenność. Każdy żart dotyczący weteranów brał do siebie i uważał za obrazę. Gdy ktoś podniósł na niego głos, rzucał się na niego z pięściami. Dużo pił. Pewnego wieczoru w barze za miastem jakiś gość kpił sobie z jego kurtki, na której był znak firmowy i naszywka stowarzyszenia weteranów. - Podciągnęła kolana pod brodę i objęła je ramionami. - Policja zawiadomiła nas, że Austin został przewieziony do szpitala miejskiego. Nigdy nie zapomnę wyrazu twarzy ro-

dziców. Nie chcieli, żebym z nimi jechała, ale się uparłam. Austin był mocno poraniony. Ciagle go widzę, jak leży na szpitalnym łóżku. Wokół sterylna biel. Gdy rodzice poszli na kawę, na chwilę zostałam z nim sama. Wyciągnął do mnie rękę. Zabroniłam mu mówić. Chciałam, żeby odpoczął i nabrał sił. - Tamte wspomnienia zawsze doprowadzały ją na skraj rozpacz. Miała łzy w oczach. Murphy objął ją ramieniem i mocno przytulił. - Uśmiechnął się do mnie i powiedział, że tam, gdzie się wybiera, czeka go zasłużony odpoczynek. Nie chciał, żebym była smutna. Nie rozumiałam, o co mu chodzi. Powiedział jeszcze, że dla niego życie skończyło się dawno temu. Zabronił mi płakać i poprosił o uśmiech. Taką chciał mnie zapamiętać. Otarłam łzy i uśmiechnęłam się do niego. Ucałował mnie i umarł. Cholera jasna... Obejmowałam go, kiedy odchodził. Gdyby wcześniej rozpoznano typowe dla weteranów zaburzenia osobowości i poddano go właściwej terapii, do dziś żyłby szczęśliwie. Te same objawy zauważyłam u ciebie. Potrafisz sobie z nimi radzić. Masz silny charakter i panujesz nad sobą lepiej niż Austin, ale cierpisz na tę samą chorobę.

- Nie musisz się o mnie martwić. Jestem w dobrej formie. Od dawna sam się o siebie troszczę.

- I tak się niepokoję. To silniejsze ode mnie. Najważniejszym powodem, dla którego ludzie przejmują się cudzymi sprawami, jest miłość. Obdarzamy nią rodzinę, wypróbowanych przyjaciół, ukochanych. Gdyby nie to, każdy zajmowałby się tylko sobą. Chcę, żebyś był szczęśliwy. To ma być pełnia szczęścia!

Zacieśnił uścisk i poczuł, jak udziela mu się jej siła. Po raz pierwszy w życiu doznał tak głębokiego wzruszenia. Przytuliła się, chcąc dowieść swych uczuć. Szukała sposobu, by mu pokazać ogrom swojej miłości, prawdziwej i niezmiennej.

- Zaraz wrócę - rzuciła wstając. Chwycił ją za rękę, przyciągnął do siebie i zmusił, by uklękła.

- Nie oddalaj się - zażądał surowo.

- Przecież wiem - zapewniła. - Będę w pobliżu. Wrócę, nim policzysz do sześćdziesięciu.

Odprowadził ją wzrokiem. Gdy zniknęła za drzwiami, zaczął liczyć. Raz, dwa, trzy... cholera, nie miał czasu na takie bzdury. Powinien ułożyć plan działania i ustalić marszrutę. Pięćdziesiąt osiem, pięćdziesiąt... Zaburzenia osobowości, też coś... Rany boskie!

Niespodziewanie stanęła przed nim jak mała dziewczynka, która przybiegła do najlepszego przyjaciela, żeby mu zdradzić wielką tajemnicę. Popatrzył na nią z rozzerwieniem. Na twarzy i ramionach miała ciemne smugi, ręce schowała za plecami.

Uwielbiała mu się przyglądać. Nawet jako posiniaczony uciekinier robił wrażenie. Próbowała go sobie wyobrazić w czasie bitwy. Wyglądał chyba podobnie jak teraz. Ostrożnie, starając się nie połamać cienkich łądyżek, wysunęła do przodu obie dłonie pełne rozkwitłych fiołków. Przyklękła i ofiarowała mu kwiaty, układając mu je na kolanach. Ujęła w palce jedną z roślinek, musnęła wargami i przytknęła do jego ust. Przysunęła się bliżej i pocałowała go tak czule, łagodnie i słodko, że przylgnął do niej jak w transie.

Serce ścisnęło mu się boleśnie. Przez całe życie nie spotkał nikogo, kto by go tak rozczulił. Ta kobieta o ufnych zielonych oczach, figlarna jak mała dziewczynka, była mu bardzo bliska; znalazła na niego sposób. Pod wpływem nagłego impulsu złamał pieczęcie broniące dostępu do zbolelej duszy. Nie wszystkie, rzecz jasna. Były i takie zakamarki, które na zawsze pozostaną zamknięte. Mimo to wielkie obszary jego wnętrza zostały nagłe ujawnione. Sam nie wiedział, czy udusi tę wariatkę, czy ją pocałuje.

W niemym uwielbieniu kolejno tulił do warg jej palce. Całował nadgarstki, czując pulsowanie krwi pod cienką skórą. Dotknął ustami wrażliwego miejsca w zgięciu łokcia. Usłyszał cichy jęk. Rzuciła mu się w ramiona i pocałowała go namiętnie. Pragnęła zanurzyć się w szalonym

wirze uczuć, połączyć z nim i na zawsze wyryć w jego sercu swój obraz. Spracowane dłonie pieściły ją czule, błędząc po skórze i budząc drzemiący pod nią ogień.

Czuła się wspaniale i wiedziała, że postępuje właściwie. Delikatne kwiaty, zgniecione w miłosnym uścisku, pachniały słodko, a ich woń mieszała się z zapachem rozpalonych namiętnością ciał. Murphy pospiesznie rozpiął guziki jej koszuli i wsunął dłonie pod materiał. Mac była dla niego stworzona. Idealnie do siebie pasowali. Mogli tak hojnie obdarowywać się rozkoszą.

Śmiałymi pieścizotami natychmiast obudziła jego pożądanie, zrozumiała, że ma nad nim ogromną władzę. Wystarczyło dotknięcie rąk i ust, żeby skupić na sobie uwagę tego cudownego mężczyzny. Zdumiewała się, dostrzegając w jego oczach, zaborczych gestach i potężnym uścisku pragnienie posiadania jej tylko dla siebie. Osunęła się na podłogę, a zapomniane kwiaty rozsypały się wokół nich. Uniosła nogę, przycisnęła ją do jego uda i całym ciałem przyłgnęła do ukochanego. Gdy byli razem, niczego się nie bała. Czuła się bezpieczna, chroniona i gorąco kochana. Nie mogła pozwolić, by ją pozbawiono tego, co wniósł do jej życia. Dzięki potędze miłości we dwoje pokonaliby wszelkie zło na tym bezsensownym świecie.

Zasypywał pocałunkami jej twarz, szyję, ramiona. Pocałowała go w usta i szepnęła, muskając je oddechem:

- Murphy, kochaj się ze mną.

Napiął mięśnie i w ułamku sekundy stał się znów czujny jak żołnierz na warcie. Usłyszał trzask gałązki, wyczuł drobne zawirowanie powietrza. Ktoś nadchodził wolno, krok po kroku.

Delikatnie, lecz zdecydowanie zatkał jej usta dłonią.

- Trudno powiedzieć, czy są tu wszyscy, czy tylko jeden z nich - szepnął, uwalniając się w jednej chwili od uroku, który na niego rzuciła. Znów dał o sobie znać instynkt przetrwania. - Gdy zaczniesz się robić gorąco, uciekaj stąd.

Trzymaj się drogi, ale idź lasem. Wróć do leśnego domu i wezwij policję. - Gdy usiłowała protestować, zamknął jej usta pocałunkiem. - Zaufaj mi. W pojedynkę dam sobie radę pod warunkiem, że ty będziesz względnie bezpieczna.

Na myśl o samotnej wędrowce przez las ciarki przeszły jej po plecach. Bała się o wiele bardziej niż tamtej nocy, kiedy się poznali. Drżała o niego, ale nie mogła tego okazać.

- Nie rzucisz mnie, kiedy to się skończy, prawda? - W jej głosie słychać było rozpacz.

Murphy przez chwilę wpatrywał się w nią z zachwytem.

- Gdy już będzie po wszystkim, zaproszę cię na wspólną kolację w nastrojowej restauracji. Będziemy tańczyć do białego rana.

Serce jej kołatało, a przez głowę przebiegały tysiące myśli. Oczyma wyobraźni ujrzała siebie w jedwabnej sukni idealnie dopasowanej do figury - koniecznie szafirowej i lśniącej w półmroku podczas tańca w objęciach ukochanego. W uszach kolczyki z brylantami, a włosy spięte wysoko jedną kłamrą, by mógł je potem rozpuścić i patrzeć, jak opada jej na ramiona. Będzie wykąpany i wypoczęty; włoży ciemnoszary garnitur podkreślający barczystą sylwetkę, skropi się korzenną wodą po goleniu, a gdy pójda na parkiet, opuszkami palców czule muśnie jej dłoń. Mac zawiruje w jego ramionach. Spotkają się w świecie stworzonym tylko dla nich z muzyki i łagodnego światła. Ludzie będą patrzeć i wzdychać z zachwytem, bo taka piękna z nich para.

Przykucnęła obok niego, gdy wyrzał przez okno pozbawione szyb, oceniając sytuację i układając plan działania. W pierwszej chwili z obawą zadała sobie pytanie, czy w pojedynkę da sobie radę, ale kiedy zauważyła skupione i pewne spojrzenie, wątpliwości zniknęły. Niechętnie myślała o tym, że ma go opuścić, ale postanowiła zrobić to dla niego. Gdyby mogła o sobie decydować, na pewno by tu została, ale musi usłuchać prośby ukochanego i odejść.

Wola przetrwania, która go wybawiła z tyłu opresji,

znów kształtowała sposób myślenia. Czuł, że Mac przylgnęła do jego pleców niczym do koła ratunkowego, ale teraz całą uwagę skupił na widocznym z daleka mężczyźnie, który zbliżał się, wymachując bronią. Trzeba go obezwładnić, nim zdoła ostrzec innych. Przez moment wydawało mu się, że jest w Wietnamie, twarz ma przyczernioną, siedzi w kucki z bronią wycelowaną i gotową do strzału. Czuł zapach intruza. Trzymając w rękach nóż i kij zaostrzony jak włócznia, odczekał jeszcze dwadzieścia sekund i przyczał się do skoku, chociaż wiedział, że Mac jest zrozpaczona i pełna obaw. Nie mógł jej teraz tłumaczyć, jak wiele dla niego znaczy. Kochał ją ponad wszystko, ale to nie była pora na wyznania.

Krew coraz szybciej pulsowała w jej żyłach. Tak wiele miała mu do powiedzenia, tyle powinien o niej wiedzieć, lecz zabrakło czasu na rozmowę. Wyprostowała się i odważnie rzuciła półgłosem:

- Cześć, Murphy. Zobaczymy się później. - Już miała odejść, kiedy odwrócił się i przytrzymał ją za koszulę, zebrał garść rozsypanych na podłodze kwiatków i położył na jej dłoni.

- Cześć, najdroższa. - Pocałował ją szybko i mocno, a potem odsunął od siebie z miną tak chmurną i zaciętą, że można się było przestraszyć. - Ruszajmy.

Wielkimi susami dopadł drzwi, a Mac pomknęła do tylnego wyjścia. Słyszała, jak zaatakował, potem rozległ się krzyk, dobiegł ją odgłos szamotaniny i stłumione przekleństwo. Wstrzymała oddech, gdy trzasnęła złamana kość, i ruszyła biegiem. Jeśli się pospieszy, ocali życie jejmu i sobie. Im obojgu.

Uradowany Sully już miał zawrócić, aby oznajmić Harry'emu, że w lesie nikt się nie ukrywa, gdy jakiś potwór zbił go z nóg i kopnął podkutym butem, rozwalając kolano. Wijąc się z bólu padł na ziemię.

Mac pędziła, ile sił w nogach, nie zważając na gałęzie, które smagały ją po twarzy i zostawiały na rękach głębokie zadrapania. Przez cały czas jak echo brzmiał jej w uszach odgłos pękającej kości.

Sully objął dłońmi strzaskane kolano i usiłował odpełznąć. Murphy podniósł jego strzelbę i zarzucił na ramię. Popatrzył na bandytę i niespodziewanie zaczął się zastanawiać, czy Mackensie słusznie podejrzewa u niego zaburzenia osobowości wywołane wojennym stresem. Nie czuł najmniejszych wyrzutów sumienia.

- Gdzie reszta bandy?

Sully jęknął i pokręcił głową. Cierpiał okropnie, a ból przenikał całe ciało. Oczekiwał, że ten osiłek go zastrzeli, i był mu za to wdzięczny.

- Nie mam pojęcia, człowieku. Zlituj się, wpakuj mi kulkę i będzie po sprawie.

- To nie jest dobry pomysł. Wolę, żebyś kulał do końca życia, krążąc między spacerniakiem, więzienną jadalnią i celą. Bolesne wspomnienia nie dadzą ci spokoju. Mów, gdzie są twoi koleś.

Sully jęknął przeciągle i stracił przytomność.

W lesie z wolna zapadała cisza. Czasem przeleciał ptak albo przemknęło dzikie zwierzę. Mac uznała, że nadchodzi spodziewana burza. Stanęła, by odsapnąć, plecami oparła się o pień drzewa i spojrzała w niebo. Wysłuchaj mnie, Boże, i chroń go. Chcę z nim spędzić resztę życia.

Murphy popatrzył na nieprzytomnego mężczyznę. Miał teraz broń; od razu poczuł się pewniej. Jeden bandyta został unieszkodliwiony, z dwoma trzeba się jeszcze uporać. Mackensie wezwie policję i w ten sposób razem doprowadzą sprawę do końca.

Późnym popołudniem Mackensie całkiem opadła z sił. W gardle jej zaschło, a serce waliło tak mocno, jakby miało wyrwać się z piersi. Bolały ją nogi i dokuczały zadrapania na rękach. Nie była już w stanie iść.

Za kolejnym zakrętem ujrzała znajomą okolicę. Powłokła się dalej, choć łyzy stanęły jej w oczach. Wkrótce będzie na miejscu. Zza drzew zobaczyła dach leśnego domu. Przyspieszyła kroku, ruszyła truchtem, a potem zerwała się do biegu. Minęła ostatnie drzewa, wpadła na werandę i pchnęła frontowe drzwi.

Idący z kuchni w stronę kanapy mężczyzna odwrócił się w jej stronę i osłupiał. Nie wierzyła własnym oczom! Zawróciła natychmiast i rzuciła się do ucieczki.

Turk wypuścił z rąk talerz i ruszył w pościg. Harry go zabije, jeżeli ta ślicznotka zdoła umknąć. Wybiegł z domu, podciął jej nogi i chwycił ją w pasie. Oboje padli na ziemię i stoczyli się po łagodnej pochyłości.

- Nie! - krzyknęła, walcząc zawzięcie. Gryzła i drapała, próbując się wyrwać. W uszach dudnił jej przyspieszony puls. Nie dawała za wygraną. Dobiegło ją stłumione przekleństwo. Napastnik odchylił się i uniośł pięść do ciosu. Z wolna pogrążyła się w ciemnej otchłani. Murphy... Myślała o nim, tracąc przytomność.

Usłyszała śmiech. W oddali ktoś rechotał z uciechy, klepiąc się po udach. Gdy mrok rozproszył się nieco, przypomniała sobie, co zaszło.

Harry i Turk siedzieli po obu stronach baru oddzielającego kuchnię od salonu. Każdy trzymał w ręku puszkę piwa. Wszędzie panował okropny bałagan. Spod przykniętych powiek Mackensie zobaczyła walające się dookoła papierowe talerze i stopy puszek po piwie.

Postąpiła bezmyślnie i wpadła w ręce tych zbirów. Gdy tylko doszła do siebie, zaczęła się martwić, że Murphy dopełni ten sam błąd. Po namyśle doszła do wniosku, że jest chyba bardziej przewidujący, ale postanowiła zrobić

wszystko, co się da, żeby go ostrzec. Próbowwała zachować jasność myśli, ale chwilami popadała w otępienie.

- Patrz, Turk, nasza ślicznotka wreszcie się obudziła. Dobrze, maleńka. - Harry podszedł do kanapy, przysiadł na brzegu, sięgnął po kosmyk włosów Mac, owinął go wokół palca i pociągnął. - Jaka bajeczkę usłyszysz teraz od ciebie twój słodki Harry?

Ten głos... Od razu wróciła do rzeczywistości. Przemknęło jej przez myśl, że siedzi na beczce prochu. W głowie miała same wyświechtane frazesy.

- Nie ujdzie ci to na sucho - rzuciła wojowniczo i nie poznała własnego głosu. Harry parsknął śmiechem. Słuchała zachłannie wstrętnej rechoty budzącego w niej wściekłość, dzięki której łatwo mogła ukryć strach.

- Słyszałeś, Turk, stary kumplu? Ona nam grozi! - Harry przysunął głowę do jej twarzy. - Robimy, co nam się podoba. Ani ty, ani twój gach nam w tym nie przeszkodzicie.

Turk poczuł, że włosy jeżą mu się na karku. Na początku słyszał od Harry'ego, że nie będzie żadnych trupów, ale sytuacja się zmieniła. Chyba mieli pecha. Z minuty na minutę ogarniał go coraz większy strach.

Harry odsunął kołnierzyk koszuli i dotknął brudnymi paluchami szyi Mac.

- Gdzie jest twój kochaś? - Gdy musnął ciemniejący siniak na policzku, gwałtownie odwróciła głowę, starając się uniknąć dotknięcia. - Jak tylko przyjedzie Sully, zabierzemy naszą ślicznotkę na krótki spacer. - Popatrzył znowu na Mac. - Niestety, musicie umrzeć. Przyjemnie będzie wyzwania ducha w ramionach ukochanego, prawda? Nie powinnaś mnie oszukiwać. Ze mną byłoby ci dobrze. - Wsunął rękę pod jej koszulę, chwycił pierś i zacisnął palce.

Upokorzona Mackensie wyprostowała się, usiadła i kopnęła go, trafiając w goleń. Złapał ją za ramiona, pchnął na kanapę i usiadł na jej biodrach. Pochylił się, opierając kolana na miękkich poduszkach, a jego usta niemal dotykały jej warg.

- Nie bądź taka niecierpliwa, kochanie. Dzięki mnie dowiesz się niedługo, że jesteś skarbem, dla którego prawdziwy mężczyzna gotów jest ryzykować życie. Dopilnuję, żeby twój kochaś to widział. Tak, będzie z nami do samego końca.

Przerażony Turk miał wrażenie, że krew zamarza mu w żyłach. Wiele by dał, żeby się z tego wyplatać. Gdy Harry coś sobie wbije do łba, żadna siła go nie powstrzyma. Był tylko jeden sposób, żeby odwrócić jego uwagę od ładnej i sprytniej dziewczyny. Forsa... Turk poszedł do sypialni i wrócił z podniszczoną torbą.

Harry przygniół Mac do kanapy. Jego zamiary były oczywiste. Niewiele brakowało, by zaczęła wrzeszczeć, gdy odpiął kolejny guzik jej koszuli i przesunął szorstką ręką po kształtnej piersi. Był rozczarowany, bo nie okazywała strachu ani obrzydzenia, ale wiedział, że gdy przywiąże jej kochasia do krzesła i każe mu patrzeć, jak kładzie się z nią na podłodze... inaczej wtedy zaśpiewają. Pochylił się, objął rękami jej głowę, unieruchamiając ją jak w imadle, i wycisnął na ustach zaborczy pocałunek.

Nie mogła tego ścierpieć. Ręce miała związane, ale ramiona i kolana były wolne, więc się nimi posłużyła. Ostre szarpnięcie i celne uderzenie w brzuch napastnika sprawiło, że nagle stoczył się z niej i wylądował na podłodze. Z trudem stanęła na nogach i uniósł pięść do ciosu. Nie mrugnęła okiem.

- Teraz nie oberwiesz, ale jeszcze dostaniesz za swoje. Zapłacicie mi, ty i twój gach.

Turk, który miał dobrą matkę i sześć siostr, nigdy w życiu nie potraktowałby kobiety tak, jak uczynił to jego kumpel.

- Stary - rzucił z uśmiechem, zadowolony ze swego pomysłu. - Bierzmy forsy i w nogi. Nie warto się włączyć po lesie. Znikniemy stąd błyskawicznie i wkrótce będziemy daleko. Możemy zwać do Meksyku.

Harry przeciął salon i bez ostrzeżenia spoliczkował Turka, aż ten się zatoczył. Wystraszony popatrzył z wyrzutem

na swego szefa i przycisnął do piersi torbę z pieniędzmi.

- Sully wziął pikapa, głupku, a poza tym możesz być pewny, że tamten facet będzie nam deptać po piętach.

Gdzie teraz jest? Chyba krąży po okolicy albo jest w drodze do leśnego domu.

- Jak pani sobie życzy. Wezwiemy policję. Stary pikap, o którym wspomniałem, dziwnie długo stał na poboczu. Sam się zastanawiam, czego tamci ludzie tu szukali. Może coś wiedzą o pani zaginionej siostrze. Ja również jestem niespokojny.

- I bardzo słusznie. Proszę natychmiast wezwać radiowóz. Mam nadzieję, że pańscy strażnicy przetrząsną las. Raz jeszcze zajrzyjcie do domu. Nic mnie nie obchodzi, że patrol był tam przed kilkoma godzinami. Musicie znaleźć moją siostrę. Zadzwoń do was za godzinę.

- Lepiej będzie, jeśli się pani z nami skontaktuje za dwie godziny. W terenie niełatwo mnie złapać.

Roxanne rzuciła słuchawkę i odwróciła się do męża, który cierpliwie znosił jej wybuchy.

- Moja siostra ma kłopoty, jestem tego pewna. Nie można wykluczyć, że właśnie teraz pastwi się nad nią ta banda ze starego grata.

Danny uspokajającym gestem pogłaskał ją po głowie. Nie mógł pokazać, jak bardzo się niepokoi. Był jej podparą, ale miał złe przeczucia. Trzej podejrzani osobnicy włóczący się po lesie stanowią nie lada zagrożenie dla pięknej szwagierki zdanej tylko na własne siły.

- Zadzwoń do brata.

- A ja zawiadomię rodziców. O Boże, ta okropna niepewność!

- Wzywam policję - powiedział Jeb do innych strażników. - Nie można wykluczyć, że ci trzej z półciężarówki to przestępcy, którzy kilka dni temu obrabowali w Concord sklepe

motoryzacyjny. Tak się składa, że zwiali z aresztu. Jeden z was raz jeszcze przeszuka dom. Reszta będzie patrolować okolicę. Jeśli coś zwróci waszą uwagę, natychmiast meldujcie.

Nie musiał powtarzać rozkazów. Większość ochroniarzy miała sposobność zobaczyć zakazane mordy facetów jeżdżących zdezelowanym autem. Ładna kobieta byłaby dla nich nie lada gratką. Nie można dopuścić, by spotkała ją coś złego.

Murphy zaszył się w zaroślach koło domu. Światła były zapalone. Żadnych glin. Tamci dwaj pewnie są w środku, a z nimi Mackensie. Trzeci bandyta został unieszkodliwiony. Przez jakiś czas nie będzie mógł chodzić.

Bezszeslestnie podbiegł do ściany i stanął na palcach, by zajrzeć przez okno. W tej samej chwili samochód patrolowy straży leśnej zatrzymał się przed wyrwaną furką. Ochroniarze zaraz podejda do drzwi i grzecznie zapukają. Trzeba ich odciągnąć. Ukrył się w krzakach i czekał.

W samochodzie był tylko jeden mężczyzna. Murphy obserwował, jak wysiada i rusza w stronę domu.

- Cicho. Niech pan tam nie idzie. - Skinął na przybysza, zachęcając go, żeby się do niego przyłączył. Strażnik zniechęcony. Dopiero teraz Murphy uświadomił sobie, że uchodzi za bandytę. - Schowaj się tutaj, idioto. Tamci wzięli pewnie dziewczynę jako zakładnika. - Ochroniarz nadal stał bez ruchu. W oknie poruszyła się firanka. Murphy rzucił się na strażnika, poczęstował go prawym sierpowym, przygniótł do ziemi i pociągnął w zarośla. Poszkodowany usiłował się bronić, ale Murphy uderzył ponownie i skrył się z nim w krzakach. Sytuacja była zbyt groźna, żeby przestrzegać zasad dobrego wychowania.

Tamci chyba zauważyli auto ochroniarzy, więc na pewno pilnowali frontowych drzwi. Trzeba ich obezwładnić, nim Mac stanie się krzywdą. Murphy ruszył w stronę tylnego wyjścia.

10

*Możecie nas winić i piętnować,
lecz się nie damy utemperować...*

- To patrol straży leśnej. - Turk wyjrzał przez szparę w zasłonach frontowego okna. Ręce mu drżały, ale wysiłkiem woli się opanował. Popatrzył bojaźliwie na Harry'ego, jakby prosił o wskazówki. Przeklinał własną głupotę. Jak mógł dać się w to wciągnąć? Cholera jasna, teraz jest za późno.

Harry był uradowany. Wreszcie coś się dzieje. Skoro przyjechali ochroniarze, to i kochaś na pewno kręci się w pobliżu. Nadszedł czas zemsty na tym draniu, przez którego mieli tyle kłopotów. Pora, aby zapłacić za swoje winy - i to drogo. Będzie zdruzgotany, patrząc bezsilnie, jak wróg zabawia mu się przed nosem z jego kobietą. Harry zachichotał. Mackensie uznała, że to śmiech szaleńca.

- Patrol straży, tak? Niepotrzebnie wtykają nos w nie swoje sprawy. Proszę bardzo, niech tu przyjdą! - Chwycił Mac za włosy i pociągnął ją ze sobą. Brutalnie odepchnął Turka, stanął w oknie, odsunął zasłony i wyjrzał, ale jego oczom ukazał się tylko samochód ochroniarzy zaparkowany na poboczu. Dokąd poszli ci tchórze? Gdzie się podziewa Sully?

- Twój kochaś zwleka, co? Nie szkodzi. Mamy czas, żeby się lepiej poznać. - Zmiażdżył jej usta pocałunkiem i dotknął piersi. Odepchnęła go ramieniem i splunęła, bo ręce miała związane i nie mogła wytrzeć ust.

Murphy uzbrojony w strzelbę odebraną bandycie w Zaczarowanym Lesie wspiął się po zboczu pagórka i podbiegł do północnego okna. Jeden fałszywy ruch, chwila

opóźnienia i plan spali na panewce. A jeśli strzelanina zakończy się śmiercią Mac? W Wietnamie musiał ratować własną skórę i dbać o swoich ludzi. W starej, kochanej Ameryce było tak samo. Jego umysł pracował na najwyższych obrotach. Przygotował się w duchu na najgorsze.

Dopadł okna i uniósł się lekko. Od chwili gdy ogłuszył strażnika i ruszył do tylnego wyjścia, minęło zaledwie kilka sekund. Przez szybę widział umizgi Harry'ego. Serce ścisnęło mu się z żalu. Mac nie zasłużyła sobie na taki los. Wszystko, co przeszła ostatnio, powinno jej być oszczędzone. Patrzył, jak walczy z natrętem, jak opiera się, nie dając po sobie poznać, jak bardzo czuje się upokorzona. To odpowiednia chwila, by wkroczyć.

Z niepokojem stwierdził, że ogarnęły go wątpliwości... Chyba przez wzgląd na Mac, tłumaczył sobie. Źle się stało, że ta dziewczyna zaczęła tak wiele znaczyć w jego życiu. Nie chciał strzelaniny; to ostateczność.

Przesunął się do tylnych drzwi i przyłgnął do ściany. Czując w sobie żądzę mordy, rzucił się na drewnianą przeszkodę. Deski zadrżały, rozpadły się na kawałki. Wojownik jak burza wpadł do środka. Cała trójka obróciła się jednocześnie. Znieruchomieli jak porażeni na jego widok. Mac-kensie otworzyła szeroko oczy. Miała przed sobą machinę do zabijania o rozszerzonych żenicach i otwartych ustach, z których wydobył się dziki okrzyk. Zamarła w bezruchu, czekając na odgłos wystrzałów. Nie widziała nigdy podobnej zaciekłości. Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach.

Harry mocniej chwycił ją za włosy i zasłonił się nią jak tarczą. Pochyliła się i spróbowała obrócić, chcąc pozbawić go równowagi. Wystrzelony nagle pocisk trafił w drewniany sufit, z którego posypały się drzazgi.

Na pierwszy ogień poszedł zaskoczony Turk, z głupią miną wymachujący nerwowo pistoletem. Murphy odepchnął go, wymierzając jednocześnie kopniaka Harry'emu, który upadł, ciągnąc za sobą Mac. Ogłuszony ciosem Turk

uderzył plecami o ścianę. Cała trójka wylądowała na podłodze. Nim Harry zdołał się podnieść, cios karate trafił go w twarz, posyłając znów na deski. Po kolejnym uderzeniu pięścią Turk stracił przytomność.

Mackensie próbowała się odsunąć, ale Harry nadal mocno trzymał ją za włosy. Nagle poczuła, że zimna stal dotyka jej lewej skroni. Jeśli Murphy tego nie widzi i nie weźmie pod uwagę, broń wystrzeli... i będzie po wszystkim. Zebrała siły i zwinęła się, łokciem uderzając Harry'ego w brzuch, ale nic na tym nie zyskała, bo ten szybko doszedł do siebie, wzmocnił uchwyt i pociągnął ją za włosy. Następnie przylgnął plecami do ściany.

Murphy przetoczył się, błyskawicznie wstał i oparł łufę strzelby na jego podbródku. Dopiero wtedy pojął ogrom niebezpieczeństwa. Bandyta trzymał palec na spuście pistoletu wycelowanego w głowę Mac.

- I co, kochasiu? - Harry wybuchnął drwiącym śmiechem, w którym pobrzmiwała histeria. - Cofnij się albo pociągnę za cyngiel i mózg tej ślicznotki wyląduje na twoim ubraniu. - Nagle spowaźniał. - Uwielbiam strzelać, chłopcze, więc daj mi tylko powód.

Murphy cofnął się powoli z bronią wycelowaną w Harry'ego. Prawdopodobnie zdołałby go unieszkodliwić, ale nie miał odwagi zaryzykować. Wystarczy, że skurcz mięśni uruchomi spust, padnie strzał...

- Nie próbuj żadnych sztuczek. - Harry użył Mac jako zastępy. Chyba czytał w myślach przeciwnika. Spojrzał groźnie na Murphy'ego, potem nie spuszczać wzroku z lufy przystawionej do skroni Mac, pocałował ją w ramię i z zadowoleniem patrzył, jak oczy jej gacha płoną świętym oburzeniem.

Murphy uznał, że ten bandzior musi umrzeć w męczarniach; zwykła śmierć nie była dla niego dostateczną karą.

- Wiej, człowieku, nie doprowadzaj go do ostateczności, to dziewczyna przeżyje - jęknął Turk.

- Wstawaj, głupku - burknął Harry do kumpla, nadal obserwując Murphy'ego.

Turk usłuchał, chociaż kręciło mu się w głowie. Szybko ocenił sytuację i chciał podnieść swoją broń, ale spostrzegł, że przywoździł ją do podłogi ciężki but intruza. Był osłabiony, dręczyły go mdłości. Chciał uciec, ale wiedział, że kule Harry'ego natychmiast podziurawią mu plecy, a potem wykrwawi się na śmierć. Stał nieruchomo i oddychał płytko z obawy, że lada chwila zacznie wymiotować.

- Rzuć broń, rambo. - Harry posłał wrogowi ostrzegawcze spojrzenie. - Lepiej posłuchaj, bo inaczej skręcę kark twojej ślicznotce.

Oddanie strzelby to ryzykowne posunięcie. Gdyby przestępca miał innych zakładników, Murphy zaatakowałby bez namysłu, ale stawką było życie Mackensie. Stała wyprostowana, z dumnie uniesioną głową i zaciśniętymi wargami. Mijały sekundy.

Przeciwnicy mierzyli się wzrokiem jak zdziczałe psy przed walką. Mackensie pomyślała, że wkrótce poleje się krew. Byle tylko Murphy nie ucierpiał. Od chwili gdy wpadł przez tylne drzwi, minęło zaledwie parę minut. Ułamek sekundy wystarczy, żeby wszystko przepadło. Zaciśnęła w pięści związane z tyłu ręce i czekała.

Thomas Justice Murphy obserwował przeciwnika, wypatrując sposobności do ataku. Nagłe zmruczenie powiek, nerwowy tik lub podobne reakcje mogły oznaczać, że Harry coś knuje.

Mackensie poczuła, że jej prześladowca napina mięśnie, i postanowiła działać. Bezlitośnie uderzyła go w krocze zaciśniętymi pięściami, trafiając w najczulsze miejsce. Straszliwy ból przeszył wrażliwe podbrzusze. Oszołomiony Harry zawył, spazmatycznie chwytając powietrze. Pistolet wypadł z osłabłej dłoni, ale przestępca błyskawicznie pochylił się, żeby go podnieść, i mocniej chwycił krnąbrną dziewczynę, która była jego tarczą. Wiedział, że jeśli znów upu-

ści broń i zwolni uścisk, od razu wystawi się na strzał i zginie. Opierając się wciąż plecami o ścianę, przyciągnął za kładniczkę niczym koło ratunkowe.

W trakcie tego zamieszania zdezorientowany Turk uznał, że musi natychmiast odzyskać broń, bo Harry go zabije, jeśli wyjdą cało z tej opresji. Rzucił się naprzód, a Murphy odruchowo wycelował i strzelił. Turk padł na podłogę, obejmując rękoma skrwawione kolano.

Mac próbowała się wyrwać z uścisku Harry'ego. Mimo bólu trzymał ją kurczowo. Podniosła głowę i nagle ujrzała nad nimi Murphy'ego. Lufa jego strzelby dotykała czoła bandyty. Znieruchomiał na moment, nie wiedząc, czy pociągnąć za spust, bo Harry nadal trzymał pistolet przy głowie Mac.

Czekała. Mijały bezcenne sekundy, które mogły przesądzić o życiu lub śmierci. W oczach Murphy'ego widziała żądzę mordu. Co ma być, to będzie. Zerknęła na jego palec dotykający metalu - nieruchomy, ale w każdej chwili gotowy pociągnąć za spust. Poczowała suchość w ustach.

Harry oprzytomniał, patrząc na lufę strzelby, a potem w oczy przeciwnika. Wolno wyprostował się, sunąc plecami po ścianie, i nabrał powietrza. Wkrótce umrze, ale zabierze ze sobą tę sukę. Murphy zrobił krok w jego stronę i opuścił broń. Harry ukradkiem odetchnął z ulgą. Niebezpieczeństwo minęło! W tej samej chwili poczuł, że lufa dotyka jego serca.

- Puść ją! - warknął Murphy. Harry zdrtwiał z przerażenia. Zaraz umrę, jęknął bezgłośnie. Lada chwila... Nie odpłacę temu draniowi tak, jak planowałem. Nie ma sposobu. Wszystko przepadło.

Tak bardzo się starał, żeby postawić na swoim. Teraz nie miał już nic do stracenia, przez co stał się jeszcze bardziej niebezpieczny, ale zanadto się bał. Ogarnął go paniczny strach.

- Dobra, dobra, uważasz mnie chyba za głupka - rzucił bez tchu, starając się ukryć lęk. Obojętnie patrzył na Turka, który jęczał i wił się z bólu. - Zamknij dziób, idioto,

a ty zejdź mi z drogi, bo ją zabiję. - Zacieśnił chwyt na szyi Mac i pogłaskał jej ramię.

- Sam jesteś sobie winien. - Murphy czekał niecierpliwie na chwilę, gdy będzie mógł zaatakować. - Ty i twoi kumple dostaniecie za swoje. Popamiętacie mnie na długie lata.

Mackensie drżała. Najchętniej zacisnęłaby powieki, żeby nie widzieć, co się zdarzy. Była pewna, że lada moment wszystko się rozstrzygnie.

Murphy dostrzegł wreszcie znak, na który tak długo czekał. Nacisnął spust i trafił Harry'ego w kolano. Nagłym szarpnięciem wyrwał Mackensie z żelaznego uścisku i odrzucił pistolet jej prześladowcy. Stali we troje o krok od siebie. Ranny i zaskoczony Harry otworzył szeroko oczy i osunął się bezwładnie do stóp dziewczyny.

- Rany boskie! - jęknął. Ściskając zakrwawione kolano, zwałił się na podłogę obok Turka.

Mac z całej siły przytuliła się do Murphy'ego. Schowała twarz w jego koszuli, starając się nie płakać, choć gotowa była wylewać potoki łez. Była z niego dumna i wdzięczna, że obyło się bez trupów. W przeciwnym razie oboje by ucierpieli, a ich wspólne życie stanęłoby pod znakiem zapytania. Nie wątpiła już, że będą razem.

- Wezwij policję - mruknął, całując jej włosy. - Owiń im kolana ręcznikami. Nie chcę, żeby wykrwawili się na śmierć. Za dużo ryzykowałem, żeby ocalić im życie, by mi teraz poumierali.

Nogi miała jak z waty, a jej serce kołatało niespokojnie, gdy szła do telefonu, by sprowadzić pomoc. Wzięła z szafy czyste ręczniki, uklękła na podłodze i opatrzyła rannych. Przyglądała się z zadowoleniem, jak krwawią i wiją się z bólu, aż przestraszyła się własnej mściwości. Przecież zamierzali ją zastrzelić... albo i gorzej. Chcieli także zabić jej ukochanego. Niech cierpią.

Z oddali dobiegły ich policyjne syreny. Wyczerpany Murphy usiadł, trzymając wciąż na muszce obu bandytów.

- Gdzie trzeci? - spytała Mackensie. Drżała jeszcze, ale uspokajała się powoli.

- Ma złamaną nogę. Przywiązałem go do słupka werandy w Zaczarowanym Lesie.

- Już po wszystkim, Thomas - powiedziała, klękając obok fotela. Położyła dłoń na ramieniu mężczyzny, a potem uniosła się i pocałowała go w policzek.

- Do jakiej restauracji chciałabyś pójść?

- Obiecałeś, że będzie romantycznie.

Wolno pokręcił głową.

- Niczego ci nie obiecywałem, maleńka, wspomniałem tylko, że zjemy razem kolację, i słowa dotrzymam.

Radiowozy zajechały przed dom. W salonie zaroiło się od glin i przez chwilę panowało ogromne zamieszanie. Policjanci wskakiwali przez okna i wpadali frontowymi drzwiami, wyciągając broń i szybko oceniając sytuację. Gdy inspektor sięgnął po strzelbę Murphy'ego, Mac obawiała się przez moment wybuchu agresji. Położyła dłoń na ramieniu ukochanego.

- Najgorsze minęło. Spokojnie. Chciałabym jak najszybciej mieć to za sobą. - Oddał policjantowi broń.

Sanitariusze zanieśli rannych do karetki. Inspektor zabrał Mackensie do kuchni, żeby ją przesłuchać, a Murphy siedział w fotelu, paląc papierosa, i odpowiadał cierpliwie na pytania drugiego oficera. Co chwila Mac i Murphy wymieniali porozumiewawcze spojrzenia. Wiedziała, że marzy on o kąpieli, ciepłej kolacji i wypoczynku. Zasłużył na długi, głęboki sen.

Przyrzekła sobie w duchu, że do końca życia będzie o niego dbała, lecz po chwili wyśmiała swój pomysł. Thomas Justice Murphy sam troszczył się o swoje potrzeby.

Po zakończeniu przesłuchania usłyszeli jeszcze, że następnego dnia mają przyjechać na posterunek, by podpisać zeznania. Wkrótce zostali sami. Mac zamknęła za ostatnim policjantem i oparła się o nie plecami drzwi. Niespodziewanie opadła z sił i wolno osunęła się na podłogę. Usiadła, podcią-

gając kolana, skrzyżowała ręce, ukryła w nich głowę i wreszcie się rozpłakała. Z przerażeniem zdała sobie sprawę, jak niewiele brakowało, by już nie żyła. Omal nie straciła także szansy na szczęście u boku ukochanego człowieka.

Murphy obserwował ją w milczeniu. To była jedna z najtrudniejszych chwil jego życia: musiał patrzeć, jak Mac cierpi z powodu okropności, przez które przeszła z jego winy. Zamierzał odczekać chwilę, lecz nie starczyło mu cierpliwości. Podszedł do niej, Serce miał pełne miłości... i żalu. Wyciągnął rękę i ujął jej dłoń. Podniosła głowę i spojrzała na niego przez łzy. Widok zapłakanej twarzy Mac przeraził go. Pochylił się i objął ją ramieniem. A potem przytuleni siedzieli nieruchomo w zdemolowanym salonie. Policzek Murphy'ego dotykał jej skroni. Przyjemnie było czuć pod palcami ciepło gładkiej skóry. Objął dłonią smukły kark, odgarnął potargane włosy i przyciągnął ją bliżej.

Zegar ścienny odliczał minuty, ale dla nich czas się zatrzymał. Jedno istniało tylko dzięki obecności drugiego. Przez chwilę nie obchodziło ich nic z wyjątkiem ciepła opiekuńczych ramion.

W drzwiach prowadzących na korytarz stanął jakiś mężczyzna. Odchrząknął znacząco. Niechętnie unieśli głowy i rozpoznali w nim jednego ze strażników.

- Wezwę patrol. Nasi ludzie zrobią tu porządek. Skontaktowaliśmy się z pani siostrą. Wydzwaniała tu od paru godzin, próbując sprawdzić, co się dzieje. Wszystko jej wyjaśniliśmy. Mam nadzieję - dodał z wahaniem - że nie ma pani do nas pretensji.

- To nie wasza wina. - Mackensie z godnością otarła łzy. Idź już, człowieku, pomyślała, zabieraj się stąd. Zostaw nas samych! Wysunęła się z objęć Murphy'ego, który poczuł dziwną pustkę, jakby mu coś odebrano. Usiadł w fotelu.

Mac pożegnała strażnika i zatrzasnęła drzwi. Odwróciła się powoli, przylgnęła plecami do gładkiego drewna i popatrzyła na ukochanego. Zrobiło jej się ciepło na sercu. Z wol-

na odzyskiwała siły i pewność siebie. Uśmiechnęła się. Wiedziała, że nie zazna spokoju, póki nie zawiezie Murphy'ego do szpitala, gdzie lekarze zaaplikują mu antybiotyk oraz inne medykamenty, lecz już teraz odczuła ulgę. Ruszyła w stronę fotela, pochyliła się i pocałowała ukochanego w usta. Gdy skierowała się w głąb domu, rzucił natychmiast:

- Dokąd idziesz?

- Zrób mi tę grzeczność i daruj sobie nareszcie te pytania - odparła uszczypliwie. Oboje wybuchnęli śmiechem, który brzmiał dość bezbarwnie, ale stanowił zapowiedź przyszłej radości.

- Wyjątkowo powiem ci, co zamierzam. Spakuję część naszych rzeczy, załaduję je do półciężarówki i zawiozę cię do szpitala. - Uniosła rękę, spodziewając się protestów. - Potem znajdziemy przyjemny pokój z wygodnym łóżkiem i łazienką, w której będzie duża wanna.

Murphy wymamrotał coś bez przekonania; nie zamierzał się kłócić, bo zdawał sobie sprawę, że potrzebuje lekarza i snu. Nadal gorączkował. Obolałe ciało domagało się odpoczynku, ale wołałby sam decydować, co i kiedy ma robić. Wszystko w swoim czasie. Teraz Mac przejął ster i chwilowo można jej na to pozwolić. Był tak zmęczony, że nie obchodziło go, kto teraz dowodzi.

Zniecierpliwiona siedziała w poczekalni. Dlaczego badanie trwa tak długo? Minęły dwie godziny. Wcale się nie zdziwiła na widok Murphy'ego wychodzącego z oddziału przez szklane drzwi i pielęgniarki depczącej mu po piętach.

- Jak to, proszę pana? Lekarz powiedział, że trzeba zostać na noc - wołała z oburzeniem. Stał z nią twarzą w twarz. Wystarczyło jedno spojrzenie, by odwróciła się na pięcie i pobiegła do swoich zajęć.

Opuścili teren szpitala i wyjechali na drogę, Mac z westchnieniem usadowiła się wygodniej w fotelu kierowcy.

- Nie mogę uwierzyć, że mamy to za sobą i możemy

robić, co nam się podoba. - Uśmiechnęła się promiennie, a oczy jej zabłyśły. - Chcieli cię zatrzymać w szpitalu, co? - Na szczęście było ciemno, więc nie widział jej zadowolonej miny. - Dostałeś zastrzyk?

- Podwójną dawkę penicyliny.

Roześmiała się głośno tylko dlatego, że rozbawił ją ton jego głosu, a poza tym wyobraziła sobie, jak Murphy zdejmuje spodnie...

- Uważaj na drogę - mruknał.

- Tak jest, szefie. Dokąd jedziemy?

- Do warsztatu, gdzie zostawiłem auto. Trzeba sprawdzić, czy zostało naprawione. Potem znajdziemy przytulny motel i doprowadzimy się do porządku. Warto by również znaleźć miłą restaurację...

Jaki on kochany!

- Thomas, czy możemy odłożyć uroczystą kolację na później? Chciałabym wystąpić w jedwabnej sukience i zrobić makijaż, a lepsze ubrania i kosmetyki zostały w leśnym domu. Proponuję, żebyśmy zadowolili się pizzą.

Gotów był zgodzić się na wszystko, ale tylko dziś.

Zatrzymali się przed warsztatem. Niewielkie sportowe auto stało na parkingu. Po raz pierwszy w życiu tak się ucieszył na jego widok. Ostatnie dni były dla niego pełne podobnych odkryć i niespodzianek. Mac popatrzyła na samochód i zawołała uradowana:

- Cudownie! Nie wspomniałeś, że to kabriolet.

Zostawili półciężarówkę przed warsztatem. Pod wycieraczką przedniej szyby Murphy umieścił list do mechanika. W kieszeni miał zapasowe kluczyki do swego samochodu. Drugi komplet znalazł pod siedzeniem. Otworzył drzwi Mac i zajął miejsce obok.

- Czy mógłbyś odsunąć dach? - spytała rozpromieniona.

Chętnie spełnił prośbę i wkrótce opuścili parking. W czasie jazdy zerkała na Mac, która usiadła na oparciu tylnego siedzenia i spoglądała na wszystko z góry niczym

królowa piękności w czasie uroczystej parady. Wiatr rozwiewał jej włosy, a szeroki uśmiech rozjaśnił brudną buzię. Zrodzona w głębi serca radość sprawiła, że po chwili kąciki jego ust lekko się uniosły, nie rozproszyła jednak smutku. Teraz było im razem tak dobrze, lecz wkrótce będzie musiał odejść. Mac powinna żyć własnym życiem, w którym nie było dla niego miejsca.

- Szybciej, Murphy! Dodaj gazu! - zawołała wesoło.

Kilku przechodniów obejrzało się za nimi. Przyspieszył zdumiony niespożyta energią Mac. Zaparkowali przed niewielką jadłodajnią na przedmieściu i wysiedli z auta. Musiał biec, żeby dotrzymać jej kroku. Nagle odwróciła się i pocałowała go w usta.

- Chcę dziesięć hamburgerów z serem i frytkami. Dużo soli i keczupu. - Chwyliła go za rękę i podbiegła ku drzwiom baru. Najchętniej po kres swych dni dalby się prowadzić tej szalonej dziewczynie. Serce mu pęknie, kiedy się rozstana. - Zapomniałam o koktajlu. Niech będzie czekoladowy. - Na pierwszym schodku odwróciła się znowu i padła mu w ramiona. Objął ją mocno i pocałował. Miał wrażenie, że niebo się przed nim otwiera.

- O Boże, jesteśmy wolni!

Miała wilczy apetyt. Murphy zaspokoił głód stekiem i ziemniakami, popijając piwem. Na jednym się nie skończyło. Gdy wyszli, Mac zaproponowała przymilnie:

- Chodźmy na spacer. Chciałabym się trochę przewietrzyć. Potem znajdziemy motel i... - Zapaliła dwa papierosy, jeden podała Murphy'emu, który stał w półmroku rozjaśnionym neonem jadłodajni i patrzył na szaloną dziewczynę trzymającą go za rękę.

Zastanawiał się, czy starczy mu odwagi, by postąpić, jak należy. Była przekonana, że go kocha, i głęboko wierzyła, że tak naprawdę jest. Wątpił, czy uda mu się ją przekonać, że to chwilowe zauroczenie wywołane splotem niezwykłych okoliczności. Oboje znaleźli się w bardzo trudnym położeniu.

niu, musieli wspólnie walczyć o życie... Cholera! Kochał ją; po raz pierwszy w życiu poraziła go miłość. Niestety, przyszła zbyt późno. Nie był w stanie zmienić swojej natury.

Spacerowali, trzymając się za ręce, a potem wrócili do auta. Murphy nigdy przedtem nie był obiektem tak gorąco uwielbienia, ale był przekonany, że to nie potrwa długo. Mac znajdzie innego mężczyznę i obdarzy go szczerym, głębokim uczuciem. Zamilkła w czasie przechadzki. Domyślił się, że jest wyczerpana, i ruszył w stronę parkingu jadłodajni. Kiedy podeszli do auta, wskoczyła na fotel kierowcy.

- Teraz ja prowadzę. Dokąd jedziemy?

Nie oburzył się, gdy ruszyła z piskiem opon. Sam również cieszył się odzyskaną swobodą; powoli zaczynało do niego docierać, że najgorsze ma za sobą. Bardzo przyjemne uczucie. Cieszył się, że może patrzeć na Mac, siedzieć obok niej; nie mógł sobie wyobrazić ciekawszego zajęcia. Będzie cierpiał jak potępieniec, nim znów przywyknie do życia bez niej.

- Skręć w prawo.

- Gdzie?

- Mniej więcej cztery kilometry stąd stoi zajazd. Pracowałem tam przed kilku laty. W każdym pokoju jest kominek i łazienka wielka jak sypialnia, wanna z bąbelkami i lustro na całą ścianę.

- Budowałeś ten zajazd?

- Sam go zaprojektowałem. Wygląda jak stary dom, ale w środku jest mnóstwo nowoczesnych udogodnień. Nie rzucają się w oczy, bo we wnętrzach dominują staromodne tkaniny, stoją mosiężne łóżka oraz inne zabytkowe przedmioty.

- To ciekawe. Nie mogę się doczekać, kiedy na własne oczy zobaczę twoje dzieło. Tak wiele powinnam się o tobie dowiedzieć. Od dziś życie będzie prawdziwym oceanem radości.

Chętnie by przytaknął; jednak rozpacz ścisnęła mu serce. Nie miał pojęcia, w jaki sposób odejdzie. Zwykle wymykał się ukradkiem pod osłoną ciemności, ale Macken-

sie winien był coś więcej. Postara się, aby zrozumiała i pogodziła się z tym, że nie mogą być razem.

Weszli do zajazdu. Z radością słuchał jej zachwyków. To był prawdziwy dwór w starym stylu: drewniane posadzki froterowane do połysku, kryształowe żyrandole. Woń zapalonych świec i wosku do podłóg dodawała wnętrzem staroświeckiego uroku.

Murphy przekręcił klucz w zamku, ale nie pozwolił Mac wejść do środka, tylko wziął ją na ręce i przeniósł przez próg. Zrzuciła mu ramiona na szyję; w jego objęciach czuła się kochana i bezpieczna. Kopnięciem zamknęła drzwi i ruszył w stronę wielkiego, owalnego łóżka. Rozejrzała się po pokoju: kwiatowe wzory obić i zasłon, falbany, barwna kapa na łóżku, fałdzone draperie, bujany fotel.

- Chwileczkę - rzuciła. Zatrzymał się natychmiast. - Najpierw kąpiel. Jeśli wanna jest tak duża, jak wspomniałaś, moglibyśmy razem...

Postawił ją na podłodze, rzucił walizkę na łóżko i zniknął za drzwiami łazienki. Po chwili otworzył je szeroko, uklonił się, tłumiąc jęk, ponieważ cała była obolała, i gestem zaprosił ją do środka, mówiąc:

- Łaskawa pani...

Podeszła i nacisnęła kontakt. Nie wierzyła własnym oczom. Spełniły się wszystkie jej marzenia. Ujrzała spory pokój kąpielowy na planie kwadratu o wymiarach cztery na cztery metry, cała w bladych szarościach i różach. Staromodna wanna lśniła śnieżną bielą. Na brzegu ustawiono świece; trzeba je było tylko zapalić. Dwie umywalki wmontowane były w długi marmurowy blat, po drugiej stronie znajdowała się kabina kąpielowa. Stos miękkich, grubych ręczników piętrzył się w otwartej szafce. Na podłodze leżał puszysty dywan. Mac zdjęła buty i zanurzyła stopy w delikatnym włosiu.

Niespodziewanie Murphy uświadomił sobie, że wreszcie mają czas. Nie trzeba się spieszyć. Chciał, by wszystko odbyło się tak, jak sobie wymarzyła.

- Muszę się najpierw trochę odświeżyć. Odpocznij przez kilka minut. Pożyczę od ciebie maszynkę do golenia... - Podszedł do łóżka i otworzył walizkę.

- Nie siedź tam za długo. - Zbliżyła się do niego i dotknęła policzkiem twarzy pokrytej kilkunastomilimetrowym zarostem. Oczy mu płonęły z pożądania. Niecierpliwiał się tak samo jak ona. Przez chwilę obejmował ją mocno, a potem zamknął za sobą drzwi.

Położyła się na wielkim łóżku i słuchała jego kroków dochodzących z łazienki oraz szumu wody lejącej się z kranów. Wyobraziła sobie, jak goli się różową kobietą maszynką. Dobiegł ją cichy plusk, gdy wszedł pod prysznic. Ciepła woda działała jak balsam na zmęczone, poranione ciało. Stał pod strumieniem, a przezroczyste krople spływały po ramionach i torsie...

Spała z dłonią wsuniętą pod głowę. Ukłękł przy łóżku i wziął ją na ręce, obudziła się natychmiast i otworzyła oczy. Uśmiechała się, gdy niósł ją do łazienki, i westchnęła, kiedy wypuścił ją z objęć. Nagi zapalił świece. Przyglądała się uważnie, jak krąży skąpany w ich migotliwym blasku. Dopiero wtedy nacisnęła kontakt i zgasła światło. Odkręcił kran przy wannie, sprawdził temperaturę wody i popatrzył Mac prosto w oczy.

Bardzo wolno szedł w jej stronę. Uniosła ręce i zaczęła rozpinać guziki koszuli. Zsunął z jej ramion miękką flanelę i sam rozebrał ją w przyćmionej poświacie zapalonych świec. Czekał cierpliwie, stojąc tuż obok. Czuła, jak rozpala się w niej płomień żądz, który może spopielić oboje. Przysunęła się bliżej.

Niespodziewanie stracił cierpliwość, przyciągnął dziewczynę do siebie i zmiażdżył jej usta pocałunkiem. Nigdy się nią nie nasyci. Zawsze będzie jej pragnął. Wsunął język między rozchylone wargi. Ciało miał rozgrzane, mięśnie napięte; emanował siłą i energią. Przyłgnęła do niego, odchyliła głowę, zapadła w świat, gdzie istniał tylko on, jego usta, ręce, szept.

Odsunął się, zakręcił kran i otworzył dysze tłoczące powietrze do wanny, a potem wziął Mac za rękę i pociągnął za sobą. Oboje weszli do wody i zanurzyli się w bulgoczących falach. Blask świec rozświetlał twarze, rzucał na ściany jasne refleksy. Mac zachwyciła się urodą Murphy'ego. Uniosła mokrą rękę i opuszkami palców musnęła jego policzek. Pocałował je, gdy dotknęła warg.

- Zapomniałem kupić szampana. - Głos miał niski i trochę kpiący.

- Ty mi wystarczysz. Na twój widok od razu maści mi się w głowie - odparła z uśmiechem, przysunęła się bliżej i usiadła mu na biodrach. Krzyknęła z rozkoszy, gdy zaczął całować jej piersi. Pod wpływem pieścizot przebiegła ją cudowny dreszcz.

Wargi Murphy'ego sunęły coraz niżej. Całował jej brzuch, poznając smak wilgotnej skóry. Z jękiem uniosła mu twarz i zasypała ją pocałunkami. Oszołomiona i upojona miała wrażenie, że unosi się na powierzchni wzburzonej wody. Przesunęła dłońmi po jego barkach, piersi, brzuchu i łydźwiach, uradowana, że może go wreszcie dotykać. Bezwiednie omijała opatrunki.

Chwytał jej ręce, przerywając namiętą pieścizotę. Całował dłonie, przesuwał po nich ciepłym językiem. Mac słyszała szum wody jakby przez mgłę. W uszach brzmiał jej głośny oddech Murphy'ego i szeptane przez niego miłosne zaklęcia. Czuła tylko dotyk jego rąk i palącą żądzę, która pchała ją coraz mocniej w objęcia ukochanego. Zdawała sobie sprawę, że dzięki pieścizocie jego dłoni i warg przenosi się do krainy piękniejszej od wszystkich, jakie dotąd znała. Prowadził ją ścieżką, która będzie się stopniowo rozszerzać. Im dalej powędrują, tym wspanialsze czekają ich doznania.

Thomas Justice Murphy wkroczył do świata, w którym panował całkowity spokój i niezmałcone szczęście. Był tu obcy, ale od razu poczuł, że jest mile widziany. Dziękował Bogu za takie przyjęcie.

Mac podała mu usta do pocałunku, a on skwapliwie skorzystał z zaproszenia. Pod jej wpływem raz po raz łagodniał i stawał się natarczywy, usuwał się w cień i nabierał śmiałości.

Gorąca woda parowała intensywnie i wkrótce para wypełniła łazienkę, skraplając się na ścianach. Płomień świec migotały. Kochankowie odsunęli się od siebie, uradowani możliwością swobodnego poznawania swych ciał, ich smaku i zapachu. Spod przymkniętych rzęs obserwowali nawzajem zmienione rozkoszą twarze. Chętne dłonie odkrywały wrażliwe obszary, aby dawać przyjemność oraz przyprowadzić o cudowne szaleństwo.

Murphy otworzył szeroko oczy, bo Mac niespodziewanie znieruchomiała. Powoli sunęła w dół, żeby się z nim połączyć. Przy pierwszym dotknięciu omal nie eksplodował, ale zebrał wszystkie siły i czekał, zdany na jej łaskę i niełaskę. Wstrząsnął nią dreszcz. Świadomość, że wystarczy poruszyć się lekko, by zjednoczyli się we wzajemnym oddaniu, zachęciła ją, żeby odwlec jeszcze ten moment i przedłużyć radosne oczekiwanie.

Popatrzył jej w oczy. Ich serca były w jednym rytmie, umysły połączyła nić doskonałego porozumienia, a dusze wybiegły sobie na spotkanie, zetknęły się i splotły w nierozwalny węzeł. Należeli do siebie. Szum wzburzonej wody i gwałtowny wir uczuć, który porwał tych dwoje kochających się ludzi, sprawiły, że zapomnieli o całym świecie.

Murphy z zapałem oddawał pocałunki. Objął rękami biodra Mac i pociągnął ją w dół. Oparła dłonie na jego pierś, czując, jak przybliżyła się i oddala w rytm uderzeń serca.

Thomas Justice Murphy stracił kontrolę nad rzeczywistością i oddał się we władanie Mac, która gotowa była przyjąć i zachować wszystko, co mógł jej ofiarować. Chciała, by uwierzył, że go uwielbia i potrafi uszanować każdą powierzona jej w zaufaniu tajemnicę. Nie groziło mu żadne niebezpieczeństwo.

Oboje zmierzali ku spełnieniu. Przyszło jednocześnie,

choć każde z nich odczuło je inaczej. Nie było już mężczyzny i kobiety, jej ani jego. Tworzyli doskonałą jedność. Tylko oni - teraz i na wieki.

11

Teraz masz *do nas jakieś ale?*
Czybyś nas nie posyłał wcale?

Mackensie przebrała się w nocną koszulę z flaneli, a Murphy włożył dzinsy. Włączyli radio i zgasili światło, wsłuchani w romantyczną miłosną balladę. Thomas pociągnął ją za rękę, zamknął w mocnym uścisku i pogłaskał po plecach. Zaczęli tańczyć.

- Sądziłam, że w czasie pierwszego wspólnego tańca będę miała na sobie piękną kreację i biżuterię, a na twarzy efektowny makijaż... wszystko po to, by cię olśnić. - Uniosła głowę, by spojrzeć na jego twarz ledwie widoczną w półmroku. Pocałował ją w czubek nosa.

- Dla mnie i tak jesteś olśniewająca. Twoja uroda powaliła mnie na kolana. Teraz jesteś najpiękniejsza.

Dotknęła jego nagich ramion, wspięła się na palce i pocałowała go w kark, tam gdzie włosy kręciły się lekko. Przez miękką flanelę i dzinsy czuła twardniejącą męskość. Postawiła stopy na jego bosych nogach. Kołysał się z nią w rytm łagodnej muzyki.

Otoczał ich zapach szamponu i mydła. Nareszcie zmyli z siebie woń stęchlizny i ziemi towarzyszącą im przez kilka ostatnich dni. Mac wtuliła się w niego i poczuła, że znów ogarnia ją pożądanie. Tym razem postanowiła odwlec moment całkowitego zjednoczenia, żeby nacieszyć się do woli czułością i uwielbieniem ukochanego.

Murphy dobrze pamiętał, jak się czuł, trzymając ją w objęciach. Kiedy obdarzała go uśmiechem, jej oczy wyrażały oddanie i zachwyt. Wspominał chwilę, gdy się połączyli w miłosnym uścisku. Było cudownie - i ona to sprawiła.

Usłyszeli ciche pukanie. Mackensie spojrzała pytająco. Uśmiechnął się tylko i nie przerywając tańca podszedł do drzwi i otworzył je. W korytarzu stali czterej posłańcy z ogromnymi koszami pełnymi różanych płatków we wszystkich kolorach tęczy.

- Proszę je wysypać na łóżko - polecił z uśmiechem, gdy zerknęli na niego, czekając na instrukcje. Nie uszło uwagi Mac, że są trochę zakłopotani. Stłumiła chichot i przytuliła twarz do piersi Murphy'ego.

W korytarzu czekał także kelner, który po wyjściu kwiatciarzy wepchnął do pokoju stół na kółkach, na którym był szampan i przekąski odpowiednie na późną kolację we dwoje. Gdy drzwi się za nim zamknęły, kochankowie tańczyli dalej w rytm kolejnej romantycznej ballady.

- Nie wiedziałem, jaki kolor róż najbardziej lubisz.

- Dzięki! Jesteś niesamowity. - Popatrzyła na łóżko zasłane płatkami w rozmaitych odcieniach bieli i czerwieni, różu i żółci, szkarłatu i kości słoniowej. Pokój napełnił się kwiatową wonią. Mac westchnęła głęboko. W oczach miała łzy szczęścia.

Murphy tanecznym krokiem poprowadził ją w stronę łóżka i zdjął z niej nocną koszulę. Wziął Mac na ręce i ułożył na wonnym pościeli. Aksamitne płatki przylgnęły do jej pleców, rozgrzane ciepłem skóry pachniały coraz mocniej. Spojrzała na ukochanego i otworzyła ramiona. Przykryła ją własnym ciałem, przygniatając do pościeli. Uśmiechnął się, a jego wargi dzielił od jej ust tylko miłosny szepot.

- Tyle ostatnio przeszliśmy, ale znowu wszystko zależy od nas. Kochaj się ze mną.

W nocy Mackensie obudziła się niespodziewanie. Płatki róż leżały na podłodze wokół łóżka. Murphy rzucał się

niespokojnie przez sen. Wyciągnęła rękę i położyła na jego czole. We śnie gorączka spadła. Mac przytuliła go mocno i wkrótce się uspokoił.

Kiedy ponownie otworzyła oczy, blask świtu wpadał już przez okno. Poczowała od razu, że jest sama w wielkim łóżku. Spojrzała w głąb pokoju i zobaczyła ukochanego. Przyciągnął do okna drewniany fotel na biegunach i siedział w nim okryty kapą z łóżka. Mac poczuła, że ogarnia ją strach. O czym rozmyślał? Czemu w nocy był taki niespokojny? Nic im już nie groziło. Próba, której zostali poddani, dobiegła końca. Przed nimi tylko szczęśliwe dni.

Drżała od porannego chłodu, ale wyskoczyła z łóżka i depcząc różane płatki, podeszła do niego. Usłyszała kroki i odwrócił głowę. Kiedy się uśmiechnął, zniknęły wszystkie obawy. Otworzył ramiona, a gdy usiadła mu na kolanach, okrył ją narzutą i zamknął w ramionach jak dziecko. Drzemała w jego objęciach, pod ciepłym przykryciem, przytuliwszy głowę do silnego ramienia.

Murphy kołysał się w fotelu, paląc papierosa. Czy naprawdę ich rozstanie wyjdzie jej na dobre? Tak. Taka szczerza, serdeczna i szczodra dziewczyna nie powinna się z nim wiązać; byłby dla niej kulą u nogi. Zdawał sobie sprawę, że reaguje zbyt gwałtownie, targają nim sprzeczne emocje. Gdyby musiała borykać się z jego zmiennymi nastrojami, straciłaby do niego serce.

- Byłeś niespokojny tej nocy. Rzucałeś się we śnie. O co chodzi?

- Muszę przemyśleć i uporządkować wiele spraw - odparł wymijająco. - O dziewiątej mamy być w komisariacie policji. Powiniennem także zadzwonić do rodziców.

- Co im powiesz?

- Prawdę - odparł, całując ją w policzek. - Auto się zepsuło i musiałem czekać, aż zostanie naprawione. Ty powinnaś zadzwonić do siostry. Wprawdzie już wie, że nic ci się nie stało, ale wolałaby pewnie usłyszeć to od ciebie.

Słuszna uwaga. Przyłgnęła do niego jeszcze mocniej. Nie chciała wracać do codzienności - zwłaszcza teraz, gdy mogli robić wszystko, na co mieli ochotę, śmiać się i kochać bez obawy, że przypłacą to życiem. Powinni zaplanować przyszłość albo chwilowo machnąć na to ręką. Zakładała optymistycznie, że na Florydę pojedą we dwoje.

- Na pewno pokocham twoich rodziców. Skoro wychowali takiego syna, bez wątplenia szanują wartości, które ci wpoili.

Jego serce zatrzepotało i zatrzymało się na moment. Rzeczywistość była jak zapierający dech powiew chłodu. Wzdrygnął się i potarł ramiona.

- Wróćmy do łóżka - rzuciła Mac.

- Za chwilę. Na razie zostanemy tutaj. Zdrzemnij się. Będę cię mocno trzymał, więc nie spadniesz.

Przymknęła oczy, łudząc się nadzieją, że wszystko będzie dobrze. Takie przynajmniej miała wrażenie. Zasnęła wsłuchana w rytmiczne bicie jego serca.

Po nocy w ciepłej sypialni i pysznym śniadaniu w jadalni zajazdu pomieszczenia komisariatu wydały im się chłodne i odpychające. Nieustannie dzwoniły telefony, których nie miał kto odebrać. Miarowy stuk komputerowej klawiatury wyznaczał rytm pracy miejscowych policjantów.

Dokumenty nie były jeszcze gotowe do podpisu, więc musieli poczekać. Murphy zaczął się niecierpliwić. Mac uspokajała go, ale sama także była poirytowana. Dochodziło południe, gdy dopełnili wreszcie formalności i wyszli na świeże powietrze. Dzień był chłodny. Nic dziwnego, październik dobiegał końca.

Trzymając się za ręce jak para nastolatków, szli przez parking. Mackensie promieniała szczęściem i nie mogła zrozumieć, czemu Murphy jest rozkojarzony. Zapewne nie doszedł jeszcze do siebie po przebytej infekcji. Poza tym miał wiele do przemyślenia. Pewnie to sprawia, że jest nieobecny

duchem. Powinna uszanować jego nastrój i dać mu czas, którego potrzebował. Obiecała sobie w duchu, że mu to zapewni i zadba także o inne jego potrzeby. Jej ukochany nigdy więcej nie będzie samotnie walczyć z przeciwnościami losu.

Przekręcił kluczyk w stacyjce i mrugnął do niej porozumiewawczo. Znow był w pogodnym nastroju i uśmiechał się do całego świata.

- Dokąd, łaskawa pani?

- Z powrotem do sypialni - odparła, dotykając jego dłoni.

Trzy dni minęły, jak z bicza trzask. Mackensie nie mogła się nadziwić, że upłynęły tak szybko. Murphy spał obok niej na kocu rozłożonym przed kominkiem. Wstała ostrożnie, żeby nie obudzić ukochanego, i dorzuciła dwa grube polana do ognia. Położyła się znowu i patrzyła, jak igrają z nimi płomienie.

Nie była dotąd równie szczęśliwa. Spędzili razem całe trzy dni. Chodzili na długie spacery, grali w pokera na wykałaczki, czytali na głos gazety i wybuchali śmiechem, rozbawieni sensacyjnymi tytułami artykułów opisujących ich losy. Kochali się raz po raz - w wannie, w łóżku, na bujanym fotelu przy oknie, na podłodze. Spali długo, a potem schodzili do jadalni, by celebrować obfite posiłki. A poza tym dużo rozmawiali i poznawali się coraz lepiej. Tematem tabu była tylko jego mroczna przeszłość. Z trudem ukrywał irytację, gdy o nią wypytywała, toteż starała się tego unikać.

Nadeszła wreszcie pora, by wrócić nad jezioro Tillery i spakować manatki. Życie musi toczyć się dalej. Mackensie wiedziała, że powinna najpierw wrócić do Nowego Jorku, zwolnić mieszkanie i oddać rzeczy do przechowalni. Ukochany nie wspominał ani razu o wspólnej podróży na Florydę.

Czekała ich poważna rozmowa o przyszłości. Do tej pory unikali tego tematu. Murphy zapewniał niezmiennie, że chce tego samego, co ona. Kochali się przecież. Każdy to widział - nawet podstarzała właścicielka zajazdu. Mówiła, że

gruchają jak zakochane gołąbki i przypominają jej nowożeńców. W takim razie dlaczego Mac czuła, że w jej głowie panuje kompletny zamęt? W ciągu dnia o tym zapominała.

Oparta na łokciu pochyliła się i pocałowała go w policzek. Opuszkami palców rysowała skomplikowane wzory na jego torsie i brzuchu. Powoli otworzył oczy, uśmiechnął się lekko i całkiem rozbudzony przyciągnął ją do siebie.

Żadnego wahania, tylko wzajemna akceptacja i bezmiar uczuć, z którego mogli czerpać bez końca. Serce Mackensie pełne było miłości, gdy obejmowała ukochanego. Przetoczyli się z koca na podłogę. W tle słychać było łagodną muzykę płynącą z radia. Murphy przykrył sobą Mac i całował każdy skrawek jej ciała. Czasami kochali się łagodnie, czule, innym razem oboje stawali się niecierpliwi, ulegając żądzy, która paliła ich jak płomień. Dziś ciasno przylgnęli do siebie, splatając nogi i ręce. Potargane włosy rozsypały się wokół głowy Mac. Murphy wszedł w nią pospiesznie i gwałtownie, szybko doprowadził niemal na szczyt, a potem niespodziewanie zwolnił tempo i czekał, aż zacznie go popędzać. Bez pośpiechu wspinał się z nią coraz wyżej, ale nie chciała podporządkować się jego woli. Nie szczędziła mu zmysłowej zachęty, kusiła, głaszcząc plecy i pośladki. Raz po raz wyginała się w łuk i unosiła biodra, oddając mu siebie i obiecując rozkosz. Teraz ona nadawała tempo. Mimo to dopiął swego: gdy pierwszy raz dotarła na szczyt, ukołysał ją w ramionach i ponownie unióśł ze sobą. Szybowali razem w przestworzach.

Gdy Murphy obudził się następnego ranka, ze zdziwieniem stwierdził, że Mac jest już ubrana. Minionej nocy w łóżku była cudowna; teraz krzątała się skupiona i zaafektowana, pakując rzeczy, które zabrali z leśnego domu.

Ich czas się skończył, a on wciąż nie wiedział, co ma robić. Musiał dokonać wyboru. Pocałował ją i poszedł do łazienki, aby wziąć prysznic. Czekała na niego, siedząc w bu-

janym fotelu. Przeczynała, że zanosi się na ważną zmianę, i była pełna obaw, że sprawy ułożą się niepomyślnie. Czy Murphy jej nie chce? Na samą myśl o tym zadrżała. Wykluczone! Nie mogła się mylić w tak ważnej sprawie.

Gdy bosy i w dżinsach wyszedł z łazienki, włosy miał jeszcze mokre. Wycierał je ręcznikiem, idąc w stronę toaletki.

- Śmiało, Murphy. Powiedz, w czym rzecz. - Zniecierpliwiona kołysała się szybko w przód i w tył. - Chcę usłyszeć, o co chodzi. Spróbujmy się z tym uporać.

Jego ręka wycierająca mokre włosy nagle znieruchomiała. Napotkał w lustrze spojrzenie Mac. Zapalił papierosa, odwrócił się i oparł biodro o blat toaletki.

- Już pora. Muszę jechać.

- Dobry tekst. Willie Nelson wykorzystał go w jednej z piosenek - zażartowała, choć wiedziała, że mówił serio.

- To już koniec, Mackensie. - Niespodziewanie ukląkł u jej stóp. - Wrócisz do Nowego Jorku i zmienisz swoje życie tak, jak uznasz za stosowne.

Strach i poczucie krzywdy sprawiły, że ogarnęła ją złość. Chłód ścisnął jej serce; była rozżalona i wściekła. Zaciśnęła dłonie na poręczach fotela, wpatrzona w bielejące kostki. Odrzuciła głowę, a oczy pociemniały jej z gniewu.

- Co to ma znaczyć, do jasnej cholery?

- Nie pasuję do ciebie.

- Przestań! Stanowimy dobraną parę. Doskonale o tym wiesz. Co się dzieje? Jeśli to żart, to nieudany.

- Po ostatnich przejściach nie doszłaś jeszcze do ładu ze swoimi uczuciami. - Zły na siebie wstał i podszedł do okna.

- Jak śmiesz wmawiać mi, co czuję! Bez żadnych oporów wplątałeś mnie w swoje sprawy i zmusiłeś, żebym ci pomogła wyjść z opresji! - Nie powinna mu teraz niczego wypominać. Zdała sobie z tego sprawę, gdy wypowiedziała te słowa.

Udało się... Murphy był zadowolony, słysząc gniew w jej głosie. Gdyby uroniła choć jedną łzę, serce pękłoby mu z żalu.

- Prosta sprawa - tłumaczył, spoglądając w okno niewidzącym wzrokiem. - Zastanów się: oboje znaleźliśmy się w sytuacji, która mogła nas kosztować życie, więc szukaliśmy pociechy.

- Chyba żartujesz! - Wstała z fotela i podeszła do niego. - Odwróć się, Murphy. Zdobądź się na odwagę i spójrz mi w oczy.

Ogarnęła go panika. Boże, to ponad moje siły, jęknął bezgłośnie, lecz po chwili namysłu z ociąganiem stanął z nią twarzą w twarz.

- Nie jesteś już na wojnie i nie musisz z nikim walczyć - przekonywała. - Tak, szukałam pociechy. W trudnych chwilach największą ulgę daje miłość. Zakochałam się w tobie do szaleństwa między innymi dlatego, że byłam pewna twojej wzajemności. Pewnie wstydzisz się do tego przyznać, ale jestem ci potrzebna. Ja nie ukrywam, że ciebie potrzebuję.

- Nie potrafię sprostać twoim oczekiwaniom. - Smuga papierosowego dymu uniosła się w górę.

- Nie stawiam żądań. Chcę cię takim, jakim jesteś.

- Mogłem nocą wymknąć się ukradkiem, ale tego nie zrobiłem, bo ci obiecałem, że nie odejdę bez pożegnania. Nie utrudniaj mi decyzji.

Zapaliła papierosa i długo milczała. Szukała właściwych słów, będąc świadoma, jak wielkie znaczenie ma ta poranna rozmowa. Toczyła właśnie batalię o własne szczęście i szykowała się do rozgrywki, w której stawką była przyszłość ich obojga.

- Nie zgadzam się na rozstanie. W głębi ducha chcesz, żebym z tobą została do końca życia.

- Moje pragnienia i przykra rzeczywistość to dwie różne sprawy.

- Duży błąd.

- Czemu tak sądzisz? Prędzej czy później zażadasz, żebym się zmienił. To nieuniknione, zwykła kolej rzeczy.

- Już o tym rozmawialiśmy. Nie oczekuję żadnej zmiany.

Kocham cię takim, jakim jesteś. Nie chcę, żebyś stał się inny.

- Tyle jest trudności, którym muszę stawić czoła: wspomnienia z Wietnamu, nieudane związki, moja praca i charakter, kontakty z innymi ludźmi. Ciężko ze mną wytrzymać, ale nigdy nie będę inny. Żeby przetrwać, muszę pozostać twardy.

Serce Mackensie ścisnęło się z żalu. Czemu upierał się, że pragnie go zmienić?

- Wiem, kim jesteś i przyjmuję to do wiadomości - powiedziała cicho. - Takim cię pokochałam, Murphy. Nie zostawiaj mnie.

- Niczego mi nie przyrzekaj. - Odszedł od okna i ruszył w stronę szafy. Zdjął koszulę z wieszaka i zaczął się ubierać. - Nie oczekuję przysiąg. I tak zostaną złamane. - Włożył skarpetki i buty. Mac zgniotła niedopałek w popielniczkę i położyła dłonie na biodrach.

- Moje przyrzeczenia to pewnik. Dotrzymuję słowa. A teraz, przystojniaku, posłuchaj uważnie. Kocham cię, ale to nie wszystko. Lubię cię, szanuję, chcę być z tobą do końca życia jako żona, najlepsza przyjaciółka, kochanka. Potrafię się dostosować. W twoim życiu nastąpi tylko jedna poważna zmiana: będę odtąd jego częścią.

Znajdujący się w połowie drogi do wyjścia Murphy zniechęcił się i przez chwilę stał jak słup soli. Nie spotkał dotąd takiej kobiety. Była po prostu wspaniała. Wyobraził ją sobie w leśnej chacie, w łóżku i w kuchni. Mogłaby dzielić z nim życie... Czekająca nadąsana, gotowa spierać się do upadłego, byle go przekonać. Naprawdę warto spróbować... Jest warta tego, by wszystko dla niej poświęcić.

- Nie będzie łatwo.

O Boże, to naprawdę koniec! Dawne życie dobiegło kresu, nowe właśnie się zaczyna. Była tak pewna swego, że chętnie postawiłaby na to całą swoją przyszłość.

- Do diabła, mam nadzieję, że nie będzie tak źle. - W mgnieniu oka przebyli dzielącą ich odległość i padli so-

bie w ramiona. Znow byli razem. - Zaufaj mi, Murphy. Wiem, co mówię.

- Dla mnie to prawdziwa nowość. Zawsze byłem sam.

- Sobie również powinieneś zaufać. - Odsunęła się i spojrzała na niego. - Oboje musimy uporządkować wiele spraw. Czeka cię wizyta u rodziców, a ja powinnam jechać na północ, żeby zlikwidować mieszkanie i tak dalej. Spotkajmy się w Waszyngtonie za dwa tygodnie, pod pomnikiem uczestników wojny w Wietnamie. Nie ma tam twojego nazwiska, Murphy. Chcę, żebyś się o tym przekonał, i to w mojej obecności. - Wyczuła jego wahanie, ale nie dała za wygraną. - Jesteśmy umówieni jedenastego listopada o jedenastej. Myślę, że to dobre miejsce, żeby zacząć wspólne życie. - Spojrzała na ukochanego i czekała.

Zaufanie. To zapewne jedyna wartość, która może go przekonać, by podjął wyzwanie i próbował coś zmienić. Z całego serca pragnął zostać z Mackensie. Oboje mogli sobie ufać.

- Muszę pojechać do San Antonio i dopilnować budowy. Spodoba ci się to miejsce. Potem wyruszymy do Remington, do mojej chaty.

- Zgoda, Murphy.

Nowy Jork był zimny, nudny i ponury. Dotarły tam wiadomości o aferze, w którą Mac była zamieszana, więc koledzy z pracy uznali za stosowne ją odwiedzić. Zlikwidowała mieszkanie i oddała rzeczy do przechowalni. Chodziła ulicami Nowego Jorku, żegnając się z miastem, które do niedawna uważała za swoje przeznaczenie. Niewiele brakowało, by kaprys losu przykuł ją na zawsze do tego miejsca.

Nie kwapiła się, by zapisywać numery telefonów ani informować, dokąd się wybiera. Czasami dręczyły ją obawy, ale szybko o nich zapominała. Murphy przyjdzie na umówione spotkanie. Dla zabicia czasu poszła sama do teatru, ale nie mogła się skupić. Dni ciągnęły się jak wieki.

Gdy w czwartkowy poranek przyjechała na lotnisko, była rozgorączkowana jak mała dziewczynka przed pierwszą wizytą w cyrku. Zażyła tabletkę przeciwko chorobie lokomocyjnej, popiła wodą mineralną i stanęła w kolejce. W bagażu podręcznym miała wszystko, czego potrzebowała, by rozpocząć nowe życie u boku Murphy'ego. Bardzo za nim tęskniła. Kiedy z grupą pasażerów szła w stronę rękawa prowadzącego do samolotu, czuła, jak serce jej kołata. Usiadła w fotelu i trochę się zaniepokoiła, gdy kapitan ogłosił, że z powodu mgły start będzie opóźniony. Nakazała sobie spokój. Wkrótce słońce ogrzeje powietrze, mgła ustąpi, a maszyna wystartuje.

Lot przebiegał spokojnie. Gadatliwy staruszek z sąsiedniego fotela daremnie próbował wciągnąć Mac do rozmowy. Wołała rozmyślać o Murphym. Nie mogła się doczekać, kiedy padnie mu w ramiona, poczuje jego bliskość, zobaczy uśmiech i usłyszy głos.

Z powodu mgły samolot krążył długo nad Waszyngtonem. Obsługa wieży kontrolnej wystawiła odporność psychiczną Mac na ciężką próbę. Gdzie jest teraz Murphy? Popatrzyła na zegarek. Pół do dziesiątej. O Boże, pewnie się spóźnię! Co on sobie pomyśli, rozpacziała, lecz po chwili wzięta się w garść. Zaufanie. Domagała się go od Murphy'ego, więc sama także powinna mu ufać.

Zanosila modły o rozproszenie mgły i ledwie mogła usiedzieć w fotelu. Tłumaczyła sobie, że gdyby się rozminęli, znajdzie go w leśnej chacie. Do stanu Wirginia nie było tak daleko.

Gdy koła samolotu dotknęły płyty lotniska, chwyciła torbę wsuniętą pod siedzenie. Wydawało jej się, że od lądowania do opuszczenia maszyny minęły wieki. Biegiem przecięła hałą portu lotniczego, wypadła na ulicę i przywołała taksówkę.

- Mauzoleum żołnierzy poległych w Wietnamie. Szybko.

Kierowca skinął głową, ale popatrzył na nią ze zdziwieniem. Po co się tak spieszyć? Pomnik nie zając, nie ucieknie.

Wkrótce utknęli w korku. Taksówkarz lawirował niebezpiecznie wśród aut, a wystraszona Mac zacisnęła powieki.

Kierowca złamał wszystkie przepisy, narażając życie swoje i pasażerki. Dostał za to spory napiwek. Mackensie zachowywała się jak postrzelona nastolatka, bo szczęście przepełniało jej serce. Wkrótce zobaczy ukochanego, rzuci się w jego ramiona, ujrzy cudowną twarz ozdobioną uśmiechem.

Gdy dotarła wreszcie do mauzoleum, przekonała się naocznie, że nie powinna wyznaczać mu spotkania w dniu, w którym przed pomnikiem spotykają się weterani oraz ich rodziny. Dziś przypadało ich święto. Na ścieżkach wiodących pod mur kłębił się tłum mężczyzn, kobiet i dzieci. Padał drobny deszcz, a nad wielkim zielonym trawnikiem unosiły się pasma mgły. Mackensie podeszła do ogromnych postaci trzech żołnierzy i przyjrzała się pomnikowi. Na podium ochotnicy odczytywali 58 183 nazwiska poległych. Przemknęło jej przez myśl, że po każdym powinno się dodać słowa: niech spoczywa w pokoju. Dla słuchających byłaby to prawdziwa pociecha i zadośćuczynienie.

Dobrze zapamiętała to miejsce. Nic się tu nie zmieniło. Zła pogoda sprawiła, że robiło jeszcze bardziej przygnębiające wrażenie. Popatrzyła na zegarek: za dziesięć jedenaście. Obserwowała przechodniów zasłoniętych parasolami i kapeluszami, podnoszących kołnierze dla ochrony przed deszczem i chłodem.

Minęła pomnik trzech żołnierzy i ruszyła przez trawnik. W gęstniejącym tłumie daremnie szukała wzrokiem ukochanego mężczyzny. Powtarzała sobie, że przyjechała za wcześnie. Murphy mieszkał w pobliżu, więc na pewno jedzie tu autem i utknął w korku. Może szuka właśnie miejsca na zatłoczonym parkingu? Niezbyt rozsądnie wybrała czas i miejsce spotkania, ale chciała, żeby na własne oczy zobaczyć te tłumy, chociaż zdawała sobie sprawę, że ich obecność nie wynagrodzi mu ludzkiej obojętności, z którą zetknął się on i je-

go koledzy po powrocie do kraju. Ówczesne protesty i prasowe dyskusje mogły być przez nich opacznie rozumiane.

Sama tak wiele spodziewała się po dzisiejszym dniu.

Podeszła do muru upamiętniającego poległych, wzdłuż którego przesuwali się gromady ludzi. Ochotnicy, nie zważając na deszcz i przemoczone okrycia, czytali kolejne nazwiska. Mackensie poczuła chłód, więc podniosła kołnierz, odstawiła torbę podróżną i wsunęła ręce do kieszeni. Pospiesz się Murphy, już czas.

Miała wrażenie, że czuje obecność dusz poległych żołnierzy, których nazwiska widniały na stu czterdziestu tablicach z czarnego granitu. Twarze ludzi wyrażały dumę, smutek, rozpacz i bolesną pamięć. Oddawali hołd poległym, stojąc przy murze lub idąc wzdłuż niego powoli. Mac wiedziała, że to najczęściej odwiedzane mauzoleum przeszłości. Pielgrzymowało tu dwadzieścia pięć milionów ludzi, a każdy chciał dotknąć wyrazistych liter układających się w nazwiska poległych. Ręce same się do nich wyciągały. Pod ścianą składano kwiaty, miniaturowe flagi i zdjęcia owinięte folią. Przez szum deszczu i głosy ochotników uczestniczących w apelu poległych przebijał niekiedy szloch. Mackensie obserwowała weteranów, którzy prostowali ramiona, gdy mijali napis upamiętniający poległych kolegów lub gdy spotykali towarzysza broni. Żony szukały nazwisk mężów, dorosłe dzieci swych ojców. Mac jak poprzednio miała łzy w oczach. Współczuła tym ludziom. Każdy człowiek w jej kraju zasługiwał na współczucie.

Minęła jedenasta. Mackensie zatoczyła pełny krąg, przyglądając się twarzom i obserwując nowych przybyszów. Daremnie. Wzruszyła ramionami. Nie ma sprawy. Murphy się spóźni, ale nie zawiedzie.

Niewielki zespół rozlokował się na prowizorycznej estradzie, nad którą w kilku miejscach przeciekał dach. Mackensie przyglądała się muzykom. To jej pozwoliło na chwilę zapomnieć o lęku.

U wylotu alejki umieszczono kram z pamiątkami. Nieznajomi zatrzymywali się, by porozmawiać ze sobą. Wszyscy przybyli tutaj w jednym celu. Zabrzmiała uroczysta muzyka stosowna do powagi miejsca i chwili. Słuchacze gromadzili się przed estradą, zabrzmiały oklaski. Mackensie przyglądała się wyrazistym twarzom. Ludzie łatwo się otwierali, szukając wzajemnego zrozumienia. Podawali sobie dłonie, ściskali je, obejmowali się albo stali ramię przy ramieniu.

Odłączyła się od tłumu, znalazła wzniesienie stanowiące dobry punkt obserwacyjny i czekała. Kwadrans po jedenastej. Pół do dwunastej. Słyszała grający zespół, ale nie potrafiła rozpoznać melodii. Nadal padał deszcz, zrobiło się chłodniej. Włosy miała wilgotne i zaczynała pociągać nosem. Zmarzły jej stopy, więc dreptała w miejscu, żeby się rozgrzać.

Jedenasta czterdzieści pięć.

Czy to on? Dostrzegła znajomą sylwetkę. Przybysz minął pomnik i zatrzymał się. Postawił kołnierz kurtki, a ręce wcisnął w kieszenie. Był za daleko, by mieć pewność. Chyba się rozglądał. Murphy?

A jeśli to nie on?

Chwyciła torbę i z wahaniem ruszyła w stronę mężczyzny. Stał w tym samym miejscu, obserwował tłum na zielonym trawniku i ludzi przechodzących obok granitowej ściany. Włosy miał ciemne i wilgotne, wzrost Murphy'ego i szerokie bary; nosił dżinsy i kowbojskie buty. Mac podeszła bliżej. Gdyby spojrzeć w jej stronę, miałyby ułatwione zadanie. W deszczu i mgłę trudno rozpoznać kogoś z daleka.

Poczuła na sobie jego wzrok. Oczywiście! To Murphy. O Boże, naprawdę on. Przyjechał!

Rzuciła torbę i szła coraz szybciej po wilgotnej trawie. Murphy ruszył jej naprzeciw w strugach deszczu.

- Murphy! - krzyknęła i pomachała do niego. - Murphy!

Zatrzymał się, stanął na baczność i zasalutował. Przyspieszyła kroku, a jej serce biło coraz mocniej, bo wreszcie się zjawił. Zaczął biec ku niej, rozkładając szeroko ra-

miona. Pędziła coraz szybciej, pełna miłości, która rosła i potęgniała z każdą chwilą. Teraz gdy był już tak blisko, przyznała w duchu, że radość oczekiwania zatruwał jej okropny lęk, że ukochany nie przyjedzie. Na szczęście złe przeczucia się nie sprawdziły.

Wyciągnęła do niego ręce i pędziła jak wiatr. Nagle znalazła się w jego objęciach. Podniósł ją i z radości okręcił się z nią. Słyszała jego śmiech, poczuła ciepło skóry i mokre wargi szukające jej ust. Całowali się zachłannie. Przechodnie stawali i patrzyli na nich z uśmiechem.

- Sądziłaś, że nie przyjadę, co? - szepnął.

- Taka myśl rzeczywiście przyszła mi do głowy, ale przez cały czas cię wypatrywałam. Kocham cię, Murphy.

- W pewnym momencie postanowiłem nie przyjeżdżać, ale życie bez ciebie wcale mi się nie uśmiecha. Jestem... i zostanę na zawsze. Mackensie... kocham cię.

Spełniły się wszystkie marzenia. Do szczęścia potrzebny był jej tylko Murphy i jego miłość. Przed nimi wspomniała życie, choć będą i trudne chwile. Wzięła go za rękę i popatrzyła na ciemny mur.

- Podejdzimy? - spytała cicho. To była odpowiednia chwila. Popatrzył w dal; czuła, że się waha. Odczekała minutę, przytuliła się mocno i położyła głowę na jego ramieniu. Sam musi podjąć decyzję. - Nie znajdziesz tam swego nazwiska.

W milczeniu zrobił pierwszy krok i poszli razem przez trawnik w stronę górującego nad nim granitowego muru.

- Wyjdiesz za mnie, Mackensie?

Tym razem to ona przystanęła. Rzuciła mu się w ramiona i całowała go raz po raz.

- Tak, tak, tak!

Gdy wypuścił ją z objęć, trzymając się za ręce rozpozyczyli wspólną wędrówkę.